www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 39 (925)
25.09-1.10.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bronisław Łagowski: PiS i opozycja – znajdź różnicę

Prof. Wawrzyniec Konarski: PO to nieudacznicy polityczni

Prof. Jan Widacki: O reformie Gowina

Histeria ze szczepieniami

SĘDZIA BARBARA PIWNIK

ZMIANA PREZESÓW SĄDÓW NIE ZMIENI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

rampa
TEATR PRZYJAZNY
MUSICAL
wg filmu
PEDRO ALMODÓVARA
KOBIETY
na skraju ZAŁAMANIA
NERWOWEGO
Women on the Verge of a Nervous Breakdown
libretto
JEFFREY LANE
muzyka i teksty piosenek
DAVID YAZBEK
reżyseria
DOMINIKA ŁAKOMSKA
inscenizacja:
JAKUB WOCIAL
SANTIAGO BELLO
(choreografia)
www.teatr-rampa.pl
polska prapremiera
06.10.2017
Patroni medialni:
Partnerzy:

eprasa.pl ed8943ebb3

CYTATY

JERZY URBAN, REDAKTOR NACZELNY
Polską rządzą byli półinteligenci. Te pół zdobyli na studiach, przeważnie w PRL, ale niektórzy potem.
„Nie”

PROF. BOGUSŁAWA DOBEK-OSTROWSKA, UNIWERSYTET WROCŁAWSKI
To, co telewizja publiczna oferuje w programach informacyjnych, to 100% propagandy.
„Odra”

KAYAH, PIOSENKARKA
Nie mogę mieć pretensji, że moi partnerzy byli do dupy, mogę mieć pretensję do siebie, że takich wyborów dokonałam.
„Playboy”

FRANÇOIS OZON, REŻYSER
Główny temat każdego francuskiego filmu to „mężczyzna spotyka kobietę”.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Gorący kartofel Kaczyńskiego

Ciągle słyszę, że Polską rządzi Jarosław Kaczyński, że do niego prowadzą wszystkie sznurki i od niego płyną dyspozycje. Bardzo się z tego muszą śmiać ludzie blokujący od wielu lat przyjęcie ustawy, która by im zamknęła możliwość rozkradania majątku państwowego pod hasłem reprywatyzacji. Poradzili sobie z rządami PO, która przyjęcie ustawy reprywatyzacyjnej, mimo wielu zabiegów Hanny Gronkiewicz-Waltz, traktowała jak gorący kartofel. I świetnie sobie dają radę z rządami PiS. Relacje z komisji Jakiego muszą odbierać jak serial komediowy. Dwa lata rządów Szydło dało im szansę na udane przeprowadzenie machlojek. Ludzie, którzy zarabiają na impotencji kolejnego rządu, są pazerni, bezczelni i bezwzględni. A patrząc na skalę złodziejstwa i zacierania śladów, także niezwykle skuteczni. Grają z aparatem państwa w durnia. I wygrywają. Dla nich ta ekipa rządowa, tak słaba merytorycznie, niekompetentna i zapatrzona w propagandowe popisy, jest wprost wymarzona. Łatwiejszych do ogrywania amatorów, którym na dodatek – z braku wiedzy – wydaje się, że to oni rozdają karty, nawet by sobie nie śmieli wymarzyć.

Sukcesy w sprawach przemytu czy ścigania karuzeli VAT-owskich PiS osiągnęło, bo poprzednie rządy były ślepe. I głuche na liczne monity, skargi i propozycje.

Ale skutki bezhołowia reprywatyzacyjnego są moim zdaniem dużo groźniejsze. I to nie tylko dla budżetu państwa, jak tamte afery. Tu najbardziej poszkodowani i ciągle kompletnie bezbronni są zwykli ludzie. Obywatele kraju, w którym, choć chlubi się ustrojem demokratycznym, są sprzedawani wraz z kamienicami. I ten proceder trwa. Są eksmisje kolejnych lokatorów. Zabiera się ludziom mieszkania, domy i ziemię, bo nie ma prawa, które by to przerwało. Nie ma, bo PiS z jakichś powodów nie chce tej ustawy przeprowadzić. Politycy tej partii myślą, że brak ustawy reprywatyzacyjnej uda się przykryć komisją Jakiego. Bardzo się mylą. To bańka mydlana. Zostanie po niej tylko wstyd i jeszcze większe wkurzenie poszkodowanych. Pojawiają się kolejni rwacze. Rozzuchwaleni bezczynnością PiS spadkobiercy Branickich żądają setek milionów złotych za korzystanie z lotniska Okęcie. Jeśli więc Kaczyński jest faktycznie demiurgiem, to ustawa reprywatyzacyjna byłaby tego koronnym dowodem.

FAUL

O Radziwille, który nie widzi i nie słyszy

Jak przeżyć jesień, gdy służbą zdrowia rządzi Konstanty Radziwiłł? Pytają o to już nie tylko chorzy stojący w gigantycznych kolejkach. Pytają też salowe i sanitariusze, którym minister dobrodziej podniósł pensje o kilkanaście złotych. Pytają młodzi lekarze rezydenci, którzy zarabiają po 2 tys. zł. I zapowiadają od 2 października strajk głodowy. Co dalej? O to pytają pracownicy kilkuset szpitali, które przestają istnieć. Pytają, ale nikt nie odpowiada. Może kupić Radziwiłłowi implant?

BĄKOWSKI

eprasa.pl ed8943ebb3

W NUMERZE

KRAJ

8 Polityczni rentierzy
– rozmowa
z dr. hab. Wawrzyńcem Konarskim

14 Zmiana prezesów sądów nie zmieni
– rozmowa z Barbarą Piwnik

17 PiS jak czołg – strzela i rozjeżdża
Propozycje PiS nie usprawniają pracy sądów

19 Dorośli przeciw dzieciom
Antyszczepionkowcy rosną w siłę

34 Niemiec, który kocha Polskę
– rozmowa z Matthiasem Kneipem

42 Z historii polskiego uzwiązkowienia
Związki i polityka

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

23 Więcej optymizmu w Europie

HISTORIA

24 Kto bronił Polski w 1939?
Wielonarodowa armia polska

ZAGRANICA

27 Kurdowie idą po niepodległość
Korespondencja z Kurdystanu

30 Greckie śmieci
Grecja potrzebuje nowego Greka

56 Afryka wita bezrobotnych
Europejczycy szukają pracy w dawnych koloniach

58 Religia, polityka i przemoc
Kryzys w Birmie

OPINIE

37 Piotr Szumlewicz
Budżet bez dobrej zmiany

38 Ariel Orzełek
Trudny realizm Aleksandra Bocheńskiego

KULTURA

46 Smarzowszczyzna rządzi kinem
Po festiwalu w Gdyni

50 Bunt śpiewaków
Problemy łódzkiej opery

52 Qulturalia

66 Tymem do przodu

NAUKA

45 Skąd się biorą terroryści?

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Gorący kartofel Kaczyńskiego

12 Bronisław Łagowski
Jak to w Polsce

22 Jan Widacki
Przewrót kopernikański

33 Roman Kurkiewicz
Czarny piątunio totalnego Sejmu

41 Tomasz Jastrun
Na kolejne urodziny

49 Edward Mikołajczyk
Skopana ekshumacja

55 Agnieszka Wolny-Hamkało
Wyrażaj się

19 KRAJ

DOROŚLI PRZECIW DZIECIOM
Antyszczepionkowcy rosną w siłę

46 KULTURA

SMARZOWSZCZYZNA RZĄDZI KINEM
Po festiwalu w Gdyni

58 ZAGRANICA

RELIGIA, POLITYKA I PRZEMOC
Kryzys w Birmie

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ed8943ebb3

Demokracja więdnie

No bo jakaż to demokracja, w której wybieramy swoich przedstawicieli raz na cztery lata, a później wszystkie decyzje zapadają ponad naszymi głowami? Jakaż to demokracja, w której interes kapitału jest ważniejszy od interesu człowieka? Jakaż to demokracja, w której jedyne, czego możemy się spodziewać, to barbarzyństwo wojny i katastrofa ekologiczna? Już czas zastąpić kapitalizm prawdziwą demokracją pracowniczą.

Łukasz Wiewiór

Ekshumacja wbrew woli rodziny

Głęboko zasmucający jest brak reakcji władz kościelnych na ekshumację przez żandarmerię wojskową na polecenie władz w Katowicach – wbrew woli rodziny! – ciała Krystyny Bochenek, ofiary katastrofy smoleńskiej. Kiedy Nergal lub Doda na zamkniętych koncertach zrobili coś niepodobającego się hierarchom kościelnym, natychmiast były protesty i wrzawa medialna. A teraz hierarchowie zupełnie milczą wobec jawnej profanacji grobu. Wstyd i smutne.

Tadeusz Zamorski, Katowice

Czego dzisiejsi studenci zazdroszczą rodzicom?

Kończący studia to był KTOŚ. Zarówno w sensie intelektualnym, jak i zawodowym. Wynikało to z poziomu edukacji na uczelniach i z elitarności bycia studentem. Wyznacznikami tej elitarności były egzaminy i odsiew na pierwszym i drugim roku. Bo jeśli studia mają kształcić elitę – w najszerszym znaczeniu tego słowa – muszą być dostępne na zasadzie segregacji. Albo należy ograniczyć możliwości wielu tzw. uczelni wyższych (*de facto* na poziomie szkół policealnych w PRL) do licencjatów. No i powinno istnieć stopniowanie uczelni, jak we Francji, Anglii czy USA.

Radosław Czarnecki

•

Kandydaci mieszkający na wsi i w małych miastach oraz pochodzenia robotniczo-chłopskiego dostawali 5 pkt podczas rekrutacji, czyli tyle samo, ile za piątkę na świadectwie. Dostawaliśmy też pracę na etacie, chociaż pensje były często niższe niż robotnicze. Ale na studiach było super!

Teresa Soszyńska

•

No właśnie, rodzice dostawali pracę po studiach, a nie – jak teraz – McPracę.

Michał Michał

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

DR JAROSŁAW DEREJCZYK
Wiek senioralny? Od 45. roku życia

Dlaczego abp Hoser milczy w sprawie Rwandy

Przygraniczne wsie pustoszeją

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. AFP/EAST NEWS

Rywale na jednej łódce. Angela Merkel i jej główny kontrkandydat w wyborach parlamentarnych Martin Schulz piją wodę ze Sprewy. Plakat międzynarodowej organizacji ONE, która walczy z ubóstwem i chorobami w najbiedniejszych regionach świata, spowodowanymi m.in. deficytem wody, zwłaszcza zdatnej do picia.

eprasa.pl ed8943ebb3

Wreszcie zakończył się prawomocnymi wyrokami **proces w sprawie katastrofy hali wystawienniczej w Katowicach** w 2006 r. Zginęło w niej 65 osób. Na 9 lat więzienia skazano głównego projektanta hali, który nie miał niezbędnych uprawnień, a nawet nie ukończył studiów. Na 2 lata – byłą inspektor nadzoru budowlanego, członka zarządu MTK i rzeczoznawcę budowlanego, a na 1,5 roku – dyrektora technicznego spółki.

Maria Antonina Rodowicz, dla Polaków po prostu Maryla, obchodziła w Opolu **50-lecie śpiewania.** I to takiego, że została niekwestionowaną Królową Polskiej Piosenki. A każdy choć raz nucił któryś z wielu przebojów Maryli.

Ministerstwo Zdrowia i największa sieć aptek w Polsce ostrzegają pracowników, że **stosowanie klauzuli sumienia przez farmakologów** to łamanie prawa. A za odmowę sprzedaży leku wyciągane będą konsekwencje służbowe.

W Kozienicach uruchomiono największy **blok energetyczny** w Polsce. Inwestycja kosztowała 6 mld zł.

Grecja, Bułgaria i **Hiszpania** były tego lata najczęściej odwiedzane przez Polaków. W czołówce są też **Turcja i Chorwacja** oraz **Albania,** która odnotowała największy wzrost zainteresowania naszych rodaków.

Prezydent Duda i Sejm uczcili 75. rocznicę powstania **Narodowych Sił Zbrojnych.** Zbrodnie **Brygady Świętokrzyskiej** i faszystowskiego podziemia stały się dla nich powodem do dumy. Najbardziej powinni się jednak wstydzić **posłowie PSL,** spadkobiercy pomordowanych przez NSZ chłopów.

Kielce mają rondo Brygady Świętokrzyskiej. Pisowscy radni uznali, że w ramach ich polityki historycznej powinni uhonorować współpracowników gestapo i Wehrmachtu.

Małgorzata Gersdorf, I prezes Sądu Najwyższego, więcej wysiłku włożyła w wygranie walki o to stanowisko ze znacznie lepszymi od niej kontrkandydatami niż później w godne sprawowanie tego urzędu.

Ministerstwo Finansów tnie środki przeznaczone na drogi. Do końca roku zabraknie 1,3 mld zł na remonty i utrzymanie tras krajowych i 300 mln zł na drogi lokalne.

„Niezwyciężeni" to koszmarny i groteskowy filmik wyprodukowany przez **IPN.** Dokładnie taki jak cała ta instytucja.

Występowi **Jana Pietrzaka w Opolu** towarzyszyła garstka desperatów. Kolejny zresztą raz. Bo płacenie za taką żenadę to czysty masochizm.

PRZEBŁYSKI

Coming out Gryglasa

Musiało mu być bardzo ciężko. Przeżył już 52 lata, a ciągle był w podziemiu. Głęboko zakonspirowany patriota. A może nawet „żołnierz wyklęty". Poseł Zbigniew Gryglas z Nowoczesnej ma już na szczęście *coming out* za sobą. Odważnie pojawił się na mównicy sejmowej z opaską Narodowych Sił Zbrojnych. Nie poszedł, niestety, na całość i nie założył czapeczki Brygady Świętokrzyskiej. Tego oddziału, który mając na koncie wiele zbrodni, uciekł pod opiekę gestapo i Wehrmachtu do Czech. Posłankom z Nowoczesnej nie gratulujemy towarzystwa Gryglasa, bo przecież są jakieś granice obciachu.

Prokurator na pogrzebie „Przekroju"

Jedni, czyli tygodnik „Sieci Prawdy" (dawniej „w Sieci"), piszą: „Hajdarowicz pod lupą prokuratury", a drudzy, czyli kontrolowana przez firmy Hajdarowicza „Rzeczpospolita", odpowiadają wywiadem „Nie ulegam szantażom". Chodzi o transakcję, w której Gremi Inwestycje SA kupiły od Hajdarowicza za 3,2 mln zł wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. Wydawnictwo szybko upadło, a tygodnik zamknięto. Czym więc handlowano? Hajdarowicz uważa, że była to zwykła transakcja handlowa, a oskarżający go Piotr Szczęsny „to zwykły bandyta i szantażysta".
W tym sporze tylko „Przekroju" żal. Hajdarowicz kupił go w 2009 r., zapowiedział wielkie inwestycje i złote czasy. Do tego stopnia, że chwalił się: „Włożą mi »Przekrój« do trumny". Pogrzeb faktycznie był. Ale „Przekroju" po trzech latach.

Durnota Jakubiaka

Czy chorąży Marek Jakubiak, wybrany przez naród na posła Kukiz'15, jest w stanie wnieść lodówkę na czwarte piętro kamienicy bez windy? Z równym prawdopodobieństwem lodówka sama wejdzie. A skąd to pytanie? Z durnego żarciku w koszarowym stylu posła Jakubiaka, że feminizm kończy się, gdy trzeba wnieść lodówkę na czwarte piętro. Redakcja Wirtualnej Polski Kobieta udowodniła temu szowiniście, że panie same poradziły sobie z lodówką. Wyszło więc na to, że myślenie kończy się tam, gdzie pojawia się Jakubiak.

Posłannictwo Bartnika

Dzięki ks. prof. Czesławowi S. Bartnikowi z „Naszego Dziennika" wiemy, jakie jest dziejowe posłannictwo Polski. Mesjanizm! A dlaczego? Dla Bartnika to oczywiste: „Opatrzność dała Narodowi Polskiemu szczególne dary i wyznaczyła szczególną posłanniczą rolę w historii i w życiu duchowo-religijnym". A jeśli ktoś ma inne zdanie? Dla Bartnika „są to ludzie, którzy jakby byli po zażyciu ciężkich narkotyków". Takie słowa nie przeszkadzają mu wołać o prawdę, dobro, etos itd. No cóż, bywają osoby, u których nadmiar pobożności nie łączy obu półkul. Tych, które noszą powyżej koloratki.

DZIEJOWE POSŁANNICTWO POLSKI

Ks. prof. Czesław S. Bartnik

FOT. FACEBOOK, YOUTUBE

eprasa.pl

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

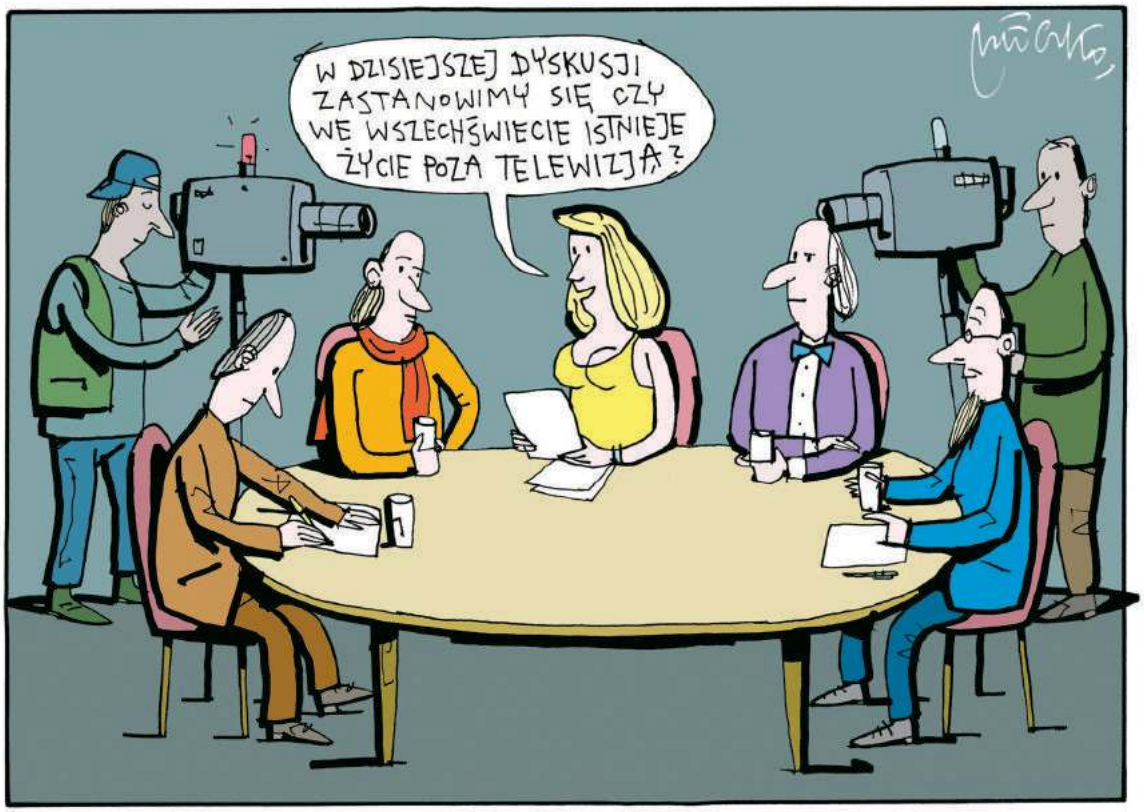

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy słuszna jest propozycja PSL, by skasować czas zimowy?

CZESŁAW SIEKIERSKI,
europoseł PSL

Dyskusja na ten temat odbywa się przynajmniej dwa razy w roku, tj. przy wiosennej i zimowej zmianie czasu. Za każdym razem podnoszone są argumenty za i przeciw. Mówi się, że zmiana daje oszczędności energii elektrycznej i że obowiązuje niemal w całej Europie. Jednak argumentów za skasowaniem czasu zimowego jest zdecydowanie więcej. Każda zmiana czasu niekorzystnie wpływa na zegar biologiczny i zdrowie człowieka (m.in. wzrasta liczba zawałów), zakłóca działanie systemu transportowego (przestoje na kolei, wzrost liczby wypadków), sektora bankowego (przerwy w realizacji operacji finansowych) itd. Odejście od czasu zimowego jest więc zasadne, zwłaszcza że w świecie energooszczędnych żarówek nieaktualny staje się argument oszczędzania energii.

ARTUR MET,
APA Innovative

Czas zimowy to pomysł z początku poprzedniego wieku. Oświetlenie elektryczne stawało się wówczas coraz popularniejsze i ktoś słusznie zauważył, że można w ten sposób zoptymalizować koszty korzystania z niego. Od tamtej chwili minęło ponad 100 lat i świat poszedł do przodu. Z energii elektrycznej korzystamy na wiele różnych sposobów, oświetlenie jest tylko jednym z nich. Wprowadzenie energooszczędnego oświetlenia LED jeszcze bardziej zmniejszyło udział oświetlenia w całkowitym zapotrzebowaniu na energię elektryczną. Powstały również systemy informatyczne, z których znaczna część musi uwzględniać zmianę czasu i w zaplanowany sposób na nią reagować. Stworzenie takich rozwiązań wymaga jednak dodatkowych nakładów. Jeszcze gorzej, gdy niezbędna jest ingerencja człowieka. Wobec tego dotarliśmy do czasów, w których idea skasowania czasu zimowego jest jak najbardziej słuszna.

KAROL WÓJCICKI,
popularyzator astronomii, autor bloga „Z głową w gwiazdach”

Zawsze byłem za pozostawieniem zmiany czasu, a teraz popieram ją jeszcze bardziej. Od czterech lat część zimy spędzam bowiem na kole podbiegunowym, gdzie w grudniu bardzo późno robi się jasno, co już po tygodniu zaczyna być naprawdę nieprzyjemne. Chyba nie zdajemy sobie do końca sprawy, jak dużym dobrodziejstwem jest to, że dzięki zmianie czasu nie musimy wstawać i spędzać zimowych poranków w kompletnych ciemnościach, co byłoby szalenie depresyjne. A gwarantuję, że większość z nas i tak prowadzi taki tryb życia, że wracalibyśmy z pracy, gdy jest już ciemno. Dlatego doceniam, że po zmianie czasu możemy się cieszyć dodatkową godziną słońca.

SEBASTIAN LAVENDER,
czytelnik PRZEGLĄDU

Obecnie gospodarka funkcjonuje niezależnie od światła słonecznego – ba, często wręcz siedzimy w „hangarach” i pozbawionych okien open space’ach, a godziny pracy są ruchome. Czas zimowy, mimo że teoretycznie właściwszy w Polsce, nie ma racji bytu. Inną sprawą są koszty społeczne i ekonomiczne wynikające z rozstrajania zegara biologicznego: stany depresyjne, zaburzenia snu i odżywiania, przeziębienia itp.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl ed8943ebb3

POLITYCZNI RENTIERZY

Należy całkowicie wymienić kadry. Na ludzi doświadczonych, ale niekojarzonych negatywnie z byłym mechanizmem rządzenia

Rozmawia Kacper Leśniewicz

dr hab. WAWRZYNIEC KONARSKI

– politolog, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Akademii Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie

W popularnym na całym świecie serialu „Gra o tron" zima to zapowiedź lodowatej grozy i śmierci tych, którym nie uda się schronić. Panie profesorze, jakiej zimy możemy się spodziewać w polskiej polityce?

– Jesienią i zimą będziemy śledzić recydywę uporu rządzącej prawicy, by kontynuować zmiany w państwie, i niemożności stworzenia wspólnego frontu przez opozycję. Pierwszą recydywą jest zatem konsekwentne działanie w kierunku tego, co prawica nazywa reformą państwa. W istocie zaś jest to zawłaszczanie sfery publicznej przez rządzących wedle podzielanych przez nich przekonań.

Miała być odnowa państwa i obserwujemy realizację tej idei.

– Po rozpoczęciu procesu przejmowania kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym powiedziałem, że mamy do czynienia z podobną sytuacją jak ta z lat 1926-1930. Dzisiaj rządzący zmierzają krok po kroku, przez przedpokój do pokoju pełnej lub – jak powiedział onegdaj lord Acton – absolutnej władzy, w trybie ewolucyjnym, ale bardzo konsekwentnie. Taki rodzaj recydywy może mieć bardzo złe skutki dla świadomości społecznej i politycznej Polaków.

A druga recydywa?

– Druga recydywa, która nawet bardziej mnie irytuje, wiąże się z nieumiejętnością wyciągnięcia przez doświadczonych uczestników polskiego życia politycznego wniosków z okresu, w którym rządzili. Platforma Obywatelska jest dla mnie dzisiaj przykładem gigantycznego nieudacznictwa politycznego. Obserwujemy proces samopowtarzalności błędów. Ta słabość otworzyła rządzącym drogę do gruntownej zmiany wielu aspektów życia społecznego, prawnego i politycznego w ostatnich dwóch latach.

Politycy PiS deklarują, że duże znaczenie ma dla nich poparcie narodu.

– PiS twierdzi, że to, co robi, jest konsekwencją uzyskania poparcia większości narodu. To oczywiście nieprawda, bo na PiS głosowało niespełna 19% ogółu dorosłych Polaków. Rządzącym nie przeszkadza to jednak pielęgnować przekonania, że ich determinacja, by nadać zmianom dogłębny charakter, wynika z ogromnego społecznego poparcia.

Ale prawica potrafi wytworzyć więź emocjonalną między dużą częścią społeczeństwa a państwem i jego instytucjami.

– Społeczeństwa krajów z długą tradycją demokracji mogą zademonstrować wysoką frekwencję wyborczą, co z kolei stanowi pozytywny komunikat o legitymizowaniu demokratycznego systemu władzy. Ostatnim takim przykładem są wybory w Norwegii, w których wzięło udział ponad 77% uprawnionych do głosowania. Ta sytuacja oznacza, że poczucie więzi z własnym państwem jest tam bardzo głębokie. U nas PiS doskonale wykorzystuje ten motyw, choć wcześniej nikt nie stawiał na tego konia. Natomiast wygląda na to, że opozycja wciąż nie bierze tego pod uwagę.

Ma pan na myśli lekceważenie przez opozycję liberalną znaczenia państwa i jego instytucji dla obywateli?

– Tak. Wszystkie formy ostrzeżeń, jakie były przekazywane na forum opinii publicznej, zostały tu przez nią zlekceważone. To jest ta nieszczęsna recydywa: partia rządząca jest wrażą siłą w oczach opozycji, a opozycja zaniedbuje refleksję na temat własnych błędów. Takie zaniechanie uniemożliwia jej odzyskanie dobrej opinii w oczach wyborców i generalnie społeczeństwa. W gronie szerokiej opozycji musi powstać przeświadczenie, że o tych błędach trzeba mówić otwarcie. Oczekiwania społeczne wymagają dzisiaj wypracowania gwarancji chroniących w przyszłości przed zarzutem zawłaszczania państwa przez partie. Dlatego nazywam polską klasę polityczną rentierami polityki.

Mówiąc wprost, politykami żyjącymi z państwa?

– Tak. Polityk powinien się kierować poczuciem misji. Mam świadomość, że dzisiaj to towar deficytowy, ale – za sprawą dbałości o sprawy doczesne – politycy w swojej masie przestali udawać, że zależy im na czymś, co wykracza poza ich partykularny interes. Jedną z najpilniejszych potrzeb społecznych i politycznych jest dzisiaj stworzenie takich reguł postępowania, które przywrócą politykom dobre imię.

To, co prawica nazywa reformą państwa, jest zawłaszczaniem sfery publicznej przez rządzących.

eprasa.pl ed8943ebb3

To coś zmieni?

– Tylko w ten sposób polityk może uwiarygodnić swoje poglądy. Dzisiaj mamy sytuację, w której poglądy polityków już na etapie deklaracji brzmią fałszywie, a gdy na horyzoncie pojawiają się korzyści finansowe, uprzednie werbalizmy przestają mieć jakiekolwiek znaczenie. Rentierstwo polityczne jest zmorą polskiego państwa, wciąż będącego młodym organizmem demokratycznym. Takie praktyki paraliżują zaufanie do państwa.

Czy to tylko nasz problem?

– Nie. Weźmy Donalda Trumpa, który jest przykładem osoby publicznej skutecznie łączącej politykę z biznesem. Stare demokracje jego polityczne *emploi* odbierają krytycznie, jednak w młodych staje się nawet obiektem fascynacji. Widać to po zauroczeniu Trumpem wielu kręgów opiniotwórczych w Polsce.

Wszystko to brzmi tak, jakby nasi politycy sprywatyzowali państwo.

– Nasze państwo ma cechy struktury klanowej. Jednym z wyróżniających się elementów tego zjawiska jest dbałość rządzących o to, by ich polityczni koledzy znaleźli bezpieczną przystań w spółce z udziałem skarbu państwa lub innej ważnej instytucji. W Polsce od wielu lat nie odbywają się wiarygodne społecznie konkursy na stanowiska w instytucjach publicznych. Platforma Obywatelska twierdzi, że za jej rządów organizowano takie konkursy, ale ten pogląd wywołuje słuszną irytację.

Dzisiejsze praktyki rządzących trafiają zatem na dobrze przygotowany grunt.

– PiS także nie robi tych konkursów. Oczywiście to naganne i szkodliwe społecznie i politycznie, ale nie ma w tym przynajmniej hipokryzji.

Co musiałoby nastąpić, aby przekroczenie horyzontu recydywy stało się realne?

– Niezbędna wydaje mi się szeroko zakrojona debata publiczna na temat państwa. Refleksja dotycząca jego etosu, tego, co w nim silne i słabe, etapów jego ewolucji, stanowi fundament tej debaty. To warunek rzeczywistej naprawy wizerunku państwa w oczach obywateli. Państwo polskie jest w istocie traktowane jako struktura dyscyplinująca czy karząca. Urzędnicy patrzą na obywateli pod kątem tego, czy nie kradną, czy płacą podatki, czy są uczciwi w miejscu pracy.

Nasze państwo ma cechy struktury klanowej.

No dobrze, ale refleksja na temat państwa w wykonaniu starej gwardii polityków liberalnych jest dla PiS wodą na młyn.

– Dlatego dopóki pewne rzeczy będą akcentować werbalnie politycy, którzy wzbudzają znużenie i irytację, którzy źle wykorzystali swoje pięć minut, opozycja liberalna nie przekroczy tego horyzontu. Moim zdaniem pierwszym krokiem powinna być zmiana grupy przywódczej w Platformie Obywatelskiej. Postaciami pierwszoplanowymi nie powinni być nieudacznicy ani ludzie uwi-

Jarosław Kaczyński, przez wiele lat wyśmiewany i poniżany, mozolnie budował swoją pozycję polityczną.

eprasa.pl ed8943ebb3

kłani w polityczne rentierstwo. Sądzę zarazem, że spoiwem obozu władzy jest dzisiaj perspektywa przedłużenia rządów i apanaży płynących z tego tytułu. Perspektywa reelekcji układu obecnie rządzącego jest klejem, który będzie utrzymywał ten obóz w jedności.

Czy młode pokolenie polityków może to zmienić?

– Na pewno, jeżeli chodzi o opozycję. Nie chcę przeceniać roli tych ludzi, głównie z uwagi na wiek, ale twierdzę, że należy zagrać pokerowo i dokonać całkowitej wymiany kadr. Na ludzi, którzy są już doświadczeni, choć mogą być kontrowersyjni np. ze względu na ich wypowiedzi, ale którzy nie są negatywnie kojarzeni z byłym mechanizmem rządzenia.

Nieuwikłanie w układy polityczne to trochę mało jak na nową jakość.

– To jest punkt wyjścia. Nie chodzi o to, żeby ich postawić i powiedzieć: zobaczcie, mamy nowych ludzi. Oni muszą przyjść z nowymi pomysłami i koncepcjami. Oczywiście taki proces wiąże się z ciężką pracą. Dużo też zależy od umiejętności czekania na swoją chwilę. To jedna z podstawowych cnót polityka dużego formatu. Można postawić różne zarzuty Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale jedno należy mu przyznać – był w stanie przez wiele lat, będąc wyśmiewanym i poniżanym, mozolnie budować swoją pozycję polityczną. Nie widzę takiej cechy u Grzegorza Schetyny, Ewy Kopacz ani tym bardziej u Ryszarda Petru.

Widzi pan w tym układzie miejsce dla lewicy? Powiedział pan swego czasu, że jest w społeczeństwie duża grupa, może nawet 30%, która stanowi potencjalny elektorat lewicy.

– Myślę, że obecnie jest to ok. 20%. Wiele osób o poglądach lewicowych oddało głos na PiS. Politycy lewicy muszą stale zadawać sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Kiedy myślę o perturbacjach lewicy, przypomina mi się słynny francuski pisarz Gustave Flaubert, który w jednym z listów napisał znamienne słowa: „Wszystkie sztandary zostały do tego stopnia splamione krwią i gównem, iż byłby już czas nie mieć żadnego".

Mocne.

– Ale jakże prawdziwe, bo w tym wyczuwam słabość polskiej lewicy. Jej liderzy przez lata nie potrafili się dogadać. Lewica jest potrzebna w Polsce. Są ku temu przesłanki ideowe, ale też właśnie statystyczne. Dzisiaj PiS przejęło większość postulatów lewicowych i inteligentnie je realizuje metodami rozdawnictwa, ale przecież nie jest partią o skali wartości typowej dla lewicy.

Platforma Obywatelska jest dla mnie przykładem gigantycznego nieudacznictwa politycznego.

Tylko co lewica powinna zrobić, aby powstać z kolan?

– Wszystko zależy od tego, czy uda się połączyć kilka kluczowych sfer w atrakcyjną ofertę dla wyborców.

Co należy połączyć?

– Wolnomyślicielstwo w obszarze obyczajowym, wrażliwość społeczną w sferze socjalnej i otwartość myślenia w gospodarce. Operacja scalania tych obszarów jest bardzo trudna i wymaga mozolnej pracy. Będzie mógł to zrobić tylko ktoś z otwartą głową, kto nie będzie się zaliczał do kunktatorów politycznych. Proszę zauważyć, że z grona ludzi, którzy odegrali istotną rolę po stronie lewicy, wielu jest dzisiaj znakomicie sytuowanych materialnie. To także wiele nam mówi o kondycji pewnej generacji klasy politycznej utożsamiającej się z lewicą.

A Biedroń, Nowacka, Zandberg?

– Obecnie nie ma takiej lewicy ani takich przywódców, którzy swoją charyzmą mogliby przyciągnąć miliony. Lewica jest na etapie swoistego kociokwiku, zarówno na poziomie organizacyjnym, jak i programowym. Nie ma ludzi, którzy byliby w stanie przeprowadzić proces jej rewitalizacji. To jeszcze trochę potrwa. Niska frekwencja wyborcza potwierdza, że duża część potencjalnie lewicowych wyborców nie ma zamiaru udzielać poparcia partii nominalnie lewicowej.

Rządzące dziś PiS realizuje kilka słusznych projektów w sferze społecznej, co ogranicza działanie lewicy na tym terenie.

– Moim zdaniem bardzo ważna będzie kwestia myślenia o sprawach światopoglądowych i obyczajowych. PiS jest skazane na wizerunek partii, która nie będzie mogła odstąpić od swojej interpretacji purystyki obyczajowo-światopoglądowej. Gdy PiS do tego powróci, pojawi się dla lewicy możliwość rywalizowania z nim. Sytuację może jej ułatwić fakt, że opozycja liberalna siedzi w tych sprawach okrakiem na barykadzie.

Kiedy PiS zbuduje nowe państwo, lewica będzie miała pole do działania?

– Jeśli PiS będzie w stanie przeforsować większość swoich pomysłów co do kształtu państwa, od systemu prawnego, przez dekoncentrację mediów i zmiany na poszczególnych szczeblach systemu edukacyjnego, aż do finału, którym miałaby być nowa konstytucja, pojawi się taka szansa.

I co wtedy?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WYKOP.PL

eprasa.pl ed8943ebb3

– Jeżeli te sprawy zostaną przez PiS zakończone, nieuchronny będzie powrót do obszarów, które stanowią istotny czynnik konfliktujący społeczeństwo. Mam na myśli sprawy światopoglądowe i obyczajowe. Wtedy pojawi się szansa dla lewicy. Jednak i dziś lewica, zamiast biernie czekać, co zrobi PiS, powinna podejmować próby wyjścia z letargu. Na razie nie dostrzegam sygnałów świadczących o tym, że krytycznie i skutecznie monitoruje rządzących. Cały ten scenariusz ma naturalnie jedną, ale podstawową słabość – nie wiadomo, czy po tych wszystkich zmianach przedsięwziętych przez PiS będzie jeszcze zapotrzebowanie społeczne na samodzielną partię lewicową. Jest to więc pytanie o świadomość społeczną.

Trudno się zgodzić z opinią o bierności lewicy. Czarny protest, protesty w zakładach pracy, walka z umowami śmieciowymi, in vitro, związki partnerskie, świeckie państwo – wszystkim tym zajmowała się w ostatnich latach lewica.

– Ale niech pan to przełoży na statystyki. To są ruchy mniejszościowe, o małym potencjale krytycznym, który w niewielkim stopniu można wykorzystać politycznie. Wielkie wydarzenia, które wywołują zmianę układu rządzącego, wymagają długotrwałego zaangażowania setek tysięcy ludzi.

Wiele osób o poglądach lewicowych oddało głos na PiS. Politycy lewicy muszą stale zadawać sobie pytanie, dlaczego tak się stało.

Ale to znaczy, że lewica powinna zrobić ukłon w stronę centrum?

– Jeśli ma wrócić do gry jako potencjalny partner w realnym współrządzeniu, otwarcie się na centrum będzie koniecznością.

Struktura społeczna lipcowych protestów pokazuje, że przeciwko rządowi protestują przede wszystkim osoby z dużych miast, raczej zamożne, a ostatnio także młode. W refleksji politycznej zupełnie nieobecne są natomiast wieś i mniejsze miasta.

– Jeżeli opozycja liberalna i lewicowa chce się stać ruchem, który mógłby stworzyć zaczyn nowej partii czy ruchu o charakterze federacji ugrupowań sprzeciwiających się polityce rządzących, musi uwzględnić perspektywę małomiasteczkową. Nie wygra się wyborów, kokietując wyłącznie środowiska zamożniejsze, bardziej otwarte obyczajowo, żyjące w dużych miastach. Poprzednie wybory wygrała partia, która konsekwentnie i długotrwale docierała do środowisk małomiasteczkowych i wiejskich. Nie można budować pozycji politycznej, bazując na grupach lepiej sytuowanych. Na razie nie widzę skutecznych prób wyjścia poza ten obręb. To powinno być sygnałem ostrzegawczym dla opozycji liberalnej i lewicowej.

Kacper Leśniewicz

eprasa.pl ed8943ebb3

Bez uprzedzeń

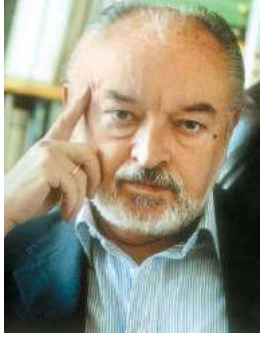

Bronisław Łagowski

JAK TO W POLSCE

W liberalnych mediach (liberalnych umownie) nie ustają narzekania na przywódców opozycji, Platformy Obywatelskiej w szczególności, z powodu ich niewyrazistości, propagandowej nieskuteczności, braku zarówno politycznego programu, jak osobistej charyzmy. W Polsce od jakiegoś czasu liczy się bardzo na sprawczą moc charyzmy i pod kątem tej tajemniczej właściwości obserwuje się osoby publiczne. Zakładam, że potrafię poznać się na charyzmie, i twierdzę, że od czasu Piłsudskiego nie było w Polsce postaci charyzmatycznej, a kardynałowie Wyszyński i Wojtyła stali się charyzmatyczni, dopiero gdy zajęli wysokie miejsca w hierarchii Kościoła katolickiego; jednemu charyzmy udzielił urząd prymasa, drugiemu tron papieża. Czas oczekiwania na charyzmatycznego przywódcę Platformy Obywatelskiej jest czasem straconym. Poza tym partia PiS jest dowodem na to, że w polityce można odnosić sukcesy, nie mając przywódcy charyzmatycznego. Polska do tej pory znajdowała się pod panowaniem duopolu złożonego z obu tych partii, jedna miała rząd, a druga była opozycją. W tym zaprzęgu PiS było ogierem, a Platforma wałachem, czyli zwierzęciem bezpłodnym. Tematy, problemy i nieraz cele narzucało PiS, a PO do tego przeważnie się stosowała, zwłaszcza gdy chodziło o projekty najbardziej nikczemne, jak lustracja czy odbieranie emerytur. Dziś, gdy Platformie nikt już nie podpowiada ani jej nie przymusza do galopu i PiS wszystko robi samo, przekaz idący od PO jest już tylko bezkształtną i nudną deklamacją. Oczywiście w sprawach dla kraju najważniejszych, jak „określone" miejsce zajęte przez Polskę w sekularnym (patrz: Słownik wyrazów obcych) konflikcie Ameryki z Rosją oraz ciągłość państwa polskiego, czyli prawowitość Polski Ludowej, obie partie są doskonale zjednoczone i nic ich nie rozdzieli. Kto liczy, że Tusk, wróciwszy na ojczyzny łono, postawi swoją partię na nogi, niech sobie przypomni, że to on był tym, który pozbawił ją zdolności rodnych.

Czas oczekiwania na charyzmatycznego przywódcę Platformy Obywatelskiej jest czasem straconym.

W sprawach, na których PiS zależy – a nie są to żywotne interesy narodowe – opozycja z Platformą na czele podporządkowuje się hegemonicznej sile III RP. Ostatni przykład: Sejm jednomyślnie uchwalił pochwałę faszystowskiej organizacji zbrojnej z czasów wojny. Rozumiem, że Polska naśladuje swojego najbliższego sojusznika Ukrainę – która jest tym sojusznikiem na mocy polskiego postanowienia, a nie obiektywnie – bo ma naturę naśladowczą. Tam wywindowali na najwyższe postumenty swoich faszystów, więc i Polacy chcieliby mieć do czczenia swoją UPA i swoich szczerze polskich banderowców. Polskie Stronnictwo Ludowe, czyli nasza chrześcijańska demokracja – jak sama siebie definiuje – raczej rzadko, jeśli w ogóle, daje się porwać jakiemuś bezinteresownemu, szlachetnemu uczuciu i tym razem zapomniało, że owi świętokrzyscy bohaterowie zabijali partyzantów Batalionów Chłopskich i działaczy ludowych, bo martwych nikt już nie wskrzesi, a koalicja z PiS może przynieść wymierne korzyści.

Platformersi postanowili zaznaczyć swoją samodzielność w sprawie wysuniętych przez partię rządzącą żądań reparacji wojennych od państwa niemieckiego. Na czym polega ta ich odrębność? Lider sejmowy tej partii poseł Neumann chodzi po telewizjach i pomstuje, dlaczego rząd domaga się reparacji tylko od Niemiec, a nie żąda odszkodowań wojennych od Rosji! Mamy się domyślać, że gdy tylko wróci z Brukseli Donald Tusk i PO wygra wybory, liberalny rząd natychmiast zażąda reparacji od Rosji. Wprawdzie reparacje płaci zazwyczaj i z natury rzeczy państwo, które wojnę przegrało, co Rosji na razie nie spotkało, ale może spotkać, bo jak wiadomo, Donald Tusk, gdy był premierem, zaplanował zakup broni dalekostrzelnej, sięgającej do Moskwy, a poza tym od czego mamy Ukrainę?

Najśmielej reparacji od Rosji domagają się dziennikarze. Przytoczyłem tydzień temu małe zdanko z „Gazety Wyborczej". Konkurencja pisze więcej i radykalniej. Ma to też większe znaczenie, co pisze, bo „Gazeta Polska Codziennie" to prawie oficjalny organ rządzącej większości. Czytamy tam: „Polska była okupowana przez Sowietów do 1989 r. Należałoby więc wziąć pod uwagę cały ten okres. To ciąg zbrodni, niegodziwości, likwidacji i rozkradania polskiego majątku, kradzież dóbr kultury. (…) W momencie, kiedy domagamy się reparacji od Niemiec, o to samo powinniśmy wystąpić do Rosji. Co więcej, rachunek wobec Rosji byłby dużo wyższy niż w stosunku do Niemiec. Ze względu na czas okupacji oraz intensywność zła, które nam wyrządziła". Nie jest to odosobniony pogląd, całe media „narodowe" w tym duchu przemawiają, „liberalne" też się od tego stanowczo nie dystansują. Kładą nacisk na nieskuteczność takich żądań, a nie na ich absurdalność.

Gdy przeminą rządy solidarnościowe, trzeba będzie ludzi poinformować: po I wojnie światowej Niemcy domagali się zwrotu Gdańska i grozili wojną. Potem doszedł do władzy Hitler i przesunął na drugi plan sprawę Gdańska, bo miał ambitniejsze plany. Postanowił podbić i skolonizować Rosję. Polska zawadzała mu po drodze, więc ją

eprasa.pl ed8943ebb3

podbił, Żydów kazał wymordować co do jednego, Polaków w drugiej kolejności i zostawić przy życiu tylko część z nich do czarnej roboty. To nie były tylko plany, wszystko to Niemcy, dziś pospolicie zwani nazistami, zaczęli robić. W Rosji doskonała armia niemiecka napotkała niespodziewanie silny opór i w końcu została przez armię radziecką pokonana. Polska została materialnie zrujnowana, 5 mln ludzi, głównie Żydów, zostało zamordowanych. Dzięki zwycięstwu Rosji państwo polskie powstało na nowo. W wyniku wojny Stalin dał Ukraińcom ziemie ukraińskie, Białorusinom białoruskie, Litwinom litewskie, a Polakom dał niemieckie. Popełnił on wielką niesprawiedliwość w stosunku do Niemiec, ponieważ myślał, że zdobędzie w ten sposób wdzięczność Polaków, w czym się bardzo pomylił. Po upadku Związku Radzieckiego Polacy przeszli pod protekcję amerykańską i żądają od Rosji odszkodowań za to, że zostali ocaleni od zagłady.

•

Stare przyzwyczajenie sprawia, że interesuję się reformą szkolnictwa wyższego. Wicepremier i minister Jarosław Gowin tym razem zna materię swojego resortu, bo jego pierwszym biznesem było założenie wyższej uczelni. Nie była to jednak zwykła wyższa uczelnia, lecz europejska (miała to w nazwie), i nie zwykła europejska, lecz im. ks. Józefa Tischnera, i nie tylko to nazwisko ją zdobiło, lecz także nazwiska członków rady patronackiej, takie jak Kołakowski, Bartoszewski, Norman Davies, Herling-Grudziński, bodajże i inne tej rangi. Ponadto reklamowała się, że szkoli nie zwykłych studentów, lecz przygotowuje liderów i kadry instytucji unijnych. Co się z nią stało po tym wstępnym rozbłysku nazewniczym i nazwiskowym, tego nie wiem. Gowin wypowiada się w stylu namaszczonym, stawia i sobie wysokie wymagania moralne. Gdy wystąpił z partii PO zaraz po tym, jak nie wygrał wyborów na jej przewodniczącego, tłumaczył w telewizji, dlaczego wystąpił: bo ta partia tak nisko upadła, że nabrał obrzydzenia do samego siebie jako członka. Powtórzył to trzy razy, co wydawało mi się przesadą. Jest mężem stanu, któremu nieobce są posunięcia żartobliwe. Głośnym echem odbił się jego *practical joke* polegający na tym, że dał się przedstawić w telewizji jako kandydat na ministra obrony narodowej, żeby ukryć przed wyborcami, że tym ministrem ma być Antoni Macierewicz. Obrzydzenia do siebie z powodu tego żartu nie miał. Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu, mówi, że Gowin swojego projektu reformy nie konsultował ani z rządem, ani z klubem sejmowym. Minister natomiast twierdzi, że ma akceptację prezesa PiS. Myślę, że rację ma i Terlecki, i Gowin. Prezesa mało zapewne interesuje ustrój szkół akademickich, natomiast od dawna ma on w stosunku do nich jedno wymaganie: lustracja. I to mu Gowin zagwarantował. „Uczelnie to wspólnoty ludzi, którzy poświęcają się poszukiwaniu prawdy. Jeżeli tak jest, to wszyscy musimy stawić czoła prawdzie", czyli badać, kto „pracował dla organów bezpieczeństwa państwa między lipcem 1944 r. a lipcem 1990 r." („Gazeta Wyborcza", 20 września 2017). Przy tak głębokim potraktowaniu badania prawdy po reformie Jarosława Gowina polskie szkolnictwo wyższe niechybnie przesunie się na czołowe miejsce światowego rankingu uniwersytetów.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

NOWA KSIĄŻKA
PROF. ŁAGOWSKIEGO

Wielki kompleks obozu Solidarności. Ciągle walczy z PRL, której nie ma już od 1989 r.

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**.

Więcej informacji:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ed8943ebb3

ZMIANA PREZESÓW SĄDÓW NIE ZMIENI

Czy PiS opanuje sądy? I co będzie z tego miało?

Rozmawia Robert Walenciak

BARBARA PIWNIK

– sędzia

O co chodzi w pisowskich ustawach sądowych? O reformę sądów, czy o to, żeby mieć je swoje?

– Politycy mówią: reformy. A co to jest naprawdę? Zapisy w projektach ustaw to nie są żadne reformy, to nie są zmiany, które mogłyby usprawnić tok postępowania przed sądami. Czyli chodzi o kadry. Mówiłam o tym od początku – że tak naprawdę chodzi o to, kto jakie będzie zajmował stanowisko, poczynając od Krajowej Rady Sądownictwa. Ale nie zmieni to sytuacji, jeśli chodzi o codzienność w sądach.

A jeśli chodzi o samych sędziów?

– Rozmawialiśmy już o tym prawie dwa lata temu, w lutym 2016 r. Mówiłam, że dla sędziów nadchodzi czas próby. Tu nic się nie zmieniło.

Ludzie mało interesują się rozgrywkami na linii politycy-sędziowie. Za to zdecydowanie bardziej samym funkcjonowaniem sądów. I to decyduje, po czyjej stronie są sympatie społeczne.

– Obywateli interesuje to, co przekłada się na ich sytuację. Na przykład czas oczekiwania na rozpatrzenie sprawy, długość procedowania… Tylko że zmiany proponowane przez PiS w żaden sposób w ten obszar nie wkraczają. Politycy mogą uchwalić projektowane ustawy – a nic się nie zmieni.

Przecież parę razy dziennie słyszymy: reformy, reformy. Ludzie sądzą, że o to w tym wszystkim chodzi.

– To się rozczarują. Wielu Polaków, słysząc te burzliwe dyskusje, pewnie myśli, że coś się zmieni na lepsze w sądach, na styku obywatel-sądy. Ale dyskusje są o czym innym.

O kadrach.

– Kadry są bardzo ważne. Tylko że ja, mówiąc o kadrach, myślę przede wszystkim o sędziach, którzy codziennie sądzą, stykają się z obywatelami. To nie ci, którzy pełnią funkcję prezesa, wiceprezesa, nie ci, którzy będą zasiadać w Krajowej Radzie Sądownictwa, mają wpływ na wizerunek wymiaru sprawiedliwości i na to, jak sądy są oceniane. Bo obywatel widzi, słyszy, doświadcza działań tego sędziego, który…

...sądzi jego sprawę.

– I to na gruncie złego, szybko zmieniającego się prawa, przytłoczony ogromną liczbą spraw różnego kalibru, pracujący często w warunkach niewłaściwych. I żadne marzenia władzy, tej czy innej, żeby podporządkować sobie kadry, niczego nie zmienią, jeśli chodzi o codzienność.

To nie ci, którzy pełnią funkcję prezesa sądu i będą w Krajowej Radzie Sądownictwa, mają wpływ na ocenę sądów.

SĄDOWA CODZIENNOŚĆ

Zaskoczyła panią obecność I prezes Sądu Najwyższego na ślubowaniu nowego sędziego Trybunału Konstytucyjnego Justyna Piskorskiego, sędziego dublera? I tłumaczenie rzecznika SN – że „w trudnym okresie stresów i przepracowania każdemu z nas zdarzają się kroki podjęte bezrefleksyjnie”?

– Obecność – nie. Tłumaczenie – tak.

Czy środowisko sędziów ma kręgosłup? Postawi się władzy, a może pokornie schyli czoło?

– Nadchodzi czas próby. Najważniejsze jest to, żeby sędzia wychodzący na salę, rozpatrujący określoną sprawę, miał na uwadze tylko tę sprawę, dokładne zapoznanie się z nią, obowiązujące prawo i żeby nie zważał na to, jak jego rozstrzygnięcie zostanie odebrane.

A tak będzie?

– Ci, którzy przeżyli w zawodzie bardzo dużo, którzy mają długi staż pracy i dla których zawsze największą wartością było to, że są sędziami, rozterek przeżywać nie będą. Wiedzą, że historia kołem się toczy, swoje widzieli i przeżyli, wiedzą, co jest wartością najwyższą. Natomiast żyjemy w świecie pogoni za sukcesem, awansem, jakąś pozycją wyróżniającą w społeczeństwie. Sędziowie także są nieodrodnymi dziećmi swoich czasów. Ale żeby nie powiało smutkiem – pracuję z sędziami znacznie ode mnie młodszymi, dzieli nas duża różnica wieku, jednak mogę stwierdzić, że mają podobne podejście do zawodu jak ja. Jak w każdym środowisku ludzie są różni.

Różnie reagują na atmosferę.

– Dlatego wolałabym, żeby sędziowie, działający w stowarzyszeniach lub będący rzecznikami prasowymi, kiedy zabierają głos publicznie, mniej czasu poświęcali dyskusji dotyczącej stanowisk, natomiast więcej mówili o tym, co przeszkadza pracować tak, aby wyroki były postrzegane jako sprawiedliwe, a przewlekłość postępowania nie była główną bolączką. Szkoda czasu w debacie publicznej na to, jak trafić do Krajowej Rady Sądownictwa, bo obywatela interesuje co innego.

To, dlaczego jego sprawa miesiącami zalega w sądzie.

– Proszę pana, np. ja, z moim stażem pracy, ostatnio zajmowałam się sprawą za 19 zł, rozstrzygając o tajemnicy bankowej. To jest dzień powszedni polskich sądów – rosnąca ilość pracy, zawalanie nas sprawami,

eprasa.pl ed8943ebb3

które można rozstrzygnąć gdzie indziej i inaczej. Podam przykład sądu i wydziału, w którym orzekam. Tegoroczny wpływ spraw, a mamy wrzesień, już przekroczył stan z ubiegłego roku. Do tego podmioty fachowe, które w tych sprawach do sądu przychodzą, nie błyszczą kompetencją. Czasem wręcz porażają nas brakiem profesjonalizmu.

Prokurator jest nieprzygotowany do sprawy.

– A adwokaci, a radcowie prawni, którzy występują w charakterze obrońców? Naprawdę jest coraz gorzej. Jak obywatel ma w miarę szybko otrzymać orzeczenie, jeżeli mamy chaos w prawie, nie nadążamy za jego zmianami, a na rozprawy przychodzą niefachowe fachowe podmioty? I jeżeli w mediach przedstawia się jako główny problem to, że ktoś ukradł kiełbasę.

Za 6,70 zł, 11 lat temu. To był sędzia w stanie spoczynku.

– Ten sędzia podobno już nie żyje. Ale co pozostaje w odbiorze społecznym?

Sprawa sprzed 11 lat, z prostym przesłaniem, że sędziowie kradną. Że jeden drugiego broni, że nadużywają immunitetu. Premier Szydło mówi o sądownictwie, że to obszar patologii.

– Sędziowie nie wykorzystali szansy, nie uczestniczyli w życiu publicznym. Milczeli przez lata o tych sprawach, które są najważniejsze w ich życiu zawodowym, i milczą nadal. A żeby rozumieć problemy wymiaru sprawiedliwości i oceniać pracę paru tysięcy sędziów, trzeba czegoś więcej niż informacji o tym, że ktoś ukradł kiełbasę.

BĘDĄ „CZYŚCIĆ" I DYSCYPLINOWAĆ

Co PiS może sobie załatwić, kiedy przejmie kontrolę nad sądami? Co mu to da?

– Co można chcieć sobie załatwić? Jeszcze nie mamy takich procesów jak kiedyś afera mięsna czy skórzana, które były zagrożeniem dla obywatela.

Na razie…

– Nie za bardzo sobie wyobrażam, jak można przejąć kontrolę nad sądami, bo nigdy nie będzie wiadomo, co w duszy każdego z tysięcy sędziów gra i kiedy obudzi się w takim sędzim duch walki i niezależności. Ale to, że może dojść do sytuacji, w której ktoś chciałby wykorzystywać sędziów, jest zdarzeniem przyszłym i niepewnym. Nikt nie bierze też pod uwagę tego, że trzecia władza ma inną perspektywę czasową. Jeżeli ktoś zostaje powołany na stanowisko sędziego, może pełnić tę funkcję do stanu spoczynku, czyli praktycznie dożywotnio. A pozostałe władze zmieniają się co kilka lat, mają swoje kadencje. Kiedy połączymy to z tym, że młyny sprawiedliwości mielą powoli, trzy-cztery lata wobec kadencji senatorów, posłów, prezydenta nie będą znaczyły za wiele. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że sprawa może trafić do kolejnych instancji. A tu jest taka reakcja, jakby wszyscy przyjęli, że obecna większość parlamentarna ma zapewnione 20 lat władzy. Może tak będzie, a może nie. Może więc ktoś powinien uświadomić sejmowej większości, że jeżeli zostaną przyjęte takie, a nie inne rozwiązania prawne, to jeśli koło historii się obróci i dojdą do władzy inni, właśnie oni będą dysponować tymi możliwościami. Taka jest demokracja – ktoś myśli, że załatwia coś sobie, a za chwilę okazuje się, że załatwił, ale rywalom.

Chyba że obecna władza będzie trwała 20 lat. Oni w to, zdaje się, wierzą.

– Jeżeli nie będzie zmian w tych obszarach, które rzeczywiście decydują o tym, jak funkcjonuje wymiar sprawiedliwości, wszystko skończy się tak jak w „Greku Zorbie".

Z propozycji obozu rządzącego wynika, że sposobem na „oczyszczenie" środowiska jest przeniesienie części sędziów w stan spoczynku.

– Owszem, jest dyskusja, w jakim wieku sędziowie mają przechodzić w stan spoczynku. Jak to ma być w Sądzie Najwyższym, a jak w sądach powszechnych. Bo może być różnie, do tego kto inny może decydować w Sądzie Najwyższym, a kto inny w sądach powszechnych.

Politycy mówią: reformy. A chodzi o kadry.

Tu prezydent, a tam minister sprawiedliwości.

– Minister sprawiedliwości ma przynajmniej dane dotyczące potrzeb sądów. Może zatem, uwzględniając potrzeby wymiaru sprawiedliwości, decydować, kogo ewentualnie nie odsyłać w stan spoczynku. A prezydent? Do dyspozycji będzie miał imię i nazwisko. W takiej sytuacji już wolę, żeby decydował o tym minister, który ma wgląd w dane, co pozwala mu planować etaty, przewidywać stany kadrowe. Ale u nas dyskusja wchodzi na poziom wiążący się wyłącznie z personaliami. Wszystko się kręci wokół kadr, a nie wokół potrzeb społecznych.

Toczą się również dyskusje na temat Izby Dyscyplinarnej w Sądzie Najwyższym.

– Słyszałam ostatnio, że ta projektowana Izba Dyscyplinarna ma być wzbogacona poprzez udział ławników. Jak gdzieś przeczytałam, to zwykli ludzie powinni sądzić sędziów. No, jestem ciekawa, jak wokół tego będzie się toczyć dyskusja. Bo widzę, że pojawiają się pomysły coraz bardziej populistyczne. Jeśli chodzi o mnie, zawsze byłam zwolenniczką szerokiego udziału ławników w rozpoznawaniu spraw w sądach powszechnych I instancji. Ale mając doświadczenie

Najważniejsze, żeby sędzia miał na uwadze rozpatrywaną sprawę, a nie to, jak jego rozstrzygnięcie zostanie odebrane.

eprasa.pl ed8943ebb3

pracy w składach orzekających z ich udziałem, jestem bardzo sceptyczna co do orzekania przez nich na szczeblu Sądu Najwyższego.

Czy ta izba jest potrzebna? Trzeba dyscyplinować sędziów?

– Z doświadczenia wiem, że sprawy dyscyplinarne w przypadku sędziów i tak miały finał w Sądzie Najwyższym. W związku z tym to nie jest nowość, że byłyby rozpatrywane na tym szczeblu. A utworzenie wydziału? Patrząc od strony organizacyjnej, wcale nie jest ich tak dużo, żeby wydział mógł pracować pełną parą i nieustannie.

CZY PREZES JEST WSZECHWŁADNY?

Prof. Michał Królikowski przygotowujący dla prezydenta Dudy projekty ustaw sądowych stwierdził, że to skandal, że w Sądzie Najwyższym są sędziowie, którzy trafili tam jeszcze w latach 80.

– Ja też jestem sędzią z lat 80. I co? Jeśli nie ma czym zwrócić na siebie uwagi, to można wołać, że są sędziowie z dawnych lat. Tylko że to dość niebezpieczny skrót myślowy. Sędziowie z lat 80. tak jak ja rozpoczynali pracę i orzekanie w czasach Solidarności, strajków, kiedy wszystko się zmieniało. Ja zaczynałam sądzić w roku 1980, w październiku. Ale historia mojej rodziny jest inna, więc nie musiałam przechodzić przyśpieszonej lekcji, jak być obywatelem. Młodzi sędziowie, aplikanci, chociażby w takim sądzie jak warszawski, gdzie dużo się działo, np. w stanie wojennym, obserwowali starszych kolegów, którzy nie bali się podejmować decyzji innych, niż oczekiwała władza. Uczyli się, co to znaczy być niezawisłym. I jaką cenę można za to zapłacić.

Od brudnej roboty była specjalna grupa sędziów.

– Zawsze są ludzie i ludziska. Zawsze są ci, którzy zgadują oczekiwania władzy, którzy własny interes będą przedkładać nad dobro społeczne. Wtedy też tak było. Gdyby zapytać opozycjonistów, którzy niejedno w sądzie widzieli, to oni z góry wiedzieli, do jakiego sędziego trafią i jaki prokurator będzie ich oskarżał. To było wiadome. Ale tych sędziów już dawno w sądach nie ma. Trzeba sądy znać, a nie opowiadać o nich według swoich wyobrażeń.

Minister Ziobro mianuje prezesów sądów. To duża władza.

– Opowiem panu historię ze stanu wojennego. Wtedy prezesem sądu warszawskiego był sędzia Wieczorek, starszy pan, bardzo szanowany. I taką historię opowiedziała mi moja koleżanka pracująca w wydziale karnym. Siedziała z przewodniczącą wydziału, planowały wyznaczanie rozpraw w trybie doraźnym, wszystko musiało być szybko i pilnie. Przyszedł prezes Wieczorek i zapytał: „Jak tam, dziewczyny, radzicie sobie? To bardzo dobrze. Więc uniewinniajcie, uniewinniajcie, tylko dobrze uzasadniajcie". Zabrał się i poszedł. Tacy byli sędziowie prezesi! Oczywiście jak sędzia przyszedł na salę rozpraw, to nie uniewinniał dlatego, że prezes tak mu podpowiedział. To była jego odpowiedzialność, jego sprawa i jego honor zawodowy. Tak samo jest dzisiaj. Przede wszystkim czy mamy tego typu sprawy, którymi władza interesowałaby się, tak jak to było w okresie stanu wojennego? Czy dzisiejsi sędziowie, w większości wychowani w wolnym świecie, wszyscy są tacy źli, że mieliby słuchać prezesa? Co robi mój nowy prezes w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga, właśnie powołany przez nową władzę? Biega po sądzie i łamie sobie głowę, jak wygospodarować salę rozpraw, żeby sprawy mogły być szybciej rozpoznawane. A u nas wszyscy zaczynają żyć w przekonaniu, że jak przyjdzie prezes, to jest wszechwładny.

Trochę przykro, że żyjemy w czasach, kiedy nie wierzymy w nic, oprócz prezesa.

– Gdy wychodzę na salę rozpraw, nie obchodzi mnie, kto jest ministrem sprawiedliwości ani co mówił wczoraj w telewizji.

Innych sędziów może to obchodzić.

– A skąd się wzięli ci sędziowie? Jak trafili do zawodu? Czyżby Krajowa Rada Sądownictwa, która przez wiele kolejnych lat decydowała o tym, kto zostaje sędzią, kto awansuje w tym zawodzie, popełniała tak wielkie błędy? Jeżeli selekcja była jak należy i jeżeli wszyscy opiniujący, wizytatorzy, członkowie KRS dobrze wypełniali swoje obowiązki, to skąd się rodzą obawy, że w tym gronie jest tylu ludzi, których musimy się obawiać?

Robert Walenciak

Sędzią można być praktycznie dożywotnio, pozostałe władze zmieniają się co kilka lat.

Dzień powszedni polskich sądów: rosnąca ilość pracy, zawalanie nas sprawami, które można rozstrzygnąć gdzie indziej i inaczej.

W lipcowych protestach w sprawie zawetowania ustaw przygotowanych przez PiS wzięły udział dziesiątki tysięcy ludzi.

eprasa.pl ed8943ebb3

PiS jak czołg – strzela i rozjeżdża

Żadna z propozycji PiS nie usprawnia pracy sądów, za to pozwala uzyskać na nie wpływ personalny

Robert Walenciak

Sprawiedliwe sądy – tak brzmi nazwa kampanii, którą prowadzi Polska Fundacja Narodowa. Wszyscy choć trochę śledzący wydarzenia już o niej wiedzą. Że za 19 mln zł, wziętych ze spółek skarbu państwa, rozlepiła po Polsce billboardy, z których możemy się dowiedzieć o różnych niegodziwościach sędziów.

Każda grupa, która stoi na drodze PiS, jest systematycznie niszczona.

Fundacja sponsoruje także stronę internetową Sprawiedliwe sądy. To również propaganda – pod hasłem „nadzwyczajna kasta" możemy przeczytać trzydzieści parę historyjek, które łączy jedno – stawiają sędziów w złym świetle i mają przekonać, że z tą „kastą" trzeba zrobić porządek.

Historyjki są przypadkowo dobrane, od Sasa do Lasa, z różnych okresów, z roku 2009, 2012, 2016, 2017. Że pijany sędzia awanturował się w klubie, że gorzowski sąd wypuścił pedofila z aresztu albo że sędzia może bezkarnie kłamać.

Dno? Niewątpliwie. Ale wystarczyło, żeby premier Szydło, otwierając kampanię, mówiła o „patologii w systemie sprawiedliwości" i że jej rząd chce to zmienić. Na podstawie przypadkowych notatek, byle jak dobranych, wyrobiła sobie zdanie.

Jednocześnie PiS demonstrowało sondaże, w których rosła akceptacja dla „reform" w sądownictwie i spadały oceny działalności sądów. Jeżeli jeszcze jesienią 2016 r., czyli już za czasów PiS, ale przed kampanią wymierzoną w sądy, dobre oceny trzeciej władzy wystawiało 36% Polaków, to już w czerwcu – 28%. Złe natomiast skoczyły z 40% do 49%. Te dane to też element nacisku.

Tak oto możemy naocznie się przekonać, jak wygląda polska polityka. PiS wybiera sobie grupę, która przeważnie nie cieszy się wielką sympatią społeczną, propagandowo ją masakruje, a potem przeprowadza to, co chce (nie zawsze musi to być ustawa).

W przypadku sędziów punktem wyjścia było trzydzieści parę wydarzeń, różnej wagi, z ostatnich ośmiu lat. Te wydarzenia są później powtarzane – przez pisowskie media, pisowskich dziennikarzy, polityków PiS. W ten sposób do zwykłych ludzi płynie przekaz, że jest jakiś wielki problem i rząd musi go rozwiązać, a ci, co mają wątpliwości – bronią patologii.

W propagandzie PiS ważne jest konsekwentne powtarzanie oskarżeń.

A jak rząd musi go rozwiązać? Reformując. Co to znaczy? Wyjaśnia to Barbara Piwnik – żadna z propozycji PiS nie usprawnia pracy sądów, za to pozwala uzyskać na nie wpływ personalny. Innymi słowy – albo PiS wzorem PZPR przyjmuje, że dana instytucja jest dobra wtedy, kiedy partia rządząca ma na nią wpływ, i w ten sposób rozumie reformowanie, albo hasło reform jest tylko przykrywką operacji podporządkowania sobie trzeciej władzy.

Jak zwał, tak zwał. Efekt końcowy jest taki sam. Czy to się powiedzie?

eprasa.pl ed8943ebb3

Władza nie spodziewała się takiej skali protestów.

W lipcu swoje trzy grosze do batalii PiS wtrącił prezydent Andrzej Duda, wetując dwie z trzech ustaw sądowych. A teraz ma przedstawić projekty ustaw, które ma złożyć do Sejmu. Czy są one rzeczywiście czymś nowym, czy tylko przypudrowanym tworem PiS, przekonamy się niebawem.

Jedno jest pewne – mechanizmu pisowskiej polityki, polegającej na negatywnej kampanii, Duda nie naruszy.

Ten mechanizm, jak się okazuje, jest bardzo skuteczny. W ciągu niespełna dwóch lat rządów partia Kaczyńskiego w ten sposób walczyła (i walczy) z Komitetem Obrony Demokracji, z Ryszardem Petru, z byłymi funkcjonariuszami SB, z Unią Europejską, z Niemcami, teraz potyka się z sędziami. Kto następny w kolejce? Lekarze?

Każdego, każdą grupę, która stoi mu na drodze, PiS poddaje takiej operacji. Systematycznie niszczy.

Nie ma mechanizmów, które broniłyby obywateli – z jednej strony, przed potwarzą, z drugiej, przed praniem mózgów.

To nie jest skomplikowane. Jeśli chodzi o sędziów, grupę liczącą ok. 10 tys. osób, wystarczyło wybrać kilkadziesiąt przypadków z ośmiu lat i odpowiednio je przedstawić. Czy raczej – przedstawiać. Bo w propagandzie PiS ważne jest konsekwentne powtarzanie oskarżeń.

Takiej operacji nie przetrwa żadna grupa – ani policjanci, ani duchowni, ani lekarze, ani nauczyciele, ani politycy… Wymieniam te grupy na chybił trafił. Na każdą da się zebrać kilkadziesiąt kompromitujących historyjek, a potem już wystarczy jednostkowe przypadki rozciągnąć na całość i je powtarzać.

W państwie PiS nikt nie jest bezpieczny, każdy może zostać zniszczony. Nie ma bowiem mechanizmów, które broniłyby obywateli – z jednej strony, przed potwarzą, z drugiej, przed praniem mózgów. O jakie mechanizmy chodzi? Po pierwsze, o ogólne poczucie przyzwoitości, które nie pozwala politykom przekraczać pewnych granic. PiS zahamowań nie ma. Po drugie, o niezależne, silne media. One powinny być filtrem oddzielającym propagandę od realu, miejscem pokazywania wydarzeń w rzeczywistej skali, areną debaty. Już nie są – media w III RP, i PiS tego nie zaczęło, tylko dokończyło, zostały spacyfikowane, stały się bardziej ośrodkami propagandy niż agorą.

Po trzecie, jest jeszcze społeczeństwo, jego naturalny sceptycyzm i zdrowy rozsądek. Wiem, że to niepolityczne mówić, że suweren jest w kiepskiej formie, ale przecież gołym okiem widać, jak łatwo można dziś w Polsce opiniami i nastrojami manipulować. Kreować sensacje. Napuszczać jednych na drugich.

Takich czasów dożyliśmy.

Robert Walenciak

Drodzy Czytelnicy,
serdecznie prosimy o udział w dobrowolnej i w pełni anonimowej ankiecie. Jej wyniki zostaną wykorzystane w pracach nad zmianami w PRZEGLĄDZIE, a więc pozwolą lepiej dopasować tygodnik do Waszych potrzeb i preferencji. Adres ankiety:
https://przeglad.webankieta.pl.

Redakcja

Wypełnij ankietę

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS, FB.COM/MŁODZI DEMOKRACI MAZOWSZE, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl ed8943ebb3

DOROŚLI PRZECIW DZIECIOM

Antyszczepionkowcy rosną w siłę, w każdej chwili może się pojawić epidemia

Ewa Rogowska

Kiedy w szpitalu w Białogardzie zostało jedynie wspomnienie po rodzicach, którzy zabrali nowo narodzoną córeczkę, nie godząc się m.in. na zaszczepienie jej przeciw gruźlicy i żółtaczce typu B, pod budynek przybyli antyszczepionkowcy – członkowie Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wiedzy o Szczepieniach „STOP NOP". Przynieśli transparenty z hasłami: „Terroryści w białych fartuchach", „Czyje są dzieci?! Mamy i Taty czy Rządu?!", „Łapy precz od naszych dzieci. Łapy precz od niewinnej rodziny". Skandowali też: „Dzieci należą do rodziny", „Wolny wybór", „Złodzieje dzieci".

– Musieliśmy się pojawić, bo okazało się, że urzędnicy nie wiedzą, że w Polsce jest demokracja, i myślą, że można stosować zasady państwa totalitarnego. Sądzą, że mogą odbierać nam podstawowe prawa – prawa do ochrony naszych dzieci – powiedziała na demonstracji liderka stowarzyszenia Justyna Socha. – Teraz czujemy się zagrożeni. Boimy się żyć w tym kraju, myślimy o tym, żeby wyjechać.

Jeśli ktoś do tej pory nie miał pojęcia o tym, że w kraju funkcjonują organizacje zrzeszające przeciwników szczepienia dzieci, to właśnie się o nich dowiedział. I wie już, że odmowa zaszczepienia dziecka to nie przelewki, bo zgodnie z obowiązującymi przepisami można się narazić na ograniczenie praw rodzicielskich. A na dodatek – jak w przypadku noworodka z Białogardu – można odpowiadać za przestępstwo z art. 160 par. 2 Kodeksu karnego, który mówi: „Kto naraża człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, a jest osobą, na której ciąży obowiązek opieki nad narażoną osobą, może ponosić odpowiedzialność karną w wymiarze od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności".

KONTRA RODZICÓW

W środę, 20 września, Sąd Okręgowy w Koszalinie zdecydował, że cofa decyzję o ograniczeniu władzy rodzicielskiej rodzicom noworodka w zakresie opieki okołoporodowej. Sprawa była o tyle prosta, że okres opieki okołoporodowej właśnie się zakończył. Jednocześnie sąd uchylił postanowienie o ustanowieniu kuratora wobec rodziców. Kolejna rozprawa w sprawie ograniczenia praw rodzicielskich odbędzie się 13 października.

Po korzystnym dla siebie wyroku rodzice z noworodkiem zdecydowali się wrócić do domu. Złożyli też zawiadomienie do prokuratury. Twierdzą, że lekarze w szpitalu zamierzali podać ich dziecku preparat z witaminą K, który jakoby powinien być wycofany z rynku. Żądają od szpitala zadośćuczynienia w wysokości 500 tys. zł. Szpital twierdzi, że zarzuty są nieprawdziwe.

Minister zdrowia na konferencji prasowej wypowiedział się m.in. w sprawie kar za odmawianie szczepień obowiązkowych. Stwierdził: „Wydaje mi się, że obecne przepisy są wystarczające i nie trzeba ich zaostrzać, więc nie pracujemy nad takim rozwiązaniem". Grzywna dla rodziców lub opiekunów za odmowę wykonania obowiązkowego zaszczepienia dziecka wynosi obecnie maksymalnie 10 tys. zł, ale zwykle jest to od 200 do 700 zł. Opornych rodziców można karać kilka razy, ale sumaryczna wysokość nie może przekroczyć 50 tys. zł.

Jedna z akcji zachęcających do szczepienia dzieci.

W ubiegłym roku było 28 tys. przypadków braku u dziecka pełnego kalendarza szczepień obowiązkowych.

W szpitalu w Białogardzie na wniosek ministra zdrowia rozpoczęła się kontrola, nad którą ma pieczę wojewódzki neonatolog.

ŻEBY BYŁO JAK NA ZACHODZIE

Najbardziej prężną organizacją antyszczepionkowców jest Ogólnopolskie Stowarzyszenie Wiedzy

eprasa.pl ed8943ebb3

o Szczepieniach „STOP NOP", powołane do życia w 2011 r. Liderka Justyna Socha potrafi zmobilizować na demonstracje tłumy ludzi. Na manifestacji, która odbyła się 3 czerwca br. w Warszawie, było kilka tysięcy osób.

Przeciwnicy szczepień mają swoich guru, w kraju i za granicą. Jeden z zagranicznych naukowców, twierdzących, że istnieje związek między autyzmem a szczepieniami, okazał się oszustem. Wśród osób z Polski, na które antyszczepionkowcy chętnie się powołują, jest prof. Maria Dorota Majewska, która po 25 latach wróciła do Polski z USA i w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie realizowała program badawczy Komisji Europejskiej. Dotyczył on związku autyzmu z liczbą, rodzajem i natężeniem szczepień. Po jej wypowiedzi z 2008 r., dotyczącej szkodliwości dużej liczby szczepień, zaprotestowało wiele organizacji naukowych, m.in. Polskie Towarzystwo Pediatryczne, Polskie Towarzystwo Wakcynologii, Stowarzyszenie Higieny Lecznictwa. Podobnie głośnym echem odbił się wykład pani profesor na KUL z 16 czerwca br. Stwierdziła ona m.in.: „Szczepienia są głównym źródłem zatruć niemowląt toksycznymi metalami, do produkcji szczepionek celowo użyto ścieków z odpadów przemysłowych, a szczepienia są główną przyczyną autyzmu".

Po argumenty prof. Majewskiej chętnie sięga Ogólnopolskie Stowarzyszenie Wiedzy o Szczepieniach „STOP NOP". W petycji do władz dotyczącej indywidualnego programu szczepień dla dzieci stowarzyszenie powołuje się na 14 postulatów pani profesor. Są wśród nich: zrezygnowanie ze szczepienia noworodków przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, z wyjątkiem noworodków z grup wysokiego ryzyka, zrezygnowanie z podawania noworodkom szczepionki przeciwko gruźlicy, z wyjątkiem grup ryzyka, podanie szczepionek przeciwko maksymalnie trzem chorobom w jednym dniu, zmiana w przepisach terminu „szczepienia obowiązkowe" na „szczepienia refundowane".

W Polsce kalendarz obowiązkowych szczepień ochronnych obejmuje 14 chorób zakaźnych: błonicę, gruźlicę, inwazyjne zakażenie *Haemophilus influenzae* typu B, inwazyjne zakażenia *Streptococcus pneumoniae*, krztusiec, nagminne zakażenie przyusznic (świnkę), odrę, ospę wietrzną, ostre nagminne porażenie dziecięce (*poliomyelitis*), różyczkę, tężec, wirusowe zapalenie wątroby typu B, wściekliznę oraz od tego roku – przeciwko pneumokokom.

Antyszczepionkowcy chcą, by w Polsce było tak jak na Zachodzie. – W 18 krajach Europy jest wolność wyboru – argumentują. Tymczasem np. we Francji od przyszłego roku będzie niewiele mniej szczepień obowiązkowych niż w Polsce. Do tej pory obowiązkowe były jedynie szczepienia przeciw polio, tężcowi i błonicy. Teraz francuski kalendarz szczepień obowiązkowych poszerzy się o odrę, wirusowe zapalenie wątroby typu B, grypę, koklusz, świnkę, różyczkę, zapalenie płuc i zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Ze względu na rosnące zjawisko unikania przez rodziców szczepienia dzieci niektóre miasta próbowały stosować naciski – m.in. w Krakowie i Częstochowie radni zgłosili propozycję wprowadzenia wymogu, że dzieci przyjmowane do publicznych żłobków, przedszkoli i szkół powinny mieć wykonane szczepienia obowiązkowe. Okazało się jednak, że takie rozwiązanie byłoby niezgodne z prawem. W lipcu br. Naczelna Izba Lekarska, zaniepokojona nasilaniem się ruchów antyszczepionkowych, wystosowała w tej sprawie list do ministra zdrowia. Apeluje, by ministerstwo przygotowało projekt ustawy, która pozwalałaby żłobkom, przedszkolom i szkołom wymagać od rodziców zaświadczeń, że dziecko jest zaszczepione.

NEONATOLODZY NA STRAŻY NOWORODKÓW

W Polsce w ostatnich latach zdarza się rocznie od kilku tysięcy do ponad 20 tys. odmów poddania się szczepieniu obowiązkowemu. – W naszym kraju tragicznie rozrastają się ruchy antyszczepionkowe – mówi prof. Maria Borszewska-Kornacka, kierownik Kliniki Neonatologii i Intensywnej Terapii Noworodka Szpitala Klinicznego im. ks. Anny Mazowieckiej w Warszawie, konsultant wojewódzki w dziedzinie neonatologii, prezes Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego. – To oczywiście niezwykle bolesne dla nas, lekarzy, ale również ogromnie szkodliwe dla społeczeństwa. Jeśli rodzice nie zaszczepią swojego dziecka, to zagrażają innym. Choroby zakaźne mogą wrócić.

Zdaniem prof. Borszewskiej-Kornackiej zachorowalność na gruźlicę jest zbyt duża, by można było zrezygnować ze szczepień przeciwko tej chorobie. – Jeżeli zachorowalność będzie mniejsza, to kiedyś być może będziemy się nad tym zastanawiać. A jeśli chodzi o szczepienie noworodków przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby typu B – jest ono ważne dla ich zdrowia, bo nie wiemy, czy dziecko nie będzie miało jakichś zabiegów w okresie noworodkowym. Osoby z ruchów antyszczepionkowych przytaczają dane z innych krajów. My znamy te dane. Na razie jednak nie możemy zrezygnować ze szczepień obowiązkowych.

PRZYJACIELE DZIECI

Organizacje pozarządowe zajmujące się prawami dzieci nie są obojętne na to, co się zdarzyło w Białogardzie. To wydarzenie było wyraźnym sygnałem, że ruchy antyszczepionkowe rosną w siłę. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci do tej pory nie zajmowało się przeciwnikami szczepień. – Ostatnie wydarzenia w Białogardzie spowodowały, że na najbliższym spotkaniu będziemy na ten temat rozmawiać – zapowiada prezes Zarządu Głównego TPD Wiesław Kołak. – Zrzeszamy ludzi o różnych światopoglądach, o różnym wykształceniu i do tej pory nie wypracowaliśmy wspólnego stanowiska w tej sprawie. Na razie mogę więc jedynie wypowiadać się w swoim imieniu. Nie rozumiem, dlaczego

Gdyby nie tworzone i rozwijane po II wojnie światowej programy szczepień, co trzeci Polak nigdy by się nie urodził.

Kalendarz szczepień nie jest tworem urzędniczym, pracują nad nim naukowcy.

eprasa.pl ed8943ebb3

niektórzy rodzice nie zgadzają się na szczepienia. Moje prywatne zdanie: szczepić.

Przewodnicząca Komitetu Ochrony Praw Dziecka Mirosława Kątna w jednym z wywiadów powiedziała: „Ze szczepieniami oczywiście wiąże się pewne, choć niewielkie, ryzyko i dlatego lęk popycha wielu w stronę nieracjonalnych wyborów. Jak zmniejszyć lęk? Powinno się zdobyć jak najwięcej wiarygodnych informacji na dany temat, spojrzeć na fakty, na statystyki. (...) Jeśli zważymy prawdopodobieństwo wystąpienia niepożądanych odczynów poszczepiennych i powikłań po chorobach, którym można dzięki szczepieniom zapobiec, to się okaże, że rodzic bywa szkodnikiem wobec dziecka, nie działa z myślą o jego dobru".

KTO UMRZE, KTO PRZEŻYJE

Raper GIS znów zachęca. W kurtce z kapturem występuje w teledyskach i skanduje: „Szczep się, szczep się". Wrzesień to pojawienie się nowej szczepionki przeciw grypie i początek szczepień przeciw tej chorobie. Ale to zawołanie obejmuje także wszystkie inne szczepienia. Raper GIS to w rzeczywistości główny inspektor sanitarny Marek Posobkiewicz. W ten niekonwencjonalny sposób przemawia do rodaków, wierząc, że będzie lepiej słyszalny niż ruchy antyszczepionkowe.

– Szef śpiewa też: „Gdyby nie szczepienia, byłoby nas mniej". Gdyby nie tworzone i rozwijane po II wojnie światowej programy szczepień, co trzeci Polak nigdy by się nie urodził – mówi rzecznik prasowy Głównego Inspektoratu Sanitarnego Jan Bondar. – Ale jest i pozytywna strona tych ruchów – właśnie dzięki nim ukształtowała się jasna linia orzecznictwa w sądzie. Naczelny Sąd Administracyjny powiedział: szczepienia ochronne w Polsce, które są umieszczone w kalendarzu, są obowiązkowe.

Działacze antyszczepionkowi uważają, że szczepienia obowiązkowe to relikt PRL. – Nieprawda, cały świat szuka odpowiedzi na ruchy przeciwników szczepień. W krajach wysoko rozwiniętych, jeśli nawet nie ma formalnego obowiązku szczepień, istnieją mechanizmy, które na rodzicach wymuszają ich przeprowadzenie albo do tego nakłaniają – twierdzi Bondar. – Na przykład w Australii, jeśli nie zaszczepi się dziecka przeciw określonym chorobom, nie otrzymuje się niektórych świadczeń socjalnych, we Włoszech nie można posłać dziecka do publicznego przedszkola, w krajach skandynawskich rodzice stają się obiektem zainteresowania służb pomocy rodzinie. Uważamy, że prawo rodzinne nie powinno służyć egzekucji obowiązku szczepień, ale administracyjne już tak. Dla coraz większej grupy ludzi informacje z internetu dotyczące szczepień są bardziej wiarygodne niż wiedza medyczna oparta na dowodach.

Rzecznik Bondar podkreśla: – Kalendarz szczepień obowiązujący w Polsce nie jest tworem urzędniczym, pracują nad nim naukowcy. Powiedziałbym nawet – kwiat naukowców.

W Polsce w ubiegłym roku było 28 tys. przypadków braku u dziecka pełnego kalendarza szczepień. Niektóre szczepienia w późniejszym terminie zostały uzupełnione. Wyszczepialność w Polsce – jak brzmi określenie medyczne – wynosi od 95% do 99%. To bardzo dużo. Mimo to trzeba się przejmować ruchami antyszczepionkowymi, skoro ich oddziaływanie wzrasta.

– Popularność ruchów antyszczepionkowych grozi przerwaniem kokonu epidemiologicznego, który uniemożliwia krążenie wirusów i bakterii chorobotwórczych w populacji – przestrzega Jan Bondar. – Wówczas zapomniane czy zmarginalizowane choroby powrócą. Antyszczepionkowcy ryzykują życiem innych, przekonując rodziców, by nie szczepili dzieci. Nikt nigdy nie ukrywał, że może się zdarzyć NOP, czyli niepożądany odczyn poszczepienny, bo dziecko było uczulone na coś lub było chore, a tego nie zauważono. Statystycznie ryzyko poważnego NOP jest tysiące razy mniejsze niż ciężkich powikłań po chorobie.

Główny inspektor sanitarny Marek Posobkiewicz w spocie na oficjalnym kanale GIS zwrócił się do posła Kukiz'15 Liroya, jak „raper do rapera", aby ten zaszczepił siebie i swoje dzieci.

Spora część środowiska antyszczepionkowców nie jest jednak nastawiona na wysłuchanie argumentów drugiej strony. – To wyzwanie dla lekarzy, jak rozmawiać z pacjentem, który uważa, że wie lepiej – przyznaje Jan Bondar. – Każdy człowiek może odmówić leczenia. Ale szczepienie jest szczególnym przypadkiem, bo chroni nie tylko pojedynczą osobę, ale całą populację, w tym dzieci, które są na to za małe, dzieci, które nie mogły być szczepione z powodu przeciwwskazań, i osoby dorosłe, które nie nabyły odporności. Dwa lata temu w Niemczech wybuchła epidemia odry, bo przyjechała grupa emigrantów z Bośni. Wówczas chorowali i umierali również Niemcy. Co roku w Polsce szczepionych jest ok. 7 mln dzieci, a my ciągle mówimy o wąskiej grupie 2-3 tys. Można by powiedzieć: trudno, niech głupsi umrą. Ale w rzeczywistości umrą nie głupsi, lecz słabsi.

Co roku w Polsce szczepionych jest około 7 mln dzieci.

Ewa Rogowska

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER, YOUTUBE

eprasa.pl ed8943ebb3

Z Galicji

Jan Widacki

PRZEWRÓT KOPERNIKAŃSKI

W Krakowie odbył się Kongres Nauki Polskiej. Z wielką pompą i wielkim rozmachem. Punktem centralnym kongresu było ujawnienie przez ministra nauki, a zarazem wicepremiera, Jarosława Gowina, projektu nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym. W zapowiedziach wicepremiera i ministra w jednej osobie ta nowa ustawa uwolni ogromny potencjał naukowy Polek i Polaków, który najwyraźniej dotąd był tłumiony przez poprzednie rządy za pomocą ustawy starej (choć nie tak bardzo, bo z roku 2003!).

Rzeczywiście, stan nauki polskiej jest opłakany. Najlepsze uniwersytety, Jagielloński i Warszawski, wedle tzw. rankingu szanghajskiego lokują się w czwartej czy nawet piątej setce uniwersytetów świata. Wyprzedzają je nie tylko najlepsze uczelnie amerykańskie, angielskie, niemieckie czy francuskie, ale również co najmniej setka uniwersytetów z krajów, które niegdyś zaliczane były do tzw. Trzeciego Świata. Nasze ścigają się nie z Harvardem, Oksfordem czy Cambridge, ale raczej z uniwersytetem w Bangkoku lub innym, równie, mogłoby się wydawać, egzotycznym. Oddziaływanie polskiej nauki na naukę światową, mierzone liczbą cytowań, też wypada mizernie. Lokuje nas gdzieś między Chorwacją a Łotwą.

Nie dostrzegam w projekcie ustawy niczego, co zmieniłoby naukę polską i podniosło jej prestiż.

Dlaczego tak jest, każdy wie. Nauka kosztuje. Budżet od lat najwyżej notowanego w rankingach Uniwersytetu Harvarda przewyższa budżet całej nauki polskiej. Nie ma pieniędzy na badania ani na honoraria dla sław światowej nauki, mogące je zachęcić do przybycia nad Wisłę na semestr czy dwa. Płace nie tylko asystentów czy doktorantów, ale nawet ludzi po habilitacjach są tak niskie, że najzdolniejsi albo wyjeżdżają za granicę i tam odnoszą sukcesy, albo rezygnują z kariery naukowej.

Wiele więcej pieniędzy na naukę z budżetu nie będzie, bo jesteśmy państwem relatywnie biednym. Można pomyśleć o innych, pozabudżetowych, np. w postaci grantów na badania w konkretnych dziedzinach, finansowanych przez gospodarkę czy jakieś bogate fundacje. Ale do tego potrzebne są silna gospodarka i bogate fundacje. Aby zatem coś poprawić, trzeba zracjonalizować wydatki. Te same pieniądze wydawać lepiej. Pisałem o tym wielokrotnie. Ponad 90% pieniędzy przeznaczonych na naukę i szkolnictwo wyższe stanowią wynagrodzenia kadry naukowej, rzeszy urzędników i pracowników obsługi. W ogromnej większości marnej kadry marnych uczelni. Czy rzeczywiście państwo polskie stać na utrzymywanie „wyższych szkół zawodowych" w różnych miastach powiatowych? Jak te wydatki przekładają się na efekty naukowe? Bogate Stany Zjednoczone mają mniej niż 50 uniwersytetów stanowych, czyli państwowych. Reszta to uczelnie prywatne (z najlepszym w świecie Harvardem na czele). Czy nasze państwo stać na utrzymywanie w jednym mieście na trzech uczelniach publicznych tego samego kierunku studiów? Albo – co jeszcze dziwniejsze – na tym samym uniwersytecie tego samego kierunku na dwóch wydziałach?

Czy stać państwo na utrzymywanie instytutów PAN identycznych z tymi, które istnieją na większości uniwersytetów? Po co np. Instytut Historii PAN, Instytut Nauk Prawnych PAN, Instytut Filozofii i Socjologii PAN i wiele innych? Może by kadrę tych instytutów i ich bazę materialną po prostu włączyć do uniwersytetów?

Mógłby ktoś sądzić, że ustawa, której projekt zaprezentował minister Gowin, coś w tej materii rozwiąże. Miała wszak „uwolnić ogromny naukowy potencjał Polek i Polaków". Jaki wpływ na poziom nauki polskiej ma to, czy jest taki, czy inny tryb przeprowadzania przewodów doktorskich? A jaki zbawienny wpływ będzie miało to, że rektorem lub członkiem rady uczelni będzie mogła zostać wyłącznie osoba, która nie tylko nie służyła czy pracowała w organach bezpieczeństwa PRL, ale nawet z nimi nie współpracowała? Przy czym chodzi tu nie o tajną współpracę, jak dotąd przy wszystkich lustracjach, ale o współpracę w ogóle. Co było, a co nie było współpracą jawną?

Jaki wreszcie wpływ na poziom polskiej nauki będzie miało zastąpienie Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Radą Doskonałości Naukowej? Nazwa dość pretensjonalna, żeby nie powiedzieć zabawna. Warunkiem zasiadania w tej Radzie Doskonałości jest m.in. – podobnie jak w przypadku rektora – niezhańbienie się służbą lub pracą w organach bezpieczeństwa PRL ani współpracą z nimi, również jawną, dotąd niezdefiniowaną, oraz nieprzekroczenie 70. roku życia. Nadto „członek doskonały" nie może być karany za przestępstwo umyślne lub umyślne przestępstwo skarbowe (art. 228 ust. 1 pkt 3 projektu ustawy), wymaga się także, by „nie popełnił czynu określonego w art. 115 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, stwierdzonego prawomocnym wyrokiem" (art. 228 ust. 1 pkt 4). Wyjaśnię: chodzi o plagiat. Osobie piszącej projekt wyjaśnię dodatkowo, że popełnienie plagiatu jest przestępstwem, w dodatku umyślnym, pkt 4 zatem mieści się już w pkt 3. No cóż, jak widać, nikt nie jest doskonały (z wyjątkiem przyszłych członków Rady Doskonałości Naukowej).

Stare powiedzenie mówi, że od mieszania herbata nie staje się słodsza. Obawiam się, że to, co zaproponował wicepremier i minister w jednej osobie, co zgodnie z jego zapo-

eprasa.pl ed8943ebb3

wiedziami i wedle rzeszy pochlebców (na kongresie ich nie brakowało) miało być niemal kopernikańskim przewrotem, całą uwagę skupia na trzymaniu łyżeczki i sposobie mieszania herbaty. O tym, jak do szklanki dosypać cukru, w projekcie ustawy nie ma nic.

Na koniec trzy uwagi. Kilku poważnych profesorów, ludzi z uznanym dorobkiem naukowym i zawodowym, cieszyło się jak dzieci. „To jest nasza ustawa", mówili i dziękowali ministrowi za to, że taką ustawę środowisko naukowe mogło wspólnie z nim napisać. Nie zapomnieli przy tym dodać, że z ministrami poprzednich rządów im się to nie udało.

Po pierwsze, Koledzy Profesorowie, pamiętam wasze zachwyty nad poprzednią władzą. Po drugie, naprawdę nie dostrzegam w projekcie ustawy niczego, co w sposób zasadniczy zmieniłoby naukę polską i podniosło jej międzynarodowy prestiż. Młody zdolny naukowiec dalej nie będzie chciał tu pracować za 2 tys. zł i przy pierwszej sposobności zwieje do krajów, w których i możliwości uprawiania nauki są lepsze, i wynagrodzenie za pracę pozwala na godziwe życie. Nie zatrzyma go w Polsce żadna Rada Doskonałości Naukowej ani inne zaklęcia.

Po trzecie, to, co z takim zapałem nazywaliście ustawą, jeszcze nią nie jest. Wyjaśnię. To dopiero projekt ustawy. A właściwie projekt projektu. Projekt przedkłada Sejmowi rząd. Zanim to zrobi, to, co wydaje się Wam ustawą, trafi do uzgodnień międzyresortowych. Swoje uwagi zgłoszą zapewne minister edukacji narodowej, minister finansów i pewnie jeszcze kilku innych ministrów. Po uzgodnieniach, po zaopiniowaniu projekt, uwzględniający z zasady część uwag innych ministrów, trafia na obrady rządu. Gdy zostanie przyjęty, rząd przedłoży go Sejmowi. Sejm zaś skieruje go do komisji. Nie wiem, czy pamiętacie, ale tam większość mają posłowie PiS. Na koniec Sejm ustawę przyjmie. Później trafi ona do Senatu itd. Jeszcze trwał kongres, kiedy bliski doskonałości prof. Terlecki w imieniu klubu PiS odcinał się od projektu, a posłanka Kopernik-Mazurek wspominała, że w projekcie ustawy nie wszystko Prezesowi Polski się podoba. Poczekajcie z zachwytami do czasu, kiedy przeczytacie ustawę w jej ostatecznym kształcie, opublikowaną w Dzienniku Ustaw.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

DALEKA **BRUKSELA** BLISKA **LUDZIOM**

Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim

Więcej optymizmu w Europie

Europejczycy zakończyli już czas letnich wojaży. Również ich przedstawiciele w Parlamencie Europejskim po wakacyjnej przerwie powrócili do sal obrad, by na pierwszej sesji plenarnej w Strasburgu wysłuchać orędzia o stanie Unii Europejskiej, wygłoszonego przez przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera. Ubiegły rok był dla Wspólnoty Europejskiej wyjątkowo trudny i wymagający, szczególnie za sprawą podjętej przez mieszkańców Wielkiej Brytanii decyzji o Brexicie. Przyniósł on również zmiany na scenie politycznej kilku europejskich państw. W tegorocznym orędziu można było wyczuć zdecydowanie więcej optymizmu. Przewodniczący Juncker podkreślił, że wzrost PKB i malejące bezrobocie powodują, że po 10 latach od wybuchu kryzysu europejska gospodarka wreszcie odzyskuje swoją pozycję, a dla jej prawidłowego rozwoju najistotniejsze jest wzmocnienie europejskiego przemysłu oraz wymiany handlowej z innymi krajami. Dużą część swojego wystąpienia szef KE poświęcił także przyszłości Wspólnoty, wskazując trzy filary będące bezdyskusyjnym fundamentem Unii Europejskiej: wolność, równość i praworządność. Unia nie jest państwem, lecz wspólnotą prawa – stwierdził Juncker.

Polska eurodeputowana z grupy Socjalistów i Demokratów Krystyna Łybacka zwraca uwagę, że w wystąpieniu szefa Komisji Europejskiej szczególnie mocny akcent został położony właśnie na kwestie równości. – Przewodniczący Juncker wyraźnie zaznaczył, że nie ma pierwszej i drugiej kategorii państw członkowskich, nie ma również pracowników pierwszej i drugiej kategorii – „za tę samą pracę w tym samym miejscu powinno się dostawać takie samo wynagrodzenie" i – co jest szczególnie ważne dla nas wszystkich – nie może być drugiej kategorii konsumentów. „Nie zaakceptuję tego, że w niektórych częściach Europy sprzedaje się żywność niższej jakości niż w innych krajach pomimo identycznego opakowania i marki – mówił przewodniczący KE. – Słowakom nie należy się mniej ryb w paluszkach rybnych; Węgrom mniej mięsa w gotowych daniach; a Czechom mniej kakao w czekoladzie". To bardzo ważne deklaracje – podkreśla Krystyna Łybacka.

Bardzo istotnym dla Polski stwierdzeniem jest również odejście od koncepcji odrębnego budżetu strefy euro i jednoczesna zapowiedź wprowadzenia dodatkowych, ułatwiających mechanizmów przedakcesyjnych dla krajów, które chcą przyjąć wspólną europejską walutę. W tym kontekście przewodniczący Juncker zaproponował powołanie ministra gospodarki i finansów Wspólnoty w randze wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej. Wypowiadający się w imieniu grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów jej przewodniczący Gianni Pittella ripostował, że obecnie Unia Europejska bardziej niż wspólnego ministra finansów potrzebuje ministra gospodarki i spraw socjalnych odpowiedzialnego za wzrost gospodarczy i dobrobyt obywateli. Europosłanka Łybacka wskazuje, że optymistyczne informacje o stanie europejskiej gospodarki, a także zapowiedzi wzmocnienia wymiany handlowej z takimi partnerami jak Kanada, Japonia czy Meksyk dają szansę nie tylko na poprawę wskaźników ekonomicznych, ale także na podniesienie jakości życia wszystkich obywateli państw członkowskich. Całość relacji europosłanki Krystyny Łybackiej z pierwszej powakacyjnej sesji Parlamentu Europejskiego w Strasburgu można obejrzeć na stronie **www.lybacka.pl oraz na profilu facebookowym.**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE EU

eprasa.pl ed8943ebb3

Kto bronił Polski w 1939?

Białorusini, Żydzi, Ukraińcy... w armii polskiej.

Krzysztof Wasilewski

W czasie wojny 1939 r. w Wojsku Polskim służyło ponad 130 tys. żołnierzy wywodzących się z mniejszości narodowych i etnicznych. Wielu z nich zadawało sobie wtedy pytanie, czy II Rzeczpospolita była państwem, za które mogli oddać życie.

POLSCY HABSBURGOWIE

Gdy pojawia się temat mniejszości narodowych w polskiej armii w latach II RP, przywołuje się zazwyczaj przykład Karola Olbrachta Habsburga. Jako spadkobierca browaru w Żywcu po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości postanowił zostać obywatelem nowego państwa. Nie tylko sam mówił po polsku, ale też nauczył tego języka szwedzką żonę i dzieci. Tuż przed agresją niemiecką zakupił na potrzeby Wojska Polskiego dwa karabiny maszynowe i wspomógł wysoką dotacją Fundusz Obrony Narodowej.

We wrześniu w mundurze pułkownika zgłosił się do jednostki wojskowej, jednak nie wcielono go do armii. Po wkroczeniu Niemców wraz z całą rodziną odmówił podpisania volkslisty, argumentując, że jest oficerem polskim. W zeznaniach, które złożył w listopadzie 1939 r., mówił: „Jestem tylko niemieckiego pochodzenia. Wraz z żoną Alicją mam wielką sympatię dla ziemi żywieckiej i jej mieszkańców. Żona moja i dzieci również czują się Polakami".

W działania konspiracyjne włączyła się żona Karola Olbrachta. Jako członkini Armii Krajowej zbierała informacje i dowody zbrodni hitlerowskich w Polsce. Syn, który w chwili wybuchu wojny przebywał w Szwecji, zdołał przedostać się do Wielkiej Brytanii, gdzie wstąpił w szeregi 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Wraz z nią przebył szlak bojowy aż do Mozy w Holandii.

Dziennikarze i historycy często przypominają losy „polskich Habsburgów" ku pokrzepieniu serc. W ich mniemaniu dowodzą one bowiem nie tylko kulturowej atrakcyjności II RP, ale także jej tolerancji dla różnorodności, gdzie nawet potomek austriackich cesarzy czy szwedzka arystokratka czuli się dobrze. Podobnym celom służy historia Augusta Agboli Browne'a, czarnoskórego muzyka, który miał brać udział w obronie Warszawy w 1939 r. oraz walczyć w powstaniu pięć lat później.

Jak jednak naprawdę wyglądała sprawa mniejszości narodowych w Wojsku Polskim? Sądząc po danych demograficznych, zgodnie z którymi Polacy stanowili mniej niż 70% ogółu obywateli II RP, podobne proporcje powinny być zachowane w armii. Nic zatem dziwnego, że polityka narodowościowa odgrywała istotną rolę w wojsku przez całe międzywojnie. Sprawdzianem jej skuteczności był zaś wrzesień 1939 r.

W jednostkach na wschodzie kraju odsetek Polaków miał być najwyższy.

WIELONARODOWA ARMIA

Pierwszy powszechny pobór w odrodzonej Rzeczypospolitej przeprowadzono w grudniu 1921 r. Miał on na celu nie tyle dostarczenie armii nowych rekrutów, ile przede wszystkim – w opinii dowództwa – „wzmocnienie wiary w trwałość państwowości polskiej i rozbicie wszelkich nadziei na możliwość gwałtownych przemian politycznych".

Obecność tak wielu narodowości wywoływała niepokój kadry oficerskiej. W komunikacie z czerwca 1922 r. ostrzegano, że „część pułków stacjonujących szczególnie na Kresach Wschodnich miała nadmiar elementu obcego, częstokroć wrogo do państwowości polskiej usposobionego, co w razie wojny mogło mieć dla interesów państwowych nieobliczalne następstwa".

Odsetek polskich żołnierzy, który w 1922 r. wynosił ok. 78%, zmniejszył się jeszcze po przeprowadzeniu poboru w Galicji Wschodniej rok później. W konsekwencji spadł on poniżej 66%, co kłóciło się z założeniami władz, zgodnie z którymi Polacy mieli stanowić dwie trzecie ogółu żołnierzy. Choć starano się odwrócić ten negatywny trend, odsetek Polaków jeszcze bardziej się obniżył – do 64% w 1926 r. Wzrósł natomiast – o 1 pkt proc. – udział w polskiej armii Ukraińców i Białorusinów.

Stosunek kadry oficerskiej do żołnierzy wywodzących się z mniejszości narodowych był co najmniej zdystansowany. Białorusinom zarzucano „zupełny brak uświadomienia politycznego, zarówno pod względem narodowym, jak i państwowym". „Łatwo podlegający wpływom, a tym samym wszelkiej agitacji politycznej. Uświadomienie białoruskie – bardzo słabe. Uważają się przeważnie za tutejszych. Stosunek do państwowości polskiej na ogół przychylny, lecz wyczekujący" – brzmiała opinia Departamentu Uzupełnień Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Równie negatywnie, choć z innych powodów, postrzegano żołnierzy pochodzenia niemieckiego. Jak pisał historyk Piotr Stawecki: „Świadomość narodowa Niemców, pełniących służbę z dala od swych środowisk,

W WOJSKU POLSKIM W 1921 R. BYŁO:

147,4 tys.	Polaków,
12,5 tys.	Białorusinów,
12,4 tys.	Ukraińców,
niemal 9 tys.	Żydów,
2,5 tys.	Rusinów,
2,3 tys.	Rosjan,
1,8 tys.	Niemców,
224	Czechów.

eprasa.pl ed8943ebb3

Oddziały WP z ufundowanym przez społeczeństwo Gdyni sprzętem wojskowym podczas obchodów Święta Morza w Gdyni w lipcu 1939 r.

określona była w 1922 r. jako »silna«. Dlatego niechętnie zgłaszali się oni do poboru, a stosunek ich do państwowości polskiej był nieprzychylny. Zaledwie co czwarty rekrut wywodzący się spośród mniejszości niemieckiej znał język polski".

Zdaniem władz wojskowych poważne zagrożenie dla spójności armii stanowili także rekruci pochodzenia żydowskiego. W jednym z raportów oceniano ich poczucie odrębności narodowej i wyznaniowej jako „silnie rozwinięte". Co więcej, Żydzi „do Wojska Polskiego nastawieni byli negatywnie, niechętni byli państwowości polskiej. Żydzi pochodzący z Kresów posługiwali się językiem rosyjskim".

SYSTEM UZUPEŁNIENIA ARMII

Starając się zachować jedność w szeregach wojska, postanowiono wdrożyć „system eksterytorialnego uzupełnienia armii". Polegał on przede wszystkim na wymieszaniu regionalnym i narodowym poszczególnych jednostek, tak „ażeby Polak z Poznańskiego czuł się tak samo w Brześciu, jak u siebie, a Polak ze Lwowa czuł się dobrze w Warszawie". Ponadto uważano, że rekruci z Kresów podczas służby w Wielkopolsce będą mieli styczność z „nieznanymi im wzorami cywilizacyjnymi", co pozytywnie wpłynie na przyszły rozwój województw wschodnich.

Wprowadzono także określone kwoty narodowościowe i wymagano ich przestrzegania. Odsetek Polaków w dywizjonach miał wynosić nie mniej niż 70%. W przełożeniu na konkretne liczby ustalono m.in., że w 30 dywizjach piechoty służyć będzie 108 tys. polskich szeregowców i 42 tys. z mniejszości narodowych. Szczególną wagę przykładano do jednostek rozlokowanych na wschodzie kraju, gdzie odsetek Polaków miał być najwyższy.

Jak jednak wskazuje Stawecki, plany to jedno, a rzeczywistość drugie: „Niejednokrotnie zdarzało się, że przyjęte proporcje ilościowe – dwóch żołnierzy Polaków i jeden żołnierz wywodzący się z mniejszości narodowych – były w rzeczywistości odwrócone. Z tego powodu Sztab Generalny zarzucał instytucjom poborowym, iż doprowadziły do sytuacji, że w niektórych jednostkach wojskowych Polacy stanowili 30%, a obce narodowości 70%".

Zaledwie co czwarty rekrut z mniejszości niemieckiej znał polski.

Mimo nieufności – często uzasadnionej – wobec podkomendnych wywodzących się z mniejszości narodowych władze wojskowe uważały ich za ważny element struktury armii. Jeśli weźmiemy pod uwagę dwie grupy zawodów najbardziej przydatnych dla wojska, tj. urzędniczych i technicznych, najliczniej reprezentowani byli – poza Polakami – Żydzi. Stanowili oni 15,5% żołnierzy służących w sztabie i niemal 5,7% techników.

Polityka władz wojskowych w stosunku do mniejszości narodowych nie zmieniła się szczególnie po zamachu majowym w 1926 r. W dalszym ciągu realizowano system eksterytorialnego uzupełnienia armii, zwłaszcza wobec Ukraińców pochodzących z Wołynia. W 1935 r. rozszerzono kartę ewidencyjną rekrutów o takie informacje jak przynależność narodowa, język i wyznanie. Za Niemca uznawano każdego – bez względu na religię czy język – kto sam się za niego uważał. Z kolei jako Ukraińców ewidencjonowano grekokatolików i prawosławnych przyznających się do pochodzenia ukraińskiego, rusińskiego, huculskiego, łemkowskiego i bojkowskiego. Z powodu służby tak wielu przedstawicieli mniejszości narodowych i religijnych w armii od 1929 r. funkcjonowało w Wojsku Polskim pięć niezależnych od siebie urzędów duszpasterstwa dla poszczególnych wyznań.

W 1937 r. inspektor armii gen. Mieczysław Norwid-Neugebauer stwierdził, że w niektórych jednostkach odsetek żołnierzy reprezentujących mniejszości narodowe nadal sięgał 70%. Jego zdaniem kolejnym problemem był fakt, że do pułkowych szkół podoficerskich przyjmowano wyłącznie polskich kandydatów, co wywoływało słuszny sprzeciw pozostałych. Generał zauważał zaś, że w „pewnych przypadkach" żołnierze innych narodowości, którzy wykazywali lojalność wobec państwa polskiego, mieli predyspozycje do bycia „bardzo dobrymi podoficerami".

WRZEŚNIOWA PRÓBA

Pierwszy i zarazem ostatni sprawdzian wielonarodowego Wojska Polskiego odbył się we wrześniu 1939 r. Jak wskazują historycy, w starciu z wojskami niemieckimi swoje obowiązki lojalnie wypełniali żołnierze pochodzenia ukraińskiego, białoruskiego i żydowskiego. Jako przykład można podać postawę Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokrą czy 40. pułku piechoty pod Piotrkowem Trybunalskim. Trzeba przy

eprasa.pl ed8943ebb3

tym pamiętać, że samych Ukraińców w Wojsku Polskim we wrześniu 1939 r. służyło ok. 120 tys., głównie w jednostkach piechoty. Zdaniem Staweckiego, „Ukraińcy, Białorusini, Żydzi, tak jak żołnierze Polacy wykazywali się bardzo dobrą postawą. Jednym z czynników gotowości do poświęceń były – jak należy sądzić – wartości wpojone żołnierzom podczas służby pokojowej".

W kolejnych tygodniach kampanii wrześniowej, co wskazuje inny historyk, Maciej Krotofil, sytuacja się zmieniła: „W drugiej dekadzie września nasiliły się dezercje związane z rozpoczynającym się ogólnym rozprężeniem w oddziałach. W Galicji Wschodniej doszło wtedy również do szeregu żywiołowych antypolskich wystąpień ukraińskich nacjonalistów". Jak trudno jednoznacznie ocenić postawę Ukraińców w tym czasie, pokazuje przykład ppłk. Pawła Szandruka z 20. brygady piechoty, bohatera bitwy pod Tomaszowem Lubelskim, odznaczonego przez Władysława Andersa orderem Virtuti Militari. Pod koniec wojny Szandruk objął dowództwo 1. dywizji Ukraińskiej Armii Narodowej, złożonej w większości z żołnierzy Dywizji SS Galizien.

Komisja poborowa w Garwolinie, maj 1937 r.

WIERNA SŁUŻBA, NEUTRALNOŚĆ CZY WROGOŚĆ?

Jednoznacznie pozytywnie zachowali się żołnierze WP pochodzenia żydowskiego. Znawca tematu Tomasz Gąsowski pisze, że „Żydzi w kampanii wrześniowej bili się dobrze. W polskich relacjach z walk z Wehrmachtem przewijają się skargi na służących w Wojsku Polskim Niemców, Ukraińców czy Białorusinów, ale nie na Żydów. Warto podkreślić, że ludność żydowska, wraz z innymi mieszkańcami Warszawy, ofiarnie wznosiła barykady, gasiła pożary, organizowała kwatery i wyżywienie dla polskich żołnierzy, służyła w straży przeciwlotniczej". Mniejszością byli ci Żydzi, „którzy zachowali wobec Polski niechętną neutralność. Na wschodzie aktywizowały się gdzieniegdzie środowiska prosowieckie. Atakowały one urzędy państwowe oraz majątki ziemskie – na większą skalę po 17 września".

Ze względu na brak dokumentów trudno właściwie ocenić postawę Niemców służących w Wojsku Polskim. Można szacować, że ich liczba nie przekroczyła 8 tys., na czym zaważyły masowe ucieczki Niemców do III Rzeszy w miesiącach poprzedzających wybuch wojny oraz bojkot mobilizacji. Ci, którzy znaleźli się w wojsku, służyli głównie w jednostkach rozmieszczonych na Kresach Wschodnich i nie brali bezpośredniego udziału w walkach z Wehrmachtem. Po dostaniu się do niewoli radzieckiej, jesienią 1939 r. zostali zwolnieni i wrócili do swoich domów.

Historyk wojskowości Waldemar Rezmer zauważył, że zdarzały się jednak „wypadki dezercji i przechodzenia na stronę wroga. Spory wpływ na nasilenie dezercji miało rozprężenie postępujące coraz szybciej w polskich oddziałach atakowanych przez przeważające siły przeciwnika oraz wkroczenie niektórych związków taktycznych i oddziałów na tereny zamieszkane przez kolonistów niemieckich, którzy zapewniali swoim pobratymcom dezerterom schronienie i aprowizację".

Dokładna analiza zachowań żołnierzy Wojska Polskiego wywodzących się z mniejszości narodowych nie jest możliwa. Wiele dokumentów z okresu kampanii wrześniowej zostało zniszczonych, inne trafiły do archiwów niemieckich i radzieckich, gdzie w większości zaginęły. Na podstawie zachowanych materiałów można jedynie stwierdzić, że postawy Ukraińców, Białorusinów, Niemców czy Żydów noszących polskie mundury we wrześniu 1939 r. były zróżnicowane. Nierzadko bili się oni ofiarnie, nierzadko jednak korzystali też z okazji, aby zdezerterować. Co zresztą nie było obce także rdzennym Polakom.

Historia Karola Olbrachta Habsburga i jego rodziny to piękny przykład oddania swojej przybranej ojczyźnie. Przykład, który działa na wyobraźnię i buduje mit II RP jako państwa atrakcyjnego i tolerancyjnego. Niestety, postępowanie „polskich Habsburgów" było odosobnione. Niespójna polityka narodowościowa kolejnych rządów, problemy gospodarcze, a także agresywna postawa państw ościennych uniemożliwiły głębszą integrację narodowości zamieszkujących Polskę.

Przedstawiciele mniejszości narodowych we wrześniu 1939 r. bili się głównie z poczucia obowiązku, a nie z miłości do II RP. Wojsko, które mogło być ważnym elementem budowania wspólnoty, stało się kolejną instytucją, gdzie wyższe stanowiska zarezerwowane były dla Polaków. Nic zatem dziwnego, że dla wielu żołnierzy pozostawało one obce. Natomiast dla innych stanowiło przeszkodę w budowie własnej państwowości.

Stosunek oficerów do żołnierzy wywodzących się z mniejszości narodowych był co najmniej zdystansowany.

Krzysztof Wasilewski

FOT. NAC

eprasa.pl ed8943ebb3

KURDOWIE IDĄ PO NIEPODLEGŁOŚĆ

Władze irackiego Kurdystanu przeprowadzają referendum mimo sprzeciwu Bagdadu i Waszyngtonu

Dominik Sipiński
Korespondencja z Kurdystanu

Aby wlecieć do Iraku, Polacy potrzebują wizy. Jednak gdy ląduje się w Irbilu, stolicy autonomicznego Kurdystanu w północnej części kraju, już od dawna nikt o nią nie prosi. Choć na nowoczesnym lotnisku, do którego bez problemu da się dolecieć z Europy, strażnicy graniczni wbijają pieczątkę iracką, lot do Bagdadu jest traktowany jak połączenie międzynarodowe. Płaci się tu wprawdzie tymi samymi dinarami co w Bagdadzie, ale język i kultura są zupełnie inne.

Na głównym placu Irbilu, w cieniu zamieszkanej od 7 tys. lat cytadeli, nie powiewa więc ani jedna czarno-biało-czerwona flaga Iraku. Na maszty wciągnięto zielono-biało-czerwone barwy Kurdów. W centrum tej flagi, zamiast islamskiego takbiru, wyznania wiary, umieszczono żółte słońce, symbol nadziei i wytrwałości – cech, które Kurdowie cenią nad religijność, których zawsze potrzebowali i których nigdy im nie brakowało.

Region Kurdystanu, choć formalnie jest częścią Iraku, pod wieloma względami działa jak niepodległy kraj. Działa, co ważne, lepiej niż sam Irak – jest znacznie bezpieczniejszy, stabilniejszy i bardziej demokratyczny. Panuje w nim daleko zakrojona swoboda obyczajowa i religijna. Nawet gdy linia frontu z terrorystami z Państwa Islamskiego znajdowała się kilkadziesiąt kilometrów od Irbilu, kluby nocne i centra handlowe w mieście działały w najlepsze. Wiele dałoby się poprawić, ale na tle regionu iracki Kurdystan to twór modelowy.

Na razie jednak to właśnie jedyny w swoim rodzaju twór, a nie normalne państwo. Władze w Irbilu po rozmowach ciągnących się niemal od obalenia Saddama Husajna w 2003 r. postanowiły teraz skończyć z udawaną jednością kraju. Ogłosiły referendum niepodległościowe. Kurdowie mają dość bycia okradanymi przez Bagdad z państwowości i wpływów z ropy. W większości zagłosują za oddzieleniem się od Iraku, czemu zresztą nie można się dziwić, bo etnicznie, kulturowo, językowo ani religijnie nic ich z nim nie łączy.

W jednej z najstarszych kawiarni w Irbilu wiszą portrety kurdyjskich mężów stanu, wielu z nich zostało zabitych podczas walk o niepodległość.

Nikt nie wie, co wyniknie z tego, że Kurdowie sami wezmą należną im od dawna niepodległość. W bliskowschodnich puzzlach ten wtłoczony między Iran, Turcję i Syrię kawałek bez dostępu do morza jest kluczowy, choćby ze względu na olbrzymie złoża ropy, ale brakuje zgody, jak go wpasować w mapę. Nie tylko Irak, ale żaden z trzech sąsiadów Kurdystanu nie uzna referendum, przeciwne są również kraje Unii i Stany Zjednoczone. Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy Kurdowie przewodzą z sukcesami wojnie z Państwem Islamskim.

OFIARA SUKCESU

Referendum to efekt frustracji wywołanej impasem i zaskakujące jest jedynie to, że Kurdowie tak długo zwlekali z jego ogłoszeniem. Autonomia ustanowiona po obaleniu Husajna nie spełniła ich oczekiwań, choć pozwoliła im rozwinąć skrzydła. Bagdad je podcinał, ale do końca nie mógł. Teraz Kurdowie chcą się pozbyć resztek ograniczeń.

– Gdybyśmy byli niepodlegli, na pewno lepiej poradzilibyśmy sobie z kryzysem. Sytuacja gospodarcza poprawiłaby się – przekonuje Baxtiyar Goran, dziennikarz niezależnej telewizji Kurdistan24.

To właśnie przez kryzys iraccy Kurdowie uznali, że czas na referendum. Region po 2003 r. stał się przykładem ekonomicznego sukcesu, inaczej niż reszta kraju. Do Irbilu, Sulajmanii czy Dahuku napływali inwestorzy z Dubaju, państw Zatoki Perskiej, Turcji i Europy. W miastach błyskawicznie powstawały osiedla apartamentowców i centra handlowe, odnawiano zabytki. W Irbilu władze nie nadążały z budową koncentrycznych obwodnic wokół rozrastającego się miasta. Chrześcijańska dzielnica Ankawa, która kilka lat temu była przedmieściem, dziś całkiem się zlała z miastem, a wieżowce ciągną się daleko za nią.

eprasa.pl ed8943ebb3

Jednak gdy cena ropy spadła, a ISIS zaczęło zagrażać Kurdom i w praktyce oddzieliło autonomię od centrum kraju, dobra passa się skończyła. Kryzys nie miał tu wymiaru militarnego. ISIS na poważnie nie zagroziło Irbilowi. W autonomii nie było zamachów, a władze oceniają, że do islamskich terrorystów przyłączyło się ok. 200 osób z całego regionu liczącego ponad 5 mln mieszkańców. – Ten kryzys nie ma nic wspólnego z ISIS. To efekt polityki i słabego rządu w Bagdadzie – podkreśla Dana, kurdyjski student w Irbilu.

– Padliśmy ofiarą własnego sukcesu. Przez to, że było tu bezpiecznie, stabilnie i względnie zamożnie, przyjechało do nas co najmniej 1,6 mln uchodźców z Syrii i przesiedleńców z Iraku – dodaje Goran, który pracuje również w Biurze Koordynacji Kryzysowej, agendzie rządu kurdyjskiego odpowiedzialnej za zarządzanie kryzysem uchodźczym.

Populacja regionu wzrosła o 30%. Rynek pracy, dotąd niezwykle chłonny, nie mógł stworzyć tylu nowych stanowisk. Inwestorzy i firmy wydobywcze przestraszyli się ISIS i wstrzymali prace, do dziś w Irbilu straszą niedokończone wieżowce czy urywające się nagle autostrady. Ceny ropy spadły na łeb na szyję, a przychody z jej eksportu to 80% PKB regionu. Chodziło zresztą nie tylko o spadek cen, ale i o coraz gorsze układy z Bagdadem. Zgodnie z konstytucją federalnego Iraku Kurdystan powinien sprzedawać ropę za pośrednictwem władz centralnych. Wpływy trafiają więc do budżetu centralnego, a 17% powinno wracać do kasy Regionu Kurdystanu.

– Irak od 2005 r. oddawał nam 9-11% ze sprzedaży ropy. Od 2014 r. w ogóle przestał, niby dlatego, że nie ma pieniędzy, ale według mnie to decyzja polityczna. My nie możemy sami sprzedawać ropy innym krajom, tylko firmom, a przez to robimy to jeszcze taniej. Nie dostajemy też bezpośrednio pożyczek od instytucji międzynarodowych czy banków. Po uzyskaniu niepodległości to się zmieni – wylicza Goran. Od 2014 r. Kurdystan eksportuje na własną rękę ropę przez Turcję, mimo sprzeciwu Bagdadu, ale to półśrodek.

Goran przyznaje, że władze popełniły błąd, bo nie przygotowały się na taki kryzys. Zbyt mocno polegały na wpływach z ropy i inwestorach. Do tego wciąż nie rozwiązano problemu korupcji i – szczególnie – klanowego nepotyzmu. Ale faktycznie, gdyby rząd w Irbilu mógł sam podejmować wszystkie decyzje, na pewno łatwiej byłoby mu zareagować. Teraz stawia na rozwój turystyki i rolnictwa, chce odejść od zależności od ropy. Żeby sprzedawać swoje produkty i odciąć się od negatywnego wizerunku Iraku jako kraju niebezpiecznego, Kurdystan musi się od niego oddzielić.

NARÓD BEZ KRAJU

Kryzys w Irbilu widać na każdym kroku, ale i tak miasto błyskawicznie burzy stereotypy. Zamiast żołnierzy w kamizelkach kuloodpornych na ulicach widać modnie ubranych Kurdów i Kurdyjki z odkrytymi włosami. Dużo łatwiej wypić tu espresso czy piwo, niż dostrzec ślady wojny. Choć autonomia jest daleka od oczekiwań, to i tak to największe osiągnięcie Kurdów w dążeniu do stworzenia nowoczesnego i własnego państwa.

O Kurdach mówi się, że to największy naród bez własnego kraju, co nie w pełni odpowiada rzeczywistości. Jest ich od 30 do 45 mln, czyli o połowę mniej niż także pozbawionych państwa Tamilów, ale na pewno wystarczająco dużo, by domagać się kraju. Przedstawiciele tego narodu budowali imperia – Kurdem był m.in. Saladyn – lecz odkąd świat podzielił się na państwa narodowe, próby stworzenia przez nich państwowości były krótkie i tragiczne.

Po raz pierwszy Zachód odmówił im kraju w 1916 r. Na mocy francusko-brytyjskiego porozumienia Sykes-Picot rozparcelowane zostały tereny dogorywającego imperium osmańskiego. O Kurdach zapomniano, dzieląc ich między terytoria Iranu, Iraku, Turcji i Syrii. W każdym z nich są prześladowaną mniejszością, zawieszoną między światami. – Jesteśmy pomiędzy Zachodem a Bliskim Wschodem. Zawsze tu byliśmy. Nie dość zachodni i w ogóle niearabscy – komentuje Dana.

W Turcji jest Kurdów najwięcej, może nawet 20 mln. Z krótkimi i rzadkimi przerwami władze Turcji traktują każdy przejaw kurdyjskiego nacjonalizmu jako terroryzm, a im więcej autorytaryzmu w tym kraju, tym jest gorzej. Po zakończeniu wojny turecko-kurdyjskiej w 1999 r. przez chwilę wydawało się możliwe wypracowanie jakiegoś modelu wspólnego funkcjonowania, a kurdyjskie partie weszły nawet do parlamentu. Nie udało się jednak. Dyktator Recep Tayyip Erdoğan nie mógł ścierpieć rozwoju Kurdów, ludzi ambitnych, sekularnych i odrzucających zaściankowy nacjonalizm islamistyczny proponowany przez władcę Turcji. Od dwóch lat kurdyjskość jest znów tępiona, a ich domy na południowym wschodzie kraju bombardowane.

Nasilenie konfliktu między Turcją a Kurdami wiąże się z sytuacją w Syrii, której cała północ jest kurdyjska. Teraz należy do najstabilniejszych części tego kraju i pod pewnymi względami też jest *de facto* autonomiczna. Przed wojną w Syrii żyło ok. 3,5 mln Kurdów, ilu zostało, trudno powiedzieć. Większość uchodźców z Syrii mieszkających w Iraku czy w Turcji to właśnie Kurdowie.

W Iranie Kurdów jest ok. 10 mln. To jedyny kraj, w którym nie różnią się zbytnio od dominującego narodu. Kurdowie i Persowie wywodzą się od tych samych przodków, a ich języki są spokrewnione. Łączy ich niechęć do Arabów, ale to nie pomaga, bo

Zamieszkana od 7 tys. lat cytadela w Irbilu góruje nad centralnym placem miasta, który po renowacji jest pełen kawiarni, fontann i kurdyjskich flag.

eprasa.pl ed8943ebb3

rząd w Teheranie i tak Kurdów tłamsi (choć głównym powodem jest raczej ich komunistyczna antyrządowość i laickość niż kurdyjskość jako taka).

Zostaje więc Irak, gdzie historia Kurdów jest najtrudniejsza, ale najbliższa sukcesu. Mieszka ich tu nie więcej niż 8 mln, z czego ok. 5 mln w autonomicznym regionie na północy. To iraccy Kurdowie zawsze byli najwaleczniejsi. Poukrywani w górach bronili się przed reżimem Husajna. W wojnie iracko-irańskiej w latach 80. Kurdowie z Iraku stanęli po stronie Teheranu, licząc na obalenie dyktatora. (Irańscy Kurdowie wspierali wtedy Husajna z identycznych powodów, licząc na zmianę reżimu w Teheranie). Husajn jednak przetrwał wojnę, a Kurdom nie wybaczył. Rozpoczął kampanię Al-Anfal, której celem było wymordowanie Kurdów. Kulminacją był atak chemiczny na Halabdżę 16 marca 1988 r., w którym zginęło do 5 tys. cywilów. Według Human Rights Watch w całej operacji zginęło do 100 tys. cywilów, Kurdowie mówią o 182 tys. Potem była wojna w Zatoce Perskiej. Kurdowie, zachęcani przez Amerykanów, uznali, że tak osłabiła ona Husajna, że to dobry moment na powstanie. Pośpieszyli się. Zachód nie pomógł Kurdom i nie zapobiegł masowym ucieczkom do Turcji i Syrii, ale przynajmniej wprowadził strefę zakazu lotów, co umożliwiło stworzenie kurdyjskiej autonomii. W 2003 r. Kurdowie byli najsilniejszymi lokalnymi sojusznikami koalicji. To dzięki ich doświadczeniu, wywiadowi i wytrwałości inwazja przebiegła w pierwszym etapie tak szybko.

TRUDNA NIEPODLEGŁOŚĆ

Ustanowiona po 2003 r. kurdyjska autonomia to twór wyjątkowy również dzięki dobrym układom z nieoczywistymi partnerami. Turcja i Iran, podobnie jak przedwojenna Syria, represjonują Kurdów u siebie, ale z tymi w irackiej autonomii żyją całkiem dobrze, zwłaszcza gdy chodzi o handel i inwestycje. Władze w Irbilu rozumieją się z Izraelem, który mówi, że Kurdowie podzielają zachodnie wartości.

Iracki Kurdystan przekonał do siebie sąsiadów nie tylko szansami ekonomicznymi. Równie ważni są peszmergowie, kurdyjscy żołnierze, bez których nigdy nie udałoby się powstrzymać ofensywy ISIS. A jednak w regionie referendum popiera tylko Izrael, co skłoniło komentatorów do gorzkiej uwagi, że premier Benjamin Netanjahu jest przychylny podziałowi kraju, bo nie ma tam Palestyńczyków.

Irak z oczywistych względów nie chce się zgodzić na secesję roponośnego regionu, inni sąsiedzi autonomii boją się precedensowego utworzenia pierwszego nowoczesnego państwa Kurdów. Wielka Brytania i Niemcy podkreślają, że referendum powinno się odbywać w porozumieniu z Bagdadem, a nie jednostronnie. Takie samo stanowisko ma Waszyngton, który boi się destabilizacji Iraku, gdzie wciąż działają niedobitki ISIS.

Przeciwko referendum jest też Gorran, największa partia opozycyjna w regionie. Jej politycy szli do wyborów pod hasłami zburzenia klanokracji rodu Barzanich, z którego wywodzą się prezydent i premier autonomii. Teraz uważają, że dwie dominujące partie represjonują opozycję, i dopóki to się nie skończy, nie będą wspierać ich decyzji. Nie do końca wiadomo poza tym, gdzie miałby się kończyć niepodległy Kurdystan. Przez wojnę z ISIS Kurdowie powiększyli teren pod swoją kontrolą. Spór z Irakiem dotyczy przede wszystkim prawie milionowego miasta Kirkuk, centrum wydobycia i transportu ropy na północy kraju. Według konstytucji leży ono w Iraku, ale kurdyjski gubernator zapowiedział, że odbędzie się w nim referendum, co natychmiast spowodowało jego odwołanie przez iracki parlament. Mimo wątpliwości argumenty, że to niewłaściwy moment na referendum, nie trafiają do Kurdów. W ostatnim ogólnoregionalnym sondażu z sierpnia 2016 r. za niepodległością opowiedziało się 82%. Trudno im się dziwić, że nie zamierzają czekać na „właściwy moment", bo ten nie nadchodzi od 102 lat. Kurdom należy się państwo, które w praktyce w Iraku i tak już mają. Teraz chcą je uprawomocnić. – Będziemy jednak niepodlegli tylko wtedy, gdy zechcą tego Amerykanie – z rezygnacją przyznaje Dana.

Goran zgadza się, że decyzja Amerykanów jest kluczowa. Według niego Waszyngton nie jest zadowolony z szyickiego rządu w Bagdadzie. Nie wiadomo, czy gdy ISIS przestanie zagrażać krajowi, władze nie zwrócą się znów przeciwko sunnickim Kurdom. Ale na razie Stany wciąż zdecydowanie bronią federalnego Iraku i nikt nie wie, co się stanie po referendum.

Dominik Sipiński

FOT. DOMINIK SIPIŃSKI

eprasa.pl ed8943ebb3

Wojciech Osiński

GRECKIE ŚMIECI

Ateny otrzymały od Unii kolejną transzę pożyczki. Napięta sytuacja w Grecji zdaje się poprawiać

Usuwanie odpadów w większych europejskich miastach właściwie nie jest zbyt trudne. Mieszkańcy uiszczają stosowne opłaty, a lokalni włodarze dokładają starań, aby przy pomocy własnych pracowników bądź prywatnych firm pozbyć się śmieci. Ale nie w Grecji. W Atenach i Salonikach z powodu strajku służb oczyszczania nagromadziło się w najgorętszych dniach lata 40 tys. ton śmieci. 17 tys. śmieciarzy domagało się na przełomie czerwca i lipca podwyżek oraz wcześniejszych emerytur. Tymczasem odpady zaczęły gnić, bo temperatura przekroczyła 30 stopni. Działacze społeczni bili na alarm, że trzeba dezynfekować sterty śmieci, żeby nie wybuchła zaraza. Z kanałów wypływała brązowa gnojówka, a nieopisany smród kazał Grekom zamykać okna.

Odpady urastają do rangi symbolu sytuacji Grecji i dosadnie przypominają o nierozwiązanych kłopotach.

WYSYPISKA NA AKROPOLU

Mija już ósmy rok, odkąd w Grecji zaczął się najdotkliwszy kryzys po 1945 r. W tym czasie Ateny otrzymały od Unii Europejskiej i Międzynarodowego Funduszu Walutowego trzy pakiety pomocowe, obwarowane obostrzeniami, które mają zapobiec marnowaniu i rozkradaniu środków. Chodziło m.in. o zlikwidowanie nieprzyjaznej biurokracji i uporządkowanie instytucji państwowych. Specjaliści z innych krajów przylecieli do Aten, aby wesprzeć greckich urzędników. Tymczasem śmieci znów kipią z parkowych koszy, a turyści robią zdjęcia na tle śmierdzących wysypisk. Prawie dokładnie w tym samym czasie Grecja otrzymała kolejną transzę pożyczki. Ośmioipółmiliardową wypłatę dla Aten zatwierdziła w pierwszej połowie lipca rada dyrektorów Europejskiego Mechanizmu Stabilności (EMS). Na greckim rynku zostanie jednak z tej sumy tylko 800 mln euro. Większość już zawczasu przeznaczono na częściową spłatę zadłużenia.

Negocjacje w tej sprawie trwały niemal rok i odbiły się na gospodarce Grecji. Opóźnienia w odblokowaniu środków powodowały liczne oskarżenia wobec rządu Aleksisa Tsiprasa. Premier chciał wymusić ulgi kredytowe. A potrzeby greckiej gospodarki są o wiele większe. Przelew kolejnej pożyczki zamyka jednak, przynajmniej na chwilę, dalszą dyskusję o Grexicie, która w ostatnich miesiącach wielokrotnie toczyła się w prasie.

W ramach ostatniego pakietu pomocowego Ateny otrzymały środki o łącznej wartości 86 mld euro. Program ten kończy się w połowie 2018 r., ale już teraz Unia i wierzyciele zastanawiają się, czy Grecja zdoła się otrząsnąć z kryzysu bez nadzoru. W następnych latach grecki rząd musi wprowadzić w życie kolejne cięcia emerytur i obniżyć kwotę wolną od podatku. Już teraz na dług państwa wobec obywateli składają się zaległe emerytury w wysokości 1,5 mld euro, a także zwroty podatkowe i zaległości wobec rozmaitych firm (razem ok. 5 mld euro). Te nieuczciwości dokonywały się latami za przyzwoleniem władz. Dziś ogromne długi są kartą atutową w rękach opozycji. Według jednego z badań przeprowadzonych pod egidą OECD ok. 50% gospodarstw domowych w Grecji jest w stanie się utrzymać tylko dzięki emeryturze dziadków.

Ale po latach recesji grecka gospodarka powoli odżywa. W pierwszej połowie 2017 r. państwo osiągnęło nadwyżkę 1,7 mld euro, czyli ok. 3,7% budżetu. Wprawdzie dla większości społeczeństwa te statystyki są nieodczuwalne, bo niemal wszystko zostało przeznaczone na spłatę długów, ale według ekspertów skłaniają do optymizmu. W każdym razie kwestia reform pada na podatny grunt, a płynące do Aten pieniądze nie wsiąkają już nie wiadomo gdzie.

Od tego, czy uda się przegnać widmo Grexitu, zależy nie tylko poprawa sytuacji Greków. Ta akcja ratownicza ma wpływ na przyszłość całej UE. Czy państwo na rubieżach Wspólnoty, które przez dziesięciolecia zaniedbywało swoje instytucje oraz gospodarkę, będzie mogło po 2018 r. samodzielnie zażegnać kryzys? Jeżeli udałoby się to Grecji, której PKB wynosi zaledwie 1% wydajności gospodarczej całej Unii, to rządy większych państw w podobnej sytuacji nie będą już miały wymówek. Natomiast jeśli ta delikatna misja się nie powiedzie, cały europejski projekt zawiśnie na włosku i dostarczy argumentów krytykom, którzy od dawna podają w wątpliwość metody instytucji unijnych. Nawiasem mówiąc, nawet niemieckie media nie tają, że RFN zarobiła dotychczas na kryzysie w Grecji ok. 1,34 mld euro. Mimo to na pewno nikt z siedzących przy stole negocjacyjnym nie chciałby powrócić do sytuacji z wiosny 2015 r., kiedy greckie kłopoty zdominowały łamy gazet.

W Atenach i Salonikach z powodu strajku służb oczyszczania nagromadziło się latem 40 tys. ton śmieci.

eprasa.pl ed8943ebb3

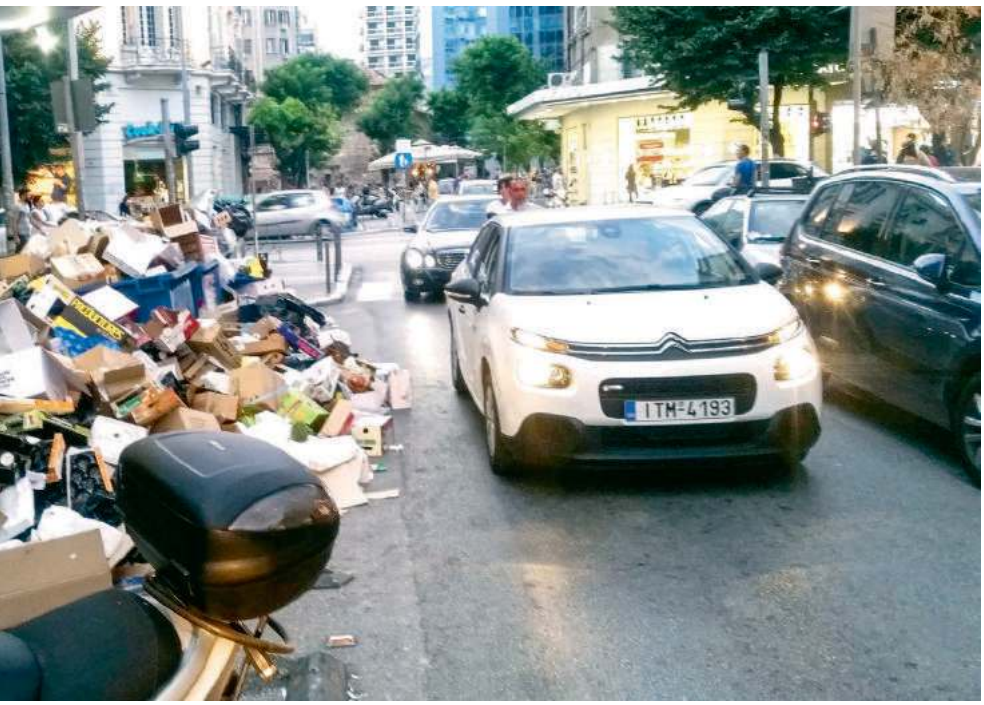

Odpady urastają do rangi symbolu sytuacji Grecji i przypominają o nierozwiązanych kłopotach. Nz. Saloniki.

Dlatego dziś smród śmieci na ateńskich ulicach jeszcze bardziej bije w nos, bo przypomina, że kryzys trwa. W 2017 r. charyzmatyczny minister finansów Janis Warufakis już niemal zniknął z przestrzeni publicznej, a specjalistą od uzasadniania optymizmu stał się 39-letni Aleksis Charitsis, wiceminister gospodarki w rządzie Tsiprasa. – Dziś Grecy wiedzą, że sama turystyka nie uratuje naszej gospodarki, nawet jeśli w tym roku przyjechało do nas 30 mln gości. Musimy dalej inwestować w infrastrukturę, logistykę i rolnictwo – wyjaśnia polityk Syrizy.

Sygnały ożywienia to dobra wiadomość, ale grecki kryzys, który wprawił w drżenie europejski system finansowy, jest zbyt poważny, aby przyćmiły go przyjemne dla czytelnika nagłówki. Zbyt mocno zakłócił poczucie bezpieczeństwa Greków, aby mogli z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Sceptycyzm wobec zalewających dziś Grecję i Unię optymistycznych statystyk jest uzasadniony. Jedna czwarta greckiego społeczeństwa nadal zmaga się z bezrobociem (wśród młodych nawet 50%!). Z kolei reforma podatkowa, którą Tsipras nieodmiennie wymienia jako swoje najistotniejsze osiągnięcie, odciąży wprawdzie starszych, ale uderzy w klasę średnią i drobnych przedsiębiorców, odpowiedzialnych właśnie za te pierwsze oznaki wzrostu. „Podatki jak w Skandynawii, świadczenia niczym w Sudanie", szydziła ateńska gazeta „Kathimerini", która od lat krytycznie ocenia poczynania rządu.

GRECKA MENTALNOŚĆ

Tymczasem rząd wskazuje jeszcze inne projekty, które z powodzeniem udało się zrealizować (lub przynajmniej uruchomić). Przede wszystkim znaczące prywatyzacje. Port w Pireusie został wykupiony przez wiarygodne chińskie przedsiębiorstwo, a ten w Salonikach sprzedany francuskiemu koncernowi. Niemiecka spółka Fraport przejęła 14 greckich lotnisk. Warto też zwrócić uwagę na gigantyczny chińsko-arabski projekt Ellinikon za 8 mld euro. Na starym lotnisku w Atenach na 620 ha powstają mieszkania, centra handlowe, parki, kasyna, fabryki, a tym samym tysiące miejsc pracy. Skoro wszystko rysuje się tak okazale, to w czym tkwią problemy?

– W administracji i na ważnych stanowiskach w biznesie nadal panuje charakterystyczna i trudna do wytępienia mentalność brania bez dawania. W Grecji funkcjonują liczne małe obozy władzy i układy, nie potrafimy stworzyć wspólnego frontu. To szkodliwe dla państwa i powinno się zmienić – skarżył się w przypływie szczerości Charitsis w rozmowie z portalem Greek Reporter. Śmiałe słowa jak na polityka, który chciałby się poddać kolejnemu wyrokowi wyborców. Jego zdaniem większość Greków zachowuje postawę wycofania się, redukując życiową i zawodową filozofię do „najpierw ja".

Trzeba przyznać, że Charitsis jako jeden z nielicznych greckich polityków nazwał po imieniu problemy leżące u podstaw kryzysu. Aby z niego wyjść, Grecja potrzebuje nie tylko taryfy ulgowej w Brukseli. Wymaga obywatela, który jest przedsiębiorczy, a zarazem myśli o narodzie. Który rozkręca biznes, tworząc nowe miejsca pracy, a jednocześnie płaci podatki. Grecja potrzebuje... nowego Greka.

Tyle że taki nowy obywatel wymaga politycznej giętkości oraz setek kompromisów. A zdolność do kompromisów nie jest Grekom bliska. Ale bez tego kraj nigdy nie spłaci długów. Według obliczeń kredytodawców potrwa to jeszcze do 2060 r., czyli 43 lata. Nie sposób dokładnie określić rzeczywistych rozmiarów zadłużenia, w każdym razie ten termin został zapisany w umowie między państwem greckim a wierzycielami. Jednym z warunków jest np. osiąganie co roku nadwyżki budżetowej, po części przeznaczanej na spłatę długów.

Główną bolączką Greków jest jednak zjawisko, które my, Polacy, być może mamy już za sobą. Nad Morzem Egejskim nadal wykrwawia się serce tamtejszej przedsiębiorczości, setki tysięcy młodych ludzi szukają pracy za granicą. Zdaniem prognostów do 2060 r. greckie społeczeństwo zmniejszy się o jedną trzecią. Skąd zatem wziąć wydajność wymaganą w wytycznych kredytodawców?

URZĄD GEODEZJI I KATASTRU

Co ciekawe, mimo kryzysu i nagonek medialnych Tsipras wciąż cieszy się wśród wyborców popularnością. Być może dlatego, że w Brukseli wykreował się na twardego negocjatora, z oporem przyjmującego jej propozycje. Na wszelkiego rodzaju przejawy „neoliberalnej prywatyzacji" premier Grecji reagował alergicznie, ale w końcu musiał rozłożyć ręce i zaakceptować postawione mu warunki. Na razie w sondażach

FOT. NURPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl ed8943ebb3

wyprzedza go jedynie konserwatysta Kiriakos Mitsotakis. Ale kiedy uruchomione przez kredytodawców mechanizmy kontrolne wygasną i rząd zaprezentuje kolejne nadwyżki, premier zostanie tym, który wyprowadził kraj z kryzysu. Który po prostu musiał zrobić to, czego od niego oczekiwano. Poza tym będzie człowiekiem, który sfinalizował coś, co nie udało się poprzednikom – projekt urzędu katastralnego.

Główny Urząd Geodezji i Katastru powstaje od 1997 r. i ciągle jest w powijakach. Tyle że tym razem nie można tego usprawiedliwić brakiem pieniędzy. Unia przelała wówczas miliony, a po paru latach stagnacji Ateny musiały zwrócić subwencje przeznaczone na projekt. Obecnie urząd wciąż nie działa, tak jak powinien, ale rozbudowaniem tej instytucji zajął się ceniony na świecie profesor kartografii Byron Nakos. Pamiętajmy – w tym kraju nigdy nie udało się dokonać ewidencji gruntów i budynków! Brak tego urzędu będzie najlepiej zapamiętaną dolegliwością w najeżonej kryzysami historii Grecji. Obecnie w Atenach i Salonikach zarejestrowano przeszło 60% danych, co można już nazwać sukcesem. – Według mnie urząd katastralny jest fundamentalny dla normalnie funkcjonującego państwa. W przeciwnym razie korupcja zapuszcza korzenie – tłumaczy Nakos.

Grecja potrzebuje... nowego Greka.

Grecja, której granice na mapie politycznej nieustannie się zmieniały, nigdy nie zdołała opracować wielkoskalowej mapy ewidencyjnej. Lecz to skutki nie tylko zaszłości historycznych, ale też mentalności elit i społeczeństwa, w którym podanie ręki zastępowało podpis w umowie. Toteż podobne dane zawarto jedynie w listach hipotecznych, bez precyzyjnych informacji na temat gruntów. Kilkakrotnie próbowano powołać urząd katastralny. Przeciwne były stare elity, które nie chciały wystawić oświadczeń własnościowych, obawiając się utraty wpływów lub wolności. Strach przed weryfikacją rzucił sobie w ramiona zwaśnionych wcześniej spryciarzy, tworząc nowe chore układy.

Projekt wspierają zagraniczni kredytodawcy, 25% Grecji już opracowano kartograficznie. W tych dniach ustawa o nowym urzędzie katastralnym ma trafić do parlamentu, a w 2020 r. baza danych zasobu geodezyjnego powinna być prawie kompletna. – Grecy mają odzyskać zaufanie do instytucji – powtarza prawie na każdym wiecu premier Tsipras.

Ale czy tempo zmian w urzędzie katastralnym może się przełożyć na uzdrowienie całego państwa? Niekoniecznie. Dlatego niektóre symptomy kryzysu nieprzerwanie dają o sobie znać. Tak jak strajkujący śmieciarze, którzy latami byli zwodzeni… umowami śmieciowymi. Kiedy sąd orzekł, że to nielegalne, Tsipras oświadczył, że państwo zapewni umowy o pracę przynajmniej jednej trzeciej śmieciarzy. To jednak znów kropla w morzu potrzeb. Stare śmieci w Atenach tak szybko nie znikną.

Wojciech Osiński

eprasa.pl ed8943ebb3

Inne możliwe

Roman Kurkiewicz

CZARNY PIĄTUNIO TOTALNEGO SEJMU

W PRL bolączką mieszkańców miast bywały niedziałające kioski Ruchu. Do zastępczej rozpaczy doprowadzały spragnionych, a niedoszłych konsumentów (przecież nic nie było do kupienia, nieprawdaż?) karteczki: „Wyszłem na pocztę", „Wyszłem do banku" (po bilon do wydawania reszty), samo „Zaraz wracam" wybrzmiewające rozszerzającą definicją „zaraz" (dzisiejsze „niezwłocznie"). W moim wspomnieniu utkwiło nieusuwalnie wytłumaczenie: „Wyszłem do kiosku, bo ten nieczynny".

Można pewnie twierdzić, że Sejm tej kadencji, jak poprzednie, miewał gorsze dni, słabsze posiedzenia, marne chwile, rozczarowujące sesje. Jednak 15 września 2017 r. nastąpiła jakaś symboliczna kumulacja samoobnażenia, cynizmu i niezainteresowania. Sejm przez aklamację (czyli wszyscy obecni byli za, nikt się nie wstrzymał, nikt nie był przeciw) przyjął uchwałę czczącą 75-lecie powstania Narodowych Sił Zbrojnych. Skrajnie prawicowej, faszyzującej, antydemokratycznej formacji militarnej, której wiele oddziałów nie wchodziło w skład Polskiego Państwa Podziemnego, gdyż nie uznawało podporządkowania dowództwu AK, a wymieniona w uchwale Brygada Świętokrzyska NSZ jawnie i bezspornie współpracowała z hitlerowskim gestapo i Wehrmachtem, walcząc z partyzantką radziecką, chłopską i komunistyczną, mając na koncie mordy na ludności cywilnej. Sejm tym samym postawił kropkę nad faszyzującym kłamstwem historycznym, coraz powszechniej obecnym w polskim życiu publicznym. Nikt, żaden poseł, żadna posłanka jakiejkolwiek formacji politycznej, nie zdobył się na gest niezgody, nie padło ani jedno przeciw. Totalność opozycji polega na totalnym wsparciu dla rządzącej formacji i jej faszyzujących popleczników.

Cele NSZ wyrażone w ich periodyku „Szaniec" z 29 stycznia 1943 r.? „W pierwszym gniewie sprzątniemy zapewne część naszych wrogów, drugie tyle wysiedlimy. (...) Utrwaliło się w nas obecnie przekonanie, że żaden Niemiec czy Żyd, żaden Ukrainiec czy Litwin nie może przez nas być uznany za brata, że żaden nie może być pełnoprawnym obywatelem przyszłego państwa polskiego. (...) Nie łudźmy się też, że wszystkich wrogów wysiedlimy, a zostaną tylko ci lojalni członkowie mniejszości. Nawet po drakońskich wysiedleniach zostaną w Polsce grube krocie Niemców, kilka milionów różnego typu Rusinów, zwarta grupka zwierzęco tępych Litwinów, milion czy dwa zgermanizowanych Ślązaków, Nadodrzan, Mazurów i Prusów. (...) Wszystkich nie wymordujemy i nie przepędzimy, wszystkim też nie możemy dać pod żadnym pozorem praw obywatelskich. Co więc pozostaje? (...) Musimy odrzucić bezwzględnie niedorzeczną równość obywatelską. (...) Żydów (…) musimy się pozbyć bez wyjątku, jako elementu obcego, bezwzględnie wrogiego i nie do zasymilowania".

Żeby ta pochwała mogła wybrzmieć jeszcze donośniej, po podniesieniu wszystkich rąk, choć tym razem jeszcze nie w geście rzymskiego salutu, podniosły się wszystkie poselskie tyłki i niemal wszyscy wymaszerowali w swoją prywatną piątuńciową stronę, jakby byli sformatowanymi 30-letnimi korposzczurami, wygłodzonymi weekendowego odreagowania swoich Mordorów.

Zdążyli opuścić najbardziej chroniony budynek w Polsce (zwany parlamentem), zanim na mównicę wszedł rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, żeby przedstawić sprawozdanie z prac urzędu. Mający około tysiąca stron raport przedstawił w zwięzłym, komunikatywnym stylu, opisując najróżniejsze interwencje Biura RPO, nakreślając ich kontekst, powagę, zagrożenia oraz rysując pomysły na działania zaradcze. W tej opowieści dotknął realnych, nie tych sprzed ponad 70 lat, problemów polskich obywatelek i obywateli w kontakcie – lub częściej starciu – z machiną państwa. Pojawiły się tu takie kwestie jak tortury stosowane prze policję, uciążliwość inwestycji dla konkretnych mieszkańców, problemy osób z niepełnosprawnościami, problemy związane z domami opieki, szeroko rozumiane prawo obywateli do sprawiedliwego sądu, rozprzestrzenianie się mowy nienawiści wobec migrantów i uchodźców. Słuchało tego w porywach niewielu ponad 10 przedstawicieli społeczeństwa. Oczywiście znający mentalność niesfornych korporacyjnych dzieci, jaka cechuje polskich parlamentarzystów i parlamentarzystki, marszałek Sejmu, korzystając z doświadczeń z umieszczaniem lekcji religii w środku planu zajęć, wyznaczył rzecznikowi Bodnarowi czas na wystąpienie, kiedy zwyczajowo parlamentarzyści, nie bacząc na nic i nikogo, pędzą do swoich aut (żeby zdążyć przed piątkowym korkiem) i pociągów. Byle dalej od tego Sejmu.

Totalność opozycji polega na totalnym wsparciu dla rządzącej formacji i jej faszyzujących popleczników.

230 posłów i posłanek tej kadencji wzięło pożyczki z Kancelarii Sejmu na sumę prawie 6 mln zł. Oprocentowanie? 1% w skali roku.

Polski Sejm: faszystom na zdrowie, sobie na pożytek.

Obywatele, obywatelki – zostaliśmy sami.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ed8943ebb3

NIEMIEC, KTÓRY KOCHA POLSKĘ

To my, Niemcy, mamy dziwną mentalność, a nie Polacy

Rozmawia Robert Walenciak

MATTHIAS KNEIP

– pisarz, poeta, propagator kultury polskiej

Jeździ pan po niemieckich szkołach, opowiadając o Polsce. Prowadzi pan szkolenia dla firm inwestujących w naszym kraju, organizuje wycieczki do Polski, pisze książki – ostatnia to „111 powodów, by kochać Polskę". Skąd ta pasja?

– Skąd się wzięła? Może stąd, że w Opolu jest grób mojej prababci? Moi rodzice w 1957 r. przeprowadzili się ze Śląska do Bawarii, przenosząc ze sobą lokalne zwyczaje. Może więc stąd, że w rodzinnym domu najbardziej lubiłem te zwyczaje, które przynieśli z Polski? A może stąd, że w naszym domu w Regensburgu bywał Tadeusz Różewicz? Wiele jest powodów.

Pan też go odwiedzał.

– We Wrocławiu. Pewnego dnia, gdy byłem u niego w domu, powiedział: „Napisz książkę". Napisałem i tak się zaczęło. Poprzez Różewicza poznałem polską literaturę, poezję. Polska poezja jest dla Niemca jak urlop. Bo to poezja, którą można czytać! Nie można czytać niemieckiej poezji w tramwaju, a polską – tak! Szymborska! Ale i inni, Twardowski, fraszki Leca, dramaty Mrożka… Był taki czas, w latach 90., kiedy niemieckie gazety zainteresowały się moimi książkami, tekstami. I to się rozkręciło.

OPOWIADAM UCZNIOM O POLSCE

W niemieckich szkołach daje pan wykłady na temat Polski i Polaków. Mówi, że warto tu przyjechać, że złe opinie to stereotypy.

– Co to znaczy stereotyp? To pięć-sześć zdań, opinii na dany temat. Owszem, prawdziwych. Czy mogę to zmienić? Tak! Jeżeli przedstawię tyle nowych informacji, że te pierwsze przekonania już nie będą miały takiej wagi.

Rozmyją się.

– Tak. Będą mniej ważyć. Jakiś czas temu miałem spotkanie w szkole i zapytałem uczniów, dlaczego nie chcą jechać do Polski na wakacje. Śmiali się! Wreszcie jeden odpowiedział: „Wie pan co, w Polsce kradną, Kaczyński jest, są brudne ulice". Potem zapytałem go: „A dokąd jeździsz na wakacje?". Odpowiedział – do Włoch. „Włochy? Tam masz mafię, camorrę, czysto nie jest, samochody jeszcze częściej kradną niż w Polsce, oszukują…" A on: „Proszę pana, jaki pan ma obraz Włoch? Tam jest morze, słońce…". Wszyscy się śmiali. Że on mi opowiadał stereotypy o Polsce, a ja jemu stereotypy o Włoszech. Później się zorientował. Takie są moje bitwy codzienności.

Ciężka walka.

– Ale warto wiedzieć, że młodzi Niemcy już nie mają takich stereotypów jak kiedyś. Jest raczej obojętność. Jeżeli mówisz Polska – oni milczą. Ale z innymi krajami jest podobnie. Oni nic nie wiedzą o Danii, o Holandii, nawet o Włoszech, oprócz tego, że mają tam wakacje i morze. Poza tym – nic! Więc muszę ich zainteresować, rozruszać, żeby po spotkaniu wyszli z sali zaintrygowani: *wow*, wydaje mi się to ciekawe, może warto uczestniczyć w wymianie szkolnej albo pojechać. O to mi chodzi – pobudzić zainteresowanie.

Co może być dla nich ciekawe?

– Zaczynam swoją biografią. Opowiadam o tym, jak mój ojciec nigdy w życiu nie podał ręki przez próg. Zawsze najpierw poprosił do środka. I wtedy odzywają się młodzi ludzie, którzy też mają w domach inne tradycje. Często mówią o nich. Czyli o swojej rodzinie.

STRZELAJĄ DO SIEBIE CO SOBOTĘ

Już jest jakiś haczyk, żeby zacząć rozmowę.

– Opowiadam też, że moi rodzice rozmawiali po polsku, kiedy nie chcieli, żeby dzieci rozumiały, o co chodzi. A tu ktoś się zgłasza: „U mnie było to samo, moi rodzice są z Turcji, też rozmawiają po turecku!". Potem zgłasza się ktoś inny. Uczniowie patrzą – a, u ciebie też? I to jest pierwszy krok. A potem mówię im o prezentach. W Polsce często się zdarzało, że mówisz: „O, jaka ładna butelka!", a gospodarze na końcu wizyty dają ci ją jako prezent.

Panu dali obraz.

– Tak było. Kiedy uczniowie to słyszą, bardzo się śmieją. Nie z tego, że Polak podarował mi obraz, ale z tego, co oni by zrobili, gdyby w ich mieszkaniu Polak powiedział: „O, super ten obraz!". I w głowie im zostaje – a w Polsce to jest inna gościnność.

Jeśli mówię o Polsce, muszę opowiadać o rzeczach, które Niemcy znają, ale nie wiedzą, że mają coś wspólnego z Polską.

eprasa.pl ed8943ebb3

MATTHIAS KNEIP – urodził się w 1969 r. w Ratyzbonie. Syn Niemców z Górnego Śląska. Jego ojciec, profesor polonistyki na Uniwersytecie w Ratyzbonie, był tłumaczem ekipy Kazimierza Górskiego w 1974 r.

Że gościa trzeba nakarmić.

– O tak! Zdanie: „Dziękuję, nie jestem głodny!" – to jedyne zdanie po polsku, którego nauczył się mój brat. Prezenty, obyczaje – to są tematy, które ich interesują. Nie ma sensu rozmawiać o Mickiewiczu czy o polityce! Zaraz by się wyłączyli. Muszę mieć na nich sposób. Żeby zainteresować.

A potem, żeby ktoś chciał pojechać do Polski i sprawdzić pańskie słowa.

– Mam spotkania, na których jest i 400 osób. Po takim spotkaniu pytam: „Kto chciałby pojechać do Polski?". Zdarza się, że na listę wpisuje się 30-40 osób. To sukces, bo nauczyciele nie zawsze wiedzą, jak zachęcić uczniów do uczestnictwa w wymianie młodzieży. A mnie się udaje.

I jak to wygląda?

– Jeżeli młodzi ludzie się spotykają, Niemcy, Polacy, na pierwszy rzut oka ich nie odróżnimy. Mają te same komórki, oglądają w kinie te same filmy, słuchają tej samej muzyki. Ubierają się tak samo, bo w galeriach handlowych mają te same sklepy. Oni nie rozmawiają o historii: „Przepraszam, jestem Niemcem, jak przeżyliście II wojnę światową?". To się zmieniło. Miałem spotkanie autorskie w szkole w Forst, to miasto przy granicy z Polską. Zapytałem: „Czy od czasu do czasu chodzicie przez granicę do Polski?". A oni odpowiedzieli: „Tak, chodzimy". Pomyślałem – jak? Nie mogą jechać samochodem, bo są za młodzi. Nie jeżdżą na zakupy, po alkohol i papierosy, bo są za młodzi. Nie mogłem sobie wyobrazić, po co tam chodzą. Jeden z uczniów mi odpowiedział, że w każdą sobotę spotykają się z Polakami i grają w paintball. Strzelają do siebie! Szczerze mówiąc, byłem w szoku. A historia okazała się jeszcze gorsza – bo te rozgrywki paintballu odbywają się w fabryce, w której w czasie wojny pracowali robotnicy przymusowi. Produkowano tam amunicję. Nie wiedziałem, co powiedzieć – jak to jest możliwe? Grać tam, gdzie była taka firma? A młodzi Polacy i młodzi Niemcy spotykali się tam i bawili. To spotkanie było cennym doświadczeniem, często o nim myślę. Bo jak rozmawiać o przeszłości? Moje pokolenie jeszcze nią się interesuje. Gdy przyjeżdżam z grupą do Warszawy, odwiedzamy Muzeum Powstania Warszawskiego, idziemy pod pomnik Bohaterów Getta, tam gdzie klęczał Willy Brandt. Ale z młodymi trzeba pracować inaczej.

Z kim jest łatwiej?

– Bardziej podoba mi się praca z młodzieżą. Ale nie dlatego, że jest łatwiej. Nie! Raczej dlatego, że ma więcej sensu. Bo oni będą dłużej żyć.

Ha, ha! Niemiecki pragmatyzm!

– To jest inwestycja na przyszłe lata. Nagrody dostają publicyści, naukowcy, bo pracują dla ludzi i z ludźmi, którzy w głowie mają już poukładane. A młodzi patrzą na mnie, słuchają i – mam nadzieję – mam wpływ na ich myślenie. I że będą to mieli w głowie 10 lat, 20, może dłużej.

TYPOWY NIEMIEC, TYPOWY POLAK

Polska jest chyba trudna do przedstawienia Niemcom w paru zdaniach.

– Najpierw trzeba zainteresować, zaskoczyć. Gdy mówię: „W Polsce mieszkają Tatarzy", to Niemcy odpowiadają: „Niemożliwe!". Albo że Polak wymyślił lampę naftową. I że pierwsze szyby naftowe na świecie znajdują się w Polsce. To dla Niemca jest niepojęte. Nie w Ameryce? Technologia wydobycia ropy naftowej została opracowana w Polsce? Albo mówię, że co piąty bocian na świecie jest Polakiem. To jest ciekawe. Maria Curie! Oni znają to nazwisko, ale nie wiedzą, że Maria Curie urodziła się w Warszawie. Albo Chopin. Nie każdy, nawet dorosły, wie, że Chopin jest Polakiem. Jeśli rozmawiam o Polsce, muszę opowiadać o rzeczach, które oni znają, ale nie wiedzą, że mają coś wspólnego z Polską. A Piłsudski? To daleko w głowie Niemca.

A zwyczaje? Jest duża różnica między mentalnością Polaka i Niemca?

– Bardzo duża. Dam przykład: jeżeli Polak pyta Polaka: „Jesteś głodny?", to słyszy w odpowiedzi: „Nie". Więc znowu pyta: „Jesteś głodny? Naprawdę nie?". Aż w końcu obaj jedzą. Dlatego niektórzy młodzi Polacy źle się czują u Niemców. Bo pytają go: „Jesteś głodny?", on mówi: „Nie" i czeka.

Na następne pytanie, czy jest głodny.

– A tego pytania już nie będzie! Bo jak odpowiedział już raz, to po co pytać po raz drugi. Takie są różnice. Nie tak dawno, gdy byłem z grupą dorosłych w Polsce, mieliśmy kłopot w restauracji. Jeden z naszych gości poprosił o omlet z jednego jajka. A pani kelnerka przyniosła mu z dwóch. Tragedia! On powiedział: „Proszę pani, ja mówiłem, że z jednego". Ona odpowiedziała: „A ja myślałam, że może pan będzie chciał dokładkę? Bo to takie dobre". On na to: „Wie pani, to jest kwestia respektu. Jeżeli ja mówię – z jednego, to chcę z jednego". Taki był dialog.

Ona chciała okazać życzliwość.

– A on – że jeżeli chce z jednego, to z jednego. Nie sądzę, że to był typowy Niemiec, tak jak nie sądzę, że kelnerka była typową Polką. Ale kiedy rozmawiamy o różnicach, warto wiedzieć, że z taką reakcją możemy się spotkać. Jeżeli więc robię dla Niemców czy Szwajcarów szkolenie, to od razu mówię: „Jeżeli będziecie pracowali w Polsce z tymi, którzy mówią po angielsku – to raczej nie będziecie mieli problemów mentalnych. Ale gdy traficie na kogoś starszego – to mogą być. 99 razy nic się nie zdarzy, a jeden raz – będzie kłopot". Więc mówię, jak z tym kłopotem sobie radzić.

Na przykład?

– Zdarza się, że ktoś zaprasza niemieckiego dyrektora do Polski, żeby rozmawiać na tematy zawodowe. Ale pierwsze spotkanie jest w restauracji. I co? Niemiecki dyrektor, który ma powrotny lot wieczorem, nie rozumie, dlaczego tracą czas w restauracji i dlaczego polski

Prezenty, obyczaje – to są tematy, które interesują młodych Niemców. Nie ma sensu rozmawiać o Mickiewiczu czy o polityce!

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ed8943ebb3

dyrektor pyta, czy ma żonę, dzieci. Ten problem do dzisiaj istnieje. Tłumaczę więc, że Polacy o wiele wcześniej zaczynają rozmawiać o prywatnych sprawach. Nie ma granicy między sprawami prywatnymi a służbowymi. Polak to miesza. W Niemczech nie powinno się pytać, czy ktoś jest żonaty czy nieżonaty itd. To byłby nietakt, błąd. Tylko że tak jak Polacy zachowuje się większość narodów na świecie. Ta gościnność, niepunktualność, *smalltalk*... Kultura smalltalku jest na świecie rozpowszechniona. To Niemcy są na tym polu w mniejszości. Więc to my, Niemcy, mamy dziwną mentalność. A nie Polacy.

Tak jak Polacy zachowuje się większość narodów na świecie. Ta gościnność, niepunktualność, smalltalk.

POLACY GADAJĄ. WSZĘDZIE

A mentalność *Ossi* i *Wessi*?

– Coraz bardziej są podobni. Ale 20 lat temu mentalność np. mieszkańców Drezna była bliższa mentalności Wschodu niż Zagłębia Ruhry.

Wiedzieli, jakie święto jest 8 marca.

– Ale to się zmienia. Na wschodzie już zapominają. Ten 8 marca tak mnie zafascynował, że napisałem wiersz o kobietach. Wiersz w Polsce się podobał, a w Niemczech miałem tylko kłopoty.

Dlaczego?

– Jedna z przyczyn była taka, że ten wiersz kończy się słowami: „Kobiety umierają, jeśli ich nie kochasz, jeśli je kochasz – żyją wiecznie". Polakom to bardzo się podobało. Oni mówili: chodzi o miłość, to miłość powoduje, że nawet jak kogoś nie ma, żyje w sercu innych. A ci, którzy miłości nie mają, nawet jeśli żyją, to jakby ich nie było. Bo są innym obojętni. Kobietom się podobało – o, jaki młody, jak pięknie o nas pisze! W Niemczech, gdy czytałem ten wiersz – katastrofa! Pewna kobieta wstała: „Proszę pana, my żyjemy tak długo, jak możemy, to nie zależy od tego, czy nas ktoś kocha, czy nie kocha". Jest różnica, prawda?

Jest ich więcej?

– Miałem w Polsce kłopoty z aparatem fotograficznym. Musiałem wyczyścić obiektyw. Wszedłem więc do sklepu i zapytałem, czy mogą mi sprzedać coś do wyczyszczenia, bo mam brudny obiektyw. A sprzedawca odpowiedział: „Dobrze, mamy coś". Przyszedł do kasy, wziął coś takiego, podarował mi: „Niech pan to weźmie". A ja wciąż czekałem, kiedy on mi powie, ile to kosztuje. A on, że nie trzeba, że drobiazg. Pomógł mi. Nie chciał zarabiać na pomocy.

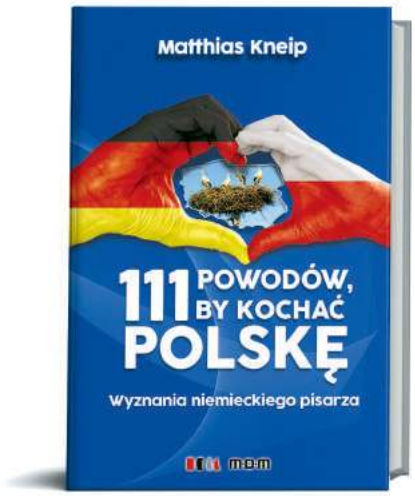

Niemiec zrobiłby biznes?

– Halo! Niemiec poszedłby ze mną do lady. Pokazałby mi kilkanaście szmatek, opisał, ta działa tak, ta inaczej, ta najlepsza. Ale pan spróbuje tej i tej. Żeby sprzedać. I zarobić.

Nie tracąc czasu.

– To jest dla mnie ciekawa różnica – że Polacy gadają. Wszędzie.

A Niemcy?

– Nie. Nie ma kultury, w której się gada i jest się punktualnym. To oczywiste! Podczas studiów mieszkałem w Opolu na dziewiątym piętrze. Jak schodziłem do autobusu, to każdy sąsiad mnie zagadnął. Miałem wybór – zachować się po polsku albo po niemiecku. Po polsku to tak: rozmawiasz i jesteś miły dla sąsiadów, ale wtedy nie zdążysz na autobus. Po niemiecku – odwrotnie. Niemiecka mentalność jest inna. Punktualność jest dla nas ważniejsza niż stosunki międzyludzkie.

Z czego to wynika? Ten respekt dla punktualności?

– Od dzieciństwa go pamiętam. Myślę, że to dlatego, że po wojnie mieliśmy w Niemczech straszny bałagan. I mieliśmy cel – odbudować państwo. A najkrótsza droga do celu to punktualność. Bo jak gadasz, tracisz czas – niewiele zrobisz, droga będzie dłuższa. Przez to, że jesteśmy punktualni – mamy plusy. Ale wiążą się z tym również minusy. Zawsze tak jest – są plusy i minusy. Tylko trzeba to rozumieć.

Robert Walenciak

Wyślij SMS o treści KUBUS pod numer 74567 i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

Bywają takie dni, gdy zmienia się wszystko. W okamgnieniu to co znaliśmy, to co sprawiało, że czuliśmy się bezpieczni, znika. Zostaje niemoc, strach. I panika.
Kubuś urodził w maleńkim gospodarstwie. Jego mama była atrakcją dla wnuków właściciela. Przyjeżdżały co jakiś czas, czesały jej długą, gęstą grzywę, karmiły smakołykami. Maluch, który kilka miesięcy temu przyszedł na świat, z boku obserwował i czasem nieśmiało podchodził do ludzi. Któregoś dnia dla Kubusia zmieniło się wszystko. Do małej stajenki przychodził lekarz, kiwał tylko głową i mówił, że nic się nie da zrobić. Chwilę później zakończyło się beztroskie dzieciństwo pod czujnym okiem kochanej mamy. Kubuś nie miał się już do kogo przytulić, nie mógł dostać mleka. Mama Kubusia odeszła.
Mały Kubuś rozpaczliwie wołał swoją mamę. Nie wiedział, że nie wróci. Nie było już nikogo, kto pokazałby mu świat i jak zaprzyjaźnić się z ludźmi. Zamknięty w swojej stajence coraz bardziej dziczał i gdy przyjechały wnuczki właściciela, i chciały Kubusia wyczesać, spanikowany wybiegł na dwór, przewracając dzieci.
Właściciel nie myślał długo, wymienił źrebaka u handlarza. Jego miejsce zajęła stara, spokojna klacz, na Kubusiowej szyi zacisnęła się handlarska lina, gdy ładowali go do przyczepy, a w oczy zajrzał strach.
Kubuś ma tylko 6 miesięcy i żadnych szans na znalezienie dobrego domu.
Pomóż uratować małego Kubisia.
Aby Kubuś żył, musimy uzbierać 1200 zł do 10 października.

Możesz pomóc Kubusiowi, dokonując darowizny z tytułem KUBUS na konto PKO BP 72 1020 5138 0000 9102 0166 4523

ul. św. Jerzego 1A, 50-518 Wrocław

FUNDACJA OTWÓRZ SERCE

Fundacja Otwórz Serce
tel. 576 091 472, www.otworzserce.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Społecznej Regulamin: http://otworzserce.org.pl/rk.html

eprasa.pl ed8943ebb3

BUDŻET BEZ DOBREJ ZMIANY

Mniej pieniędzy na ochronę zdrowia i rynek pracy, za to o prawie 4 mld zł więcej na obronność

Piotr Szumlewicz

Miało być solidarnie, rozwojowo, korzystnie dla biednych, chorych i wykluczonych. Miał być socjalny zwrot po latach liberalnych rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Niestety, przygotowany przez rząd Beaty Szydło budżet państwa na rok 2018 rozczarowuje.

Nowa władza obiecywała pracownikom, że po latach posuchy nadejdą lepsze czasy. W rzeczywistości nie ma zapowiadanej „dobrej zmiany". W 2018 r., mimo optymistycznych prognoz dotyczących wzrostu PKB, po raz kolejny płace w budżetówce mają być zamrożone. Pracownicy sfery budżetowej nie pamiętają, kiedy ostatnio mieli podwyżki. Płaca minimalna w przyszłym roku wzrośnie, ale zaledwie o 100 zł brutto. Trudno pojąć, dlaczego minimalne wynagrodzenie ma się zwiększyć

W 2018 r. po raz kolejny płace w budżetówce mają być zamrożone.

o mniejszą kwotę niż w bieżącym roku, zwłaszcza że nastąpiła poprawa sytuacji na rynku pracy. Najwyraźniej rząd nie dostrzega problemu biednych pracujących. Niemiłą niespodzianką jest też duży spadek wydatków na Fundusz Pracy. Plan budżetu przewiduje zmniejszenie wydatków aż o 4 mld zł w porównaniu z rokiem bieżącym! Władza tnie środki na aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu i lekceważy fakt, że wciąż bez pracy pozostaje ponad 1 mln osób, a w niektórych regionach stopa bezrobocia przekracza 15%. Ponadto projekt budżetu zakłada, że w przyszłym roku nastąpi wzrost zatrudnienia w gospodarce narodowej o zaledwie 0,8%, tymczasem odsetek osób aktywnych zawodowo w Polsce wciąż odstaje od średniej unijnej.

Instytut Pamięci Narodowej otrzyma 37,4% więcej środków niż w tym roku.

Nie ma pozytywnych zmian w systemie podatkowym. Obóz rządzący obiecywał, że kwota wolna od podatku wzrośnie do 8 tys. zł, jednak zwiększenie kwoty wolnej obejmie tylko nielicznych. Nie zmienią się koszty uzyskania przychodu. Nie ma także wzrostu progresji podatkowej – wciąż biedni płacą relatywnie wysokie podatki, a bogaci bardzo niskie. Mimo dobrej koniunktury gospodarczej stawki VAT pozostaną na tym samym, podwyższonym poziomie.

Martwi spadek wydatków w budżecie na ochronę zdrowia – o 1,8%, na programy polityki zdrowotnej – o 4%, na zakłady opiekuńczo-lecznicze i pielęgnacyjno-opiekuńcze – o 1,2%. Ma się też zmniejszyć finansowanie Państwowej Inspekcji Sanitarnej w budżetach województw. Praktycznie zapomniano o programie tzw. darmowych leków dla seniorów. Publiczna opieka senioralna znowu znalazła się na marginesie zainteresowań rządu.

W niektórych regionach stopa bezrobocia przekracza 15%.

Zamiast realnego wsparcia dla ludzi chorych i niedołężnych mamy permanentne niedofinansowanie służby zdrowia, pogłębiający się deficyt lekarzy i pielęgniarek, brak pomysłu resortu zdrowia na reformy. Obniżenie wieku emerytalnego będzie kosztować miliardy, ale wysokość rent i emerytur pozostanie na bardzo niskim poziomie.

Rząd marnotrawi miliony na kampanię zniechęcania społeczeństwa do sądownictwa, tymczasem wydatki na sądy powszechne mają wzrosnąć tylko o 5%. Trudno w tej sytuacji marzyć o przyśpieszeniu procesów i usprawnieniu pracy sądów.

Nie ma więc w budżecie dodatkowych pieniędzy na zdrowie, sądownictwo czy rynek pracy. Za to radykalnie, bo o prawie 4 mld zł, mają wzrosnąć wydatki na obronność. Trudno powiedzieć, przed kim chce nas bronić minister Macierewicz, ale otrzyma olbrzymie środki na swoje cele. Łączne wydatki na obronność mają przekroczyć 40 mld, czyli ponad 15 mld więcej niż na cały program Rodzina 500+.

Wciąż bez pracy pozostaje ponad 1 mln osób!

Najwyraźniej strategiczną instytucją dla obecnej władzy jest Instytut Pamięci Narodowej, który otrzyma o 37,4% więcej środków niż w roku bieżącym. Nie może też narzekać prezydent Andrzej Duda, którego kancelaria otrzyma aż 25% więcej pieniędzy, ani parlament, którego koszty utrzymania wzrosną o 17,3%. Tymczasem, choć wzrósł zakres zadań Państwowej Inspekcji Pracy, wydatki na nią zwiększą się jedynie o 7,4%.

Zamiast „dobrej zmiany" mamy chaos i niespójności, a na wielu obszarach kontynuację polityki nakreślonej przez tak znienawidzone przez PiS poprzednie rządy.

Autor jest doradcą Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Dane zawarte w tekście pochodzą z krytycznej opinii OPZZ na temat przyszłorocznego budżetu

eprasa.pl ed8943ebb3

Ariel Orzełek

TRUDNY REALIZM ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO

U schyłku PRL pisał, że nie będzie ona mogła liczyć na obiektywną ocenę

„Lepsza Polska żadna niż czerwona", wołało wielu w latach 1944 i 1945, gdy od tego, jaką postawę wobec tworzącej się nowej rzeczywistości przyjmą Polacy, zależał los narodu na wiele pokoleń. „Polska bez Wilna i Lwowa nie jest Polską", mówili ci, dla których takie czy inne granice były ważniejsze od własnej państwowości. Dziś takie poglądy wydają się dominować w polskiej refleksji o historii. Warto jednak przypomnieć, że nie tylko takie opinie wypowiadano o Polsce Ludowej, zarówno u jej progu, podczas jej trwania, jak i po 1989 r.

Jednym z inaczej myślących był Aleksander Bocheński (1904-2001), człowiek, który na skutek wojny utracił majątek za Bugiem, a przed wojną był zdeklarowanym antykomunistą, nawołującym do prewencyjnej wojny ze wschodnim sąsiadem. Pisując w redagowanych przez Jerzego Giedroycia „Buncie Młodych" i „Polityce", był rzecznikiem Polski mocarstwowej, czyli takiej, która problem położenia między Niemcami a Rosją rozwiązuje drogą prewencyjnych agresji. Rok 1939 boleśnie uświadomił mu, że ta koncepcja z wielu względów była niemożliwa do zrealizowania. Lata wojny skłoniły go natomiast do zmiany poglądów na relacje Polski z Kremlem.

OD GIEDROYCIA DO PIASECKIEGO

„Naturalnie, że zdradzi, a co pan myślał?", usłyszał Bocheński od Alfreda Potockiego w odpowiedzi na pytanie, czy Anglia dotrzyma sojuszniczych zobowiązań wobec Polski. W miarę upływu czasu zyskiwał pewność, że na skutek rozstrzygnięć wojennych, ale też relacji Anglosasów z Sowietami, o sprawie polskiej będą decydować ci ostatni. Toteż działając w Radzie Głównej Opiekuńczej na rzecz zmniejszenia polskich strat i dążąc do zahamowania akcji zbrojnych podziemia wywołujących represje, a także starając się zminimalizować zgubne skutki powstania warszawskiego, Bocheński równocześnie przemyśliwał nad tym, jak polskie warstwy przywódcze powinny się zachować wobec spodziewanego przejęcia władzy przez komunistów. „Iść na najdalej posuniętą ugodę z Niemcami i na takąż ugodę z Sowietami, byle te ugody umiejętnie i z zyskiem sprzedać", powiedział w 1944 r. do Józefa Mackiewicza, który także działał w RGO.

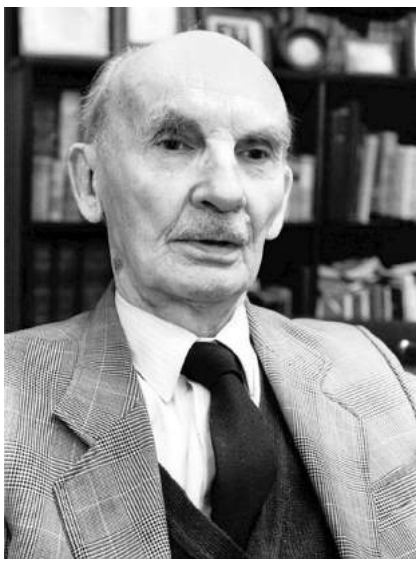

Powstałe w 1944 r. Biuro Studium Politycznego opublikowało broszurę Mackiewicza „Optymizm nie zastąpi nam Polski", w której autor wyraził tezę, że powstanie polskiej państwowości komunistycznej jest gorsze od bezpośredniego wcielenia do Związku Sowieckiego. W następnych latach Mackiewicz rozwijał tę tezę, głosząc też, że problem granicy polsko-niemieckiej jest drugorzędny wobec zagadnienia ustroju w Polsce. Przeciwników swoich koncepcji określał mianem „pol-realistów", a wśród nich za najważniejszego uznawał właśnie Bocheńskiego.

To Bocheński i wielu innych działaczy RGO wyciągnęło wnioski ze swoich przemyśleń i wiosną 1945 r. zainicjowało rozmowy z Jerzym Borejszą, stawiając postulat powołania periodyku katolickiego głoszącego ideę porozumienia z władzami i akceptacji rzeczywistości politycznej. Brali w nich udział m.in. Stanisław Stomma, Alfred Wielopolski (prawnuk margrabiego) oraz Wojciech Kętrzyński, adiutant Bolesława Piaseckiego. Przywódca przedwojennej Falangi toczył rozmowy na podobny temat z gen. Iwanem Sierowem. Z nich to – oraz z działań Bocheńskiego – narodził się tygodnik „Dziś i Jutro" i skupiony wokół niego ruch polityczny, który stał się potem Stowarzyszeniem PAX.

TRAGIZM DZIEJÓW POLSKI

Realizm Aleksandra Bocheńskiego wobec Polski Ludowej, którego dowody publicysta dał już w pierwszych miesiącach jej istnienia, opierał się na kilku przesłankach, obecnych w całej jego bogatej twórczości. Zasadniczą było przekonanie, że poprawne relacje z Moskwą są wyznacznikiem polskiej racji stanu, przede wszystkim z powodu zagrożenia niemieckiego oraz interesów państwowych wschodniego sąsiada. Wskazywał ponadto, że także w interesie Moskwy leży współpraca z Polską. O pozycji naszego kraju w stosunkach polsko-radzieckich miały stanowić potencjał gospodarczy i stabilizacja wewnętrzna. Tej drugiej kwestii poświęcił wezwanie do działaczy podziemia w dobie amnestii w 1947 r., zamieszczone na łamach „Słowa Powszechnego", stwierdzając, że „rozładowanie lasów" przysłuży się wzmocnieniu położenia międzynarodowego kraju. Troska o rozwój gospodarczy skłaniała go do mobilizowania rodaków do rzetelnej pracy, niezależnie od osobistych przekonań. Wzorem były pokolenia polskich przemysłowców, którzy usilnie pracowali w rozmaitych

eprasa.pl ed8943ebb3

warunkach, także w sytuacji braku państwowości, nad wzbogaceniem narodu. Ich pomnikiem są napisane z wielkim talentem i pasją „Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego".

Jednak najsłynniejszym dziełem Bocheńskiego są „Dzieje głupoty w Polsce". Pisane w latach okupacji pamflety na polskich historyków stanowią akt oskarżenia tendencji, które skłaniały przywódców narodowych do wszczynania powstań pozbawionych szans na powodzenie i pogardzania położeniem narodu polskiego. Od konfederacji barskiej do powstania warszawskiego, twierdził Bocheński, wiodła droga głupoty w Polsce, która zamiast dawać realne korzyści, kazała być posłusznym emocjom, a za rozsądek uznawać bezrozumne uniesienie. Przez to Rzeczpospolita najpierw upadła w XVIII w., kiedy szlachta uniemożliwiła Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu wzmacnianie państwa pod protektoratem Katarzyny II. Potem powstaniem listopadowym zaprzepaszczono dzieło Staszica i Druckiego-Lubeckiego, a poprzez insurekcję lat 1863-1864 wysiłki Wielopolskiego W 1944 r. polscy przywódcy wychowani w kulcie bezrozumnych decyzji postanowili o rozpoczęciu w stolicy walki powstańczej skazanej pod każdym względem na klęskę. Przez cały okres Polski Ludowej publicysta przestrzegał przed powtórzeniem tego schematu, równocześnie sprzeciwiając się wykpiwaniu i zohydzaniu bohaterstwa zwykłych żołnierzy i oficerów ofiarnie wykonujących rozkazy. Stefan Kisielewski pisał, że to właśnie Bocheński udowodnił mu absurdalność kpin z szarży polskich szwoleżerów pod Somosierrą.

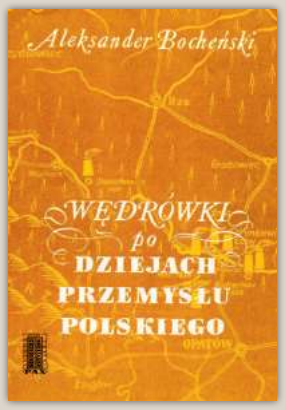

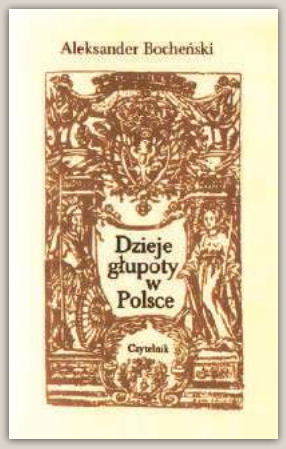

JARUZELSKI, BUCHALTERIA I AUTOMATYZACJA

Epilogiem tych gorzkich konstatacji były dla Bocheńskiego lata 80. W Solidarności widział nawiązanie do najbardziej bezmyślnych tradycji insurekcyjnych, w stanie wojennym zaś jeden z niewielu triumfów rozumu i dyscypliny nad głupotą w Polsce. Można odnieść wrażenie, że gen. Jaruzelski był dlań Wielopolskim, któremu udało się powstrzymać rozlew krwi. Jasno bowiem stwierdzał, że wschodni sąsiad nie pozwoli na zmianę ustroju nad Wisłą ani na opuszczenie przez Polskę Układu Warszawskiego i RWPG. Groźba interwencji łączyła się także z niebezpieczeństwem wysunięcia przez Niemcy żądań w stosunku do granicy na Odrze.

Bocheński nie był bezkrytyczny wobec okresu powojennego. Już podczas rozmów z Borejszą zdecydowanie mówił o represjach w stosunku do działaczy podziemia, wobec których nie potrafiono stosować racjonalnej polityki, co prowadziło do zapełnienia się lasów partyzantami. Często krytykował stalinowskie represje, ale też absurdy gospodarcze, w tym szczególnie „Rzeczpospolitą księgowych", czyli dominację złych przepisów nad dążeniem do innowacyjności oraz brak odpowiedniego systemu motywacyjnego. W latach 80. uparcie twierdził, że reforma gospodarcza powinna oznaczać nie wprowadzenie mechanizmów rynkowej konkurencji, lecz budowę systemu menedżerskiego. Innymi słowy, uważał, że gospodarka centralna, jeśli jest sprawnie zarządzana, lepiej się sprawdzi w warunkach polskich niż klasyczny wolny rynek, niosący ze sobą wysokie bezrobocie, nieracjonalną produkcję i ograniczenie wydatków socjalnych.

U schyłku PRL pisał, że nie będzie ona mogła liczyć na obiektywną ocenę. Przeciwny polityce Leszka Balcerowicza domagał się szacunku dla dokonań powojennego przemysłu, czego najpełniejszym wyrazem był napisany jeszcze w latach 70., ale opublikowany ze względów cenzuralnych dopiero w III RP czwarty tom „Wędrówek po dziejach przemysłu polskiego". Podobno osoby odpowiedzialne nie pozwalały na druk pracy, którą określały mianem „Dziejów głupoty w Polsce Ludowej", gdyż książka Bocheńskiego starała się być obiektywnym odzwierciedleniem dorobku powojennej gospodarki.

Na marginesie warto zauważyć, że cenił powojenne osiągnięcia gospodarcze nie tylko ze względu na wartość uprzemysłowienia oraz fakt, że z racji geopolitycznych inny system nie był wówczas możliwy. Bocheński był przekonany, że ludzkość szybkimi krokami zmierza ku „powszechnej automatyzacji" – sytuacji, w której ludzką pracę wykonywać będą maszyny, gwarantując powszechność dóbr. Zarządzanie takim światem „powszechnej szczęśliwości" było możliwe tylko w warunkach centralnego planowania gospodarczego. Ze względów futurystycznych socjalizm był dla publicysty ustrojem przyszłości, ale i teraźniejszości, gdyż centralna akumulacja kapitału i szeroko zakrojone inwestycje przemysłowe przybliżały świat „bez pracy". Zaznaczyć także trzeba, że przed wojną Bocheński był zwolennikiem koncepcji inflacyjnych i interwencjonistycznych, jednocześnie sprzeciwiał się planowaniu gospodarczemu i reformie rolnej, uznając, że nie rozwiąże ona realnych problemów polskiej wsi. I jeśli zmienił poglądy na temat centralnego zarządzania gospodarką, to w kwestii rolnej pozostawał konsekwentny – sprzeciwiał się rozdrobnieniu gospodarstw, stawiając na wielką własność, przed wojną i po wojnie prywatną, będąc raczej przeciwnikiem spółdzielczości, choć Piasecki usiłował nakazać mu forsowanie tej idei w publicystyce.

Najsłynniejszym dziełem Bocheńskiego są „Dzieje głupoty w Polsce" – oskarżenie tendencji, które skłaniały do bezsensownych powstań.

eprasa.pl ed8943ebb3

KRYTYCYZM I OPTYMIZM

Gdy umierał w styczniu 2001 r., Polska od dwóch lat była członkiem NATO, zmierzając także ku integracji z Unią Europejską. Bocheński w tym czasie nawoływał do szukania porozumienia z Rosją, przestrzegając przed bezkrytycznym zaufaniem Zachodowi. Za niebezpieczną uznawał przy tym propagandę historyczną wymierzoną we wschodniego sąsiada.

Czy dzisiaj jego myśl jest wartościowa i potrzebna? Wydaje się, że tak, a może trzeba byłoby napisać: niestety tak. Poczytni publicyści, jak Rafał Ziemkiewicz, piszą bowiem, że przez lata Polacy rzekomo zawsze chcieli ugody z Rosją, której przeciwni byli carat i kolejni jej władcy, wobec czego jedyną „rozumną odpowiedzią" było „strzelać". W świetle oczywistej wiedzy historycznej jest to totalny absurd. Ale jeśli Andrzej Nowak, wybitny znawca relacji polsko-rosyjskich, pisze o „żałosnym micie realizmu", warto sięgać po teksty, które z wielką pasją i silną argumentacją przekonują, że polska historia, którą determinowały przede wszystkim relacje ze wschodnim sąsiadem oraz problem niemiecko-rosyjski, nie musiała się toczyć tak tragicznie. Za to, że było inaczej, winę ponosiliśmy sami. I jest to wniosek wbrew pozorom optymistyczny, gdyż tylko od nas zależy zmiana tego stanu rzeczy.

Kwestią osobną, a jednocześnie blisko związaną z poglądem na dzieje Polski porozbiorowej, jest ocena Polski Ludowej, którą konsekwentnie formułował Bocheński. Została ona bowiem wywiedziona z historycznej analogii między polskimi realistami i ugodowcami a komunistami i ich sojusznikami, którzy rozumować mieli w kategoriach narodowej racji stanu, oraz z przekonania, że Związek Radziecki jest w koncepcjach swojej polityki, także wobec Polski, spadkobiercą tradycji carskiej Rosji.

Krytycyzm wobec mechanizmów funkcjonowania systemu, obecny w całej powojennej publicystyce Bocheńskiego, nigdy nie oznaczał dla niego przekreślenia dorobku industrializacji, podniesienia poziomu życia ludności, wykształcenia szerokich mas. Niezależnie od tego uznawał, że Polska po 1944 r. inną niż socjalistyczna być nie mogła. Należy równocześnie pamiętać, że stan wojenny, będący reakcją na kryzys polityczny i gospodarczy, miał w jego optyce genezę w błędach poprzednich ekip rządzących. Oceniając pozytywnie decyzję Wojciecha Jaruzelskiego jako rozwiązanie polityczne, zarzucał dogmatyzm i oderwanie od rzeczywistości ekonomistom kształtującym politykę gospodarczą w latach 80.

Jednak aż po 1989 r. optymistycznie zapatrywał się na przyszłość kraju. Zaznaczał przy tym, że rządzący zamiast budować system półrynkowy, powinni się skupić na walce z realnymi trudnościami w funkcjonowaniu gospodarki. Przede wszystkim jednak niezbędne było narodowe wychowanie w postawie dyscypliny wobec rządu i jego decyzji. Do końca życia uważał, że młodzi Polacy są w stanie dokonać umysłowego przewrotu w kierunku zwycięstwa rozumu nad głupotą i emocjami.

Autor jest doktorantem w Zakładzie Historii Najnowszej UMCS, przygotowuje dysertację poświęconą publicystyce Aleksandra Bocheńskiego w okresie powojennym

FILMWEB dlaStudenta.pl IRKA Przegląd Stowarzyszenie Filmowców Polskich MADNESS

eprasa.pl ed8943ebb3

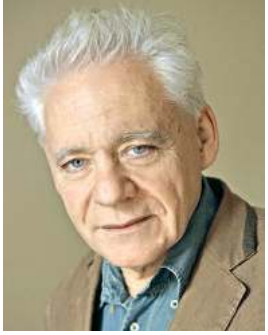

Oko w oko

Tomasz Jastrun

NA KOLEJNE URODZINY

Wieczór autorski w miasteczku G. niedaleko Leszna. Wzruszająca niespodzianka. Pod koniec spotkania dyrektorka biblioteki weszła na salę z tortem czekoladowym z płonącymi świeczkami, sala wstała, a była pełna, i odśpiewała mi „Sto lat". Tak w małym G. uświęcono moje 67 lat. Serdecznością ludzi się chwalę, wiekiem nie. Kiedy zdążyłem przeżyć te lata? Są trzy osoby z tygodnikiem PRZEGLĄD w ręku, proszą o dedykację na felietonie. Zaskakuje, że nawet w takich małych miasteczkach tygodnik, przecież o nakładzie nie tak dużym, ma gorących czytelników. Wielu czytających pismo mówi, że przekazuje potem numer znajomym, a oni dalej, więc czytających jest o wiele więcej, niż wynosi liczba sprzedanych egzemplarzy.

W miasteczku nie ma hotelu, więc śpię w domu znajomych dyrektorki. Gospodyni dzieli w gminie pieniądze z Unii, a gospodarz jest geodetą. Kolacja i rozmowy oczywiście głównie o nieszczęściu, jakie spotkało Polskę. Oburzenie, niesmak i lęk, co to będzie. Podobnie jak w dużych miastach pada pytanie: gdzie są ci wyznawcy PiS? A przecież powszechnie się uważa, że małe miasteczka są matecznikiem tej partii. Gospodarze to kolejni ludzie, którzy mi mówią, że zaczęli myśleć o emigracji. Jak tak dalej pójdzie, znowu będziemy mieć falę wyjazdów z Polski z powodów politycznych. I będzie wyjeżdżać elita tak znienawidzona przez prawych i sprawiedliwych.

•

Zadziwiająca i coraz głębsza cisza nad katastrofą tupolewa. Szaleję z niepokoju, co się dzieje z podkomisją Macierewicza. Jakie ma dowody na zamach, co z winnymi tej zbrodni? Najwyższy czas coś tu wymyślić, przecież gorliwi zwolennicy PiS to sekta i nie ma takiej bzdury, w którą nie uwierzą. Można popuścić wodze wyobraźni i sobie pohulać.

Wśród zwolenników PiS jest grupa gorliwych, zapewne ok. 10%, którzy się wahają. Obawiają się, że ta partia przesadzi. Paradoksalnie weto prezydenta przekonało ich, że w razie czego prezydent zawetuje najdrastyczniejsze pomysły Kaczyńskiego. Niewykluczone, że dlatego wzrosło PiS w sondażach.

Nie mają końca rozważania, czy Andrzej Duda stał się w końcu prezydentem Dudą, czy nadal jest tylko Dudą. Ludzie ze zdruzgotanym honorem mają jednak w duszy jego szczątki, a one są zaskakująco wrażliwe. To ostatnie wysepki obrony własnej godności. Czy więc Duda, ewentualnie prezydent Duda, zawetował ustawy, broniąc demokracji, czy tylko dlatego, że został urażony przez Ziobrę? Kiedy mój felieton się ukaże, będzie już znana jego propozycja. Ale nawet jeśli zdobędzie się na niesubordynację wobec linii partii, raczej zgodzimy się z Ryszardem Petru, że różnica jest tylko taka, że w jednym przypadku Ziobro personalnie miałby decydować o wszystkim, a w drugim będzie to prezydent.

•

W pociągu siedzę obok mężczyzny, który podobnie jak ja czyta „Gazetę Wyborczą", przypadkiem ten sam tekst Romana Kuźniara „Uwaga, totaliści nadchodzą". Autor opiera się na „Maleńkiej encyklopedii totalizmu" Jana Józefa Szczepańskiego, już od dawna nieżyjącego socjologa, która w punktach opisuje niezbędne warunki ideologicznej dyktatury. Czytamy właśnie o kolejnym warunku totalizmu – to „spisek". Wykreowanie rzekomego spisku jest niezbędne totalistom. Należy przede wszystkim wskazać i unieszkodliwić sprawców nieszczęścia – nosiciele zarazy to z reguły członkowie rozległego sprzysiężenia, działającego perfidnie na zgubę zdrowej części ludzkości w imię własnych ciemnych interesów. „(…) Po ich eliminacji »Wszystko powinno zostać zaplanowane i poddane najściślejszej kontroli. Ideałem jest całkowita jednomyślność we wszystkim. (…) Wymagane jest dostosowanie prawa do egzekwowanych celów i żądań partii. Niezbędnym okazuje się stworzenie jednolitej interpretacji rzeczywistości – obejmującej także przeszłość i przyszłość«". Kończymy ten fragment i patrzymy na siebie w milczeniu. Obok jakiś podróżny mówi, a ma kompulsywną potrzebę gadania, słuchacz jest grzeczny, więc cierpi, ale słucha. To gadanie jest bzdurne i natrętne, ten człowiek jest jak mucha, która budzi nas o świcie i potrafi udręczyć. Z trudem powstrzymuję się od pacnięcia go w głowę. Myślę odruchowo, że musi być zwolennikiem PiS.

Nie mają końca rozważania, czy Andrzej Duda stał się w końcu prezydentem Dudą, czy nadal jest tylko Dudą.

•

Wielkie było oburzenie prawicy na ośmiorniczki, które ja bardzo lubię, a nie budzi oburzenia wydanie 19 mln zł z publicznych pieniędzy na kampanię na billboardach reklamującą tzw. reformę sądownictwa. Ale jak wymagać logicznego myślenia tam, gdzie rządzą emocje i ślepa wiara?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ed8943ebb3

Z HISTORII POLSKIEGO UZWIĄZKOWIENIA

O ile przez cały okres koalicji PO-PSL związkowcy żalili się, że rząd rzadko ich pyta o zdanie, o tyle od początku 2016 r. czują się przytłoczeni

Rafał Woś

Zestaw zarzutów wobec reprezentacji polskich pracowników jest długi. Niektórzy krzywią się już na samą formę. Związki bronią swoich interesów krzykliwie i histerycznie, co tworzy wrażenie, że nie uwzględniają całego kontekstu, tylko są ciągle na „nie". Taki zarzut nie jest do końca *fair*. Związki zawodowe, jak każda inna instytucja życia publicznego, są odbiciem drogi, jaką przeszło całe społeczeństwo.

Szybką rekapitulację ostatniego etapu tej drogi zacznijmy 26 czerwca 2013 r. To ważny dzień w historii polskiego kapitalizmu. Właśnie wtedy zamarł w Polsce oficjalny dialog społeczny, a konkretnie wszystkie najważniejsze centrale związkowe (w tym Solidarność i OPZZ) zawiesiły uczestnictwo w Komisji Trójstronnej. Kto zawinił? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy się cofnąć o kilkanaście lat.

Dialog społeczny w Polsce został nawiązany z pewnym opóźnieniem, bo dopiero w połowie lat 90., a więc już po pierwszym ciosie w potylicę, jaki dostała polska praca. Ale lepiej późno niż wcale. I gdy praca się pozbierała, dość szybko udowodniła, że uruchomienie instytucjonalnego dialogu społecznego było w Polsce potrzebne. Bardzo ważną rolę odegrała w tej fazie osobowość byłego działacza podziemnej Solidarności Andrzeja Bączkowskiego, który jako wiceminister pracy przeszedł przez rządy postsolidarnościowe, a potem SLD. W 1996 r. jego urzędowanie przerwała przedwczesna śmierć. Bączkowski wykazał w praktyce, że komisja nie musi być ciałem fasadowym, lecz miejscem, gdzie faktycznie coś się rozstrzyga i gdzie warto być. Związkowcy stosunkowo szybko podjęli działalność, bo okazało się, że po drugiej stronie mają wiarygodnego partnera, z którym można negocjować i coś uzyskać. Bączkowski wywalczył sobie taką pozycję, że mógł zadzwonić wieczorem do któregoś ministra i mówić: „My tu debatujemy, ale mam wielką prośbę o zmianę wskaźnika, to uda nam się uzyskać kompromis". Bączkowski zaczął budować zaufanie między partnerami społecznymi mimo ideologicznej wrogości Solidarności i OPZZ. (…)

Oczywiście nie zawsze było tylko różowo, zwłaszcza że dość szybko największe centrale związkowe Solidarność i OPZZ zaczęły się wiązać z partiami lewicowymi i prawicowymi, rządzącymi i opozycyjnymi. W ten sposób o komisję trójstronną upomniała się polityka. Związek zawodowy powiązany z władzą mógł załatwić więcej, związek w danej konfiguracji stojący blisko opozycji – mniej. W rezultacie związek pokrzywdzony starał się utrudniać pracę komisji. Jednak już pod koniec lat 90. związki zaczęły ponosić koszty nadmiernego splecenia się z partiami politycznymi. Dla dumnej Solidarności było wielkim szokiem, gdy wylądowała w sondażach zaufania społecznego poniżej OPZZ, płacąc cenę za reformy rządu Jerzego Buzka. Z kolei w czasie rządów Leszka Millera OPZZ zorientowało się, że ich politycznym patronem jest partia, której zdecydowanie bliżej do biznesu niż do świata pracy.

Związki zawodowe są odbiciem drogi, jaką przeszło całe społeczeństwo.

Kolejną cezurą był rok 2007, czyli przejęcie władzy w Polsce przez Platformę Obywatelską. Po raz pierwszy w historii III RP karty w rządzie rozdawała bowiem siła polityczna, która nie miała drożnego kanału komunikacyjnego z żadną dużą i reprezentatywną centralą związkową. Więcej nawet. Ówczesna Platforma mówiła wręcz otwarcie, że czuje się raczej reprezentantką pracodawców (zwłaszcza prywatnych), a dla świata polskiej pracy zaczną się teraz lata chude. Pracodawcy o tym wiedzieli. Prof. Juliusz Gardawski (uczestnik obrad Komisji Trójstronnej) wspomina, że na jej forum przedstawiciele pracodawców nierzadko starali się edukować związkowców ekonomicznie, co budziło bardzo niechętne reakcje. Związkowcy sądzili, że komisja przestanie być dla nich miejscem negocjowania i wymiany poglądów z rządem, który wejdzie w sojusz z pracodawcami. Również pierwsze propozycje PO szły w kierunku dalszego uelastycznienia polskiego rynku pracy (tzw. plan Szejnfelda).

Pierwszą ważną próbą dla dialogu społecznego był jednak dopiero kryzys 2008 r. Ale nie tyle jego faktyczne uderzenie, ile strach, że ono wkrótce nastąpi. Już jesienią 2008 r. rząd Tuska zaczął się przygotowywać na scenariusz ostrej recesji. Pracodawcy

eprasa.pl ed8943ebb3

Demonstracja OPZZ w 2013 r.

i związkowcy też podzielali tę obawę. Od stycznia do marca 2009 r. wypracowano więc pakiet antykryzysowy, w którym obie strony w czymś ustępowały i coś zyskiwały. Związkowcy zgodzili się w nim na pewne ograniczenia praw pracowniczych i na rozpowszechnienie bardziej elastycznych form zatrudnienia, pracodawcy – na ograniczenie okresu elastycznego zatrudniania.

Kiedy jednak pakiet przekazano rządowi do realizacji, koniunktura zaczęła się poprawiać i stawało się jasne, że Polska nie wpada w głęboką recesję. Wkrótce potem Donald Tusk ogłosił, że Polska jest zieloną wyspą. Pracodawcy uznali więc, że w tej sytuacji nie mają powodu przyjmować żadnych ograniczeń. Rząd stanął po ich stronie i ustawa antykryzysowa weszła w życie w formie okrojonej, to znaczy takiej, w której uwzględniono tylko ustępstwa pracowników. To był pierwszy czytelny sygnał dla związków, że rząd się z nimi nie liczy.

Potem była kwestia płacy minimalnej i podwyższenia wieku emerytalnego. Schemat wyglądał podobnie. Rząd, motywowany sygnałami dawanymi przez rynki finansowe, szedł w kierunku rozwiązań neoliberalnych. Na dodatek premier Tusk nie miał najlepszej ręki do dialogu społecznego. Zazwyczaj godził się na jakieś rozwiązania lub podejmował się pewnych spraw, a potem nie dotrzymywał słowa. Na przykład powiedział, że rząd opracuje do określonego terminu plan dochodzenia do płacy minimalnej na poziomie 50% średniej krajowej. A potem się okazało, że takiego planu nikt w rządzie nie robi. Takich spraw było kilka i zapamiętano je jako dowód lekceważenia. Najbardziej jednak bolał sposób zrównania i przesunięcia wieku emerytalnego. Związki zdawały sobie sprawę z sytuacji demograficznej i same opracowały odpowiednie propozycje. Szczególnie istotne były plany OPZZ, podobne do tych, które obecnie obowiązują w Niemczech. Premier z pewnością o tych propozycjach wiedział lub powinien wiedzieć, tymczasem ogłosił wprowadzenie nowych regulacji w *exposé*, pomijając w ogóle debatę w komisji.

To związki wymyśliły nazwę „śmieciówki".

A MOŻE ZWIĄZKI NIE SĄ TAKIE ZŁE?

I tak doszliśmy do czerwca 2013 r., gdy wszystkie związki wyszły z Komisji Trójstronnej, twierdząc, że ich postulaty są ignorowane. A skoro dialog nie istnieje, to one nie będą dłużej odgrywały roli listka figowego. Kroplą, która przelała czarę, było przyjęcie ustawy o elastycznym czasie pracy. Ustawa była bardzo długo negocjowana ze związkami, ale ostatecznie rząd zdecydował się na jej przeforsowanie bez ich akceptacji. Sama sprawa, moim zdaniem, nie była aż tak kluczowa. Trzeba ją rozumieć w kontekście tego, co się wydarzyło wcześniej. To był ze strony związków dramatyczny gest pokazujący: „Dosyć, nie chcemy być lekceważeni. Taka formuła dialogu nam nie odpowiada".

Czy ten gest coś zmienił? Wielu obserwatorów uważa, że tak. Po raz pierwszy od początku III RP wszystkie największe centrale związkowe potrafiły pokazać solidarność świata pracy. Zastosowała się do tego nawet Solidarność, dotychczas stojąca raczej na stanowisku, że ich „obowiązkiem statutowym jest reprezentowanie naszych członków związku. Nie jesteśmy armią zbawienia" (to słowa, które usłyszałem kiedyś od ważnego współpracownika Piotra Dudy). Mniej więcej w tym samym czasie opinia publiczna zaczęła doceniać to, że zarówno Solidarność, jak i OPZZ zgodnie nagłaśniały temat „umów śmieciowych", choć przecież akurat największe centrale najmocniejsze są wśród pracowników podlegających Kodeksowi pracy, a więc tam, gdzie umów cywilnoprawnych jest najmniej. Zresztą to związki w ogóle wymyśliły nazwę „śmieciówki", którą pracodawcy początkowo próbowali kontestować.

Wielu wciąż oczywiście mierziły przywileje związkowe, np. ochrona zatrudnienia działaczy. No bo czemu oni mają, a ja nie? Jednocześnie media zaczęły jednak pisać o tym, że ta legendarna ochrona bardzo często bywa fikcją. Głośna stała się sprawa Justyny Chrapowicz, która próbowała założyć Solidarność w Lidlu. Po kilku miesiącach sabotowania jej działalności została zwolniona z pracy. Z kolei Paweł Bednarek dostał wypowiedzenie w dniu, gdy próbował poinformować pracodawcę o założeniu komórki związkowej w Leroy Merlin. Co i tak było niezłym wyczynem, bo

eprasa.pl ed8943ebb3

Głośna stała się sprawa Justyny Chrapowicz, która próbowała założyć Solidarność w Lidlu. Po kilku miesiącach została zwolniona z pracy. Nz. ptrotest przed katowickim sklepem, 2014 r.

związkowe spiskowanie kończyło się zazwyczaj na dużo wcześniejszym etapie. Wystarczało bowiem wezwanie potencjalnego „wichrzyciela" na dyrektorskie piętro i sugestia, że „istnienie związków zawodowych kłóci się z kulturą korporacyjną naszej firmy" (cytat autentyczny). Pojawił się również argument, że wiele związkowych patologii bierze się nie tyle z nadmiernej siły reprezentacji pracowniczej, ile z jej słabości, skutkującej np. kupowaniem działaczy związkowych przez pracodawcę, wedle zasady: „Ja ci tu dam pod stołem parę tysięcy, a ty siedź cicho". Nowy wiatr powiał również od strony trzeciej władzy. W czerwcu 2015 r. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że zatrudnieni na umowach śmieciowych też mają prawo zrzeszać się w organizacjach związkowych, co pozwalało mieć nadzieję, że oto szeregi zorganizowanej reprezentacji pracowniczej zostaną zasilone przez pozbawiony tego prawa prekariat. Wielkie nadzieje wiązano również z powołaniem do życia (też w roku 2015) Rady Dialogu Społecznego (RDS), formalnego następcy Komisji Trójstronnej, która wyzionęła ducha dwa lata wcześniej.

ZWIĄZKI W POLSCE KACZYŃSKIEGO

I wtedy nadeszło podwójne zwycięstwo PiS, które kazało wiele z tych przewidywań zrewidować. Bo PiS zdecydowało się polskiego pracownika wzmocnić. Zrobiło to jednak w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób.

Pod względem proceduralnym zmiana jest oczywiście znacząca. O ile przez cały okres trwania koalicji PO-PSL związkowcy żalili się, że rząd rzadko ich pyta o zdanie, o tyle od początku 2016 r. czują się wręcz przytłoczeni. Rząd wysyła bowiem do RDS wszystkie projekty legislacyjne i widać, że bardzo uważa, by nie zostać oskarżonym o ignorowanie dialogu społecznego.

Gorzej z pytaniem, czy potem bierze pod uwagę to, co na RDS usłyszy. Sprawa płacy minimalnej była tu bardzo znacząca. Najpierw związki i pracodawcy długo negocjowali i w końcu doszli do porozumienia. Po czym przyszedł rząd i… przelicytował nawet związki, podnosząc płacę minimalną do 2 tys. zł. Dał tym samym jasny sygnał, że to on będzie mecenasem świata pracy. Powiedział: „Nam to zawdzięczacie". Jednocześnie mimo całej swojej propracowniczej retoryki PiS przez cały rok 2016 nie przygotowało ustawy, która by pozwalała zatrudnionym na umowach śmieciowych organizować się w ramach związku. A przecież Trybunał nakazał to zrobić jeszcze za rządów PO-PSL. To kolejny dowód, że PiS nie lubi się dzielić władzą w sprawach kluczowych. Podobną grę wobec partnerów społecznych prowadziło już w latach 2005-2007. Jarosław Kaczyński chciał wtedy doprowadzić do zawarcia „paktu" między Solidarnością a PiS z pominięciem innych partnerów. Na to nie zgodziły się jednak ówczesne władze związku. Nie chciały załamania dialogu.

Niestety, na stare tory wróciły również same związki, zwłaszcza Solidarność. Po wyborach 2015 r. NSZZ oraz sam jego przewodniczący Piotr Duda znów zaczęli używać brutalnej retoryki wyrażonej w haśle „Nie jesteśmy armią zbawienia, reprezentujemy tylko swoich członków". Pojawiło się również pohukiwanie na tych wszystkich, którzy krytykują rząd Prawa i Sprawiedliwości na polach innych niż pracownicze, choćby w sporze o TK czy o obecność dziennikarzy w Sejmie. Coraz częściej też Solidarność nabiera wody w usta, gdy dochodzi do łamania praw pracowniczych, a nawet związkowych w instytucjach publicznych rządzonych przez politycznych nominatów PiS. W ten sposób Solidarność Dudy zaczęła trwonienie sporego kapitału zaufania, który udało się związkom wypracować w latach 2009-2015. Wśród szeregowych działaczy wywołuje to gniew i rozgoryczenie. „Was łatwiej spotkać ostatnio w kościele niż pod bramą zakładu", słychać ze związkowych dołów. To przykre, ale prawdziwe.

CO DALEJ?

Dobra wiadomość jest taka, że zgodnie z obowiązującym w Polsce modelem mamy związkowy pluralizm (to w jakimś sensie pokłosie historycznej debaty Wałęsa-Miodowicz z roku 1988). Rozdrobnienie organizacji związkowych jest często podnoszone przez ich krytyków (po co tyle tych organizacji?!). Z drugiej strony taki model pozwala na pewien oddech. Kogo więc zniesmacza

eprasa.pl ed8943ebb3

polityczne uwikłanie naszych największych central związkowych albo irytuje ich skostnienie, z radością przyjmie pewnie fakt, że na Solidarności i OPZZ nie kończy się polski krajobraz pracowniczy. Ciekawą ofertą może być dla niego na przykład Forum Związków Zawodowych, które zrzesza ok. 100 mniejszych organizacji z różnych zakładów (branża pielęgniarska, kolejnictwo czy energetyka).

Zawsze można szukać wsparcia np. w założonej w 2002 r. Inicjatywie Pracowniczej. IP wyrosła z poznańskiego środowiska anarchistycznego i od samego początku przedstawia się jako zaprzeczenie logiki działania związkowych gigantów. Forma ma być oddolna i apolityczna. „Wiele z naszych komisji zakładowych programowo nie korzysta z przywilejów związkowych. Nie chcemy od pracodawców etatów, telefonów, faksów. Bo one bywają potem powodem ubezwłasnowolnienia związków", dowodzi Inicjatywa w swojej deklaracji ideowej. W przeszłości angażowała się w walkę o prawa pracownicze w takich firmach, jak Poczta Polska, Auchan, Zakłady Cegielskiego w Poznaniu czy Kaufland. Ale jej siłą jest również docieranie do miejsc i problemów, które pozostają zazwyczaj poza radarem większych związkowych graczy. IP protestowała przeciwko usuwaniu targowisk z centrów polskich miasteczek i lokowaniu tam nowoczesnych hipermarketów, bo pracujący na tych targowiskach sprzedawcy to grupa tradycyjnie nieposiadająca prawie żadnej reprezentacji związkowej. Były też akcje związkowe wśród pracowników sezonowych – kolejnej zapomnianej frakcji polskiego prekariatu.

Jest też choćby Związek Syndykalistów Polski. „Próbujemy stawiać opór tam, gdzie innych nie ma. To znaczy w stale rozrastającej się strefie pozakodeksowej", tłumaczył mi kiedyś Xavier Woliński z ZSP. Jego organizacja jest obecna na wielu frontach: od tradycyjnych miejsc pracy fizycznej po pełen młodych ludzi trzeci sektor. Zasłynęła np. wygranym dzikim strajkiem sprzątaczek i kucharek zorganizowanym w szpitalu w Bełchatowie. Strajk był „dziki", dlatego że kobiety formalnie nie są od pewnego czasu pracownicami szpitala, a ich usługi zostały przekazane firmie zewnętrznej mieszczącej się w Warszawie (to coraz częstsza praktyka w instytucjach publicznych zmuszonych do działania na warunkach rynkowych). Innym celem ZSP są agencje pracy tymczasowej zawiadujące dziś „rezerwową armią bezrobotnych", a więc potencjalnie najbardziej bezbronną grupą polskich pracowników. Z powodu pozakodeksowej specyfiki ich działalności organizacje takie jak ZSP sięgają czasem po środki dość niecodzienne. W 2013 r. opublikowali np. w internecie listę „Złych pracodawców" (zgłoszenia przysyłali internauci). Znaleźli się na niej np. działająca w Wielkopolsce sieć marketów Dino (wyrzucanie z pracy związkowców), dyrektor ŻIH Paweł Śpiewak (nadużywanie umów czasowych) i firma ochroniarska Impuls (zalegała pracownikom z wypłatami). Takie sprawy rzadko skupiają na sobie uwagę opinii publicznej, która przyzwyczaiła się do mocno usadowionej w naszej historii – ale już anachronicznej – opowieści o konflikcie pracowniczym jako wielkim zwarciu gigantów.

Tusk ogłosił, że Polska jest zieloną wyspą. Pracodawcy uznali więc, że nie mają powodu przyjmować żadnych ograniczeń.

Już pod koniec lat 90. związki zaczęły ponosić koszty nadmiernego splecenia się z partiami.

Kolejnym pomysłem na wzmocnienie reprezentacji pracowniczej innej niż tradycyjne związki jest model rad. Na dobrą sprawę istnieje on już od dekady. W lipcu 2006 r. Sejm wprowadził do polskiego porządku prawnego dyrektywę Parlamentu Europejskiego o wzmacnianiu dialogu społecznego. Ustawa stworzyła możliwość powoływania tzw. rad pracowników. Teoretycznie powinny one stanowić pośrednie ogniwo dialogu pracownika z pracodawcą, być jakby stopą włożoną przez pracowników w lekko uchylone drzwi. Zwłaszcza tam, gdzie firmy nie chcą nawet słyszeć o powołaniu pełnoprawnej komórki związkowej.

Problem jednak w tym, że model „rad pracowników" wdrożono w Polsce byle jak i trochę na odczepne. Ot, żeby Europa nam nie mówiła, że my w Polsce sabotujemy unijne pomysły. Do ustawy wpisano więc na przykład wymóg, że pod wnioskiem o powołanie rady musi się podpisać minimum 10% załogi, przy czym nazwiska sygnatariuszy (inaczej niż w przypadku związku) nie są utajnione. Rafał Górski z łódzkiego Instytutu Spraw Obywatelskich wspomina, że słyszał już niejedną historię o tym, jak po zebraniu podpisów załogi menedżer brał tę listę i szedł do podpisanych tam pracowników. Po jakimś czasie wracał z kartką pełną powykreślanych autografów. I tyle z rady zostawało. Niestety, w ciągu dekady, która upłynęła od uchwalenia ustawy, żadna władza nie zrobiła nic, by uczynić z rad rzeczywiście użyteczne narzędzie wzmacniające pozycję polskiego pracownika. W efekcie z ok. 3,5 tys. rad, które istniały w roku 2010, zrobiło się ok. 500.

Podsumujmy więc, by się dobrze utrwaliło. To jasne, że zinstytucjonalizowani reprezentanci świata pracy (związki, rady) nie są bez wad. Bywają narwani, lubią się nad sobą użalać i nierzadko szwankuje u nich sfera wizerunkowa. A i racja nie za każdym razem leży po ich stronie. Ale nie bądźmy zbyt surowi. Za uszami ma przecież każda z istniejących w Polsce instytucji życia publicznego. Nie ma powodu, by akurat przedstawicieli świata pracowników traktować jako pariasa. Fakt, że przez pierwszych 25 lat polskiej wolności nie umieliśmy znaleźć dla nich rozsądnego miejsca w polskiej debacie publicznej i porządku instytucjonalnym, jest jedną z największych porażek III RP. Za ten stracony czas jako społeczeństwo już słono płacimy. Nie ma sensu, by rachunek dalej powiększać.

Fragmenty książki Rafała Wosia *To nie jest kraj dla pracowników*, W.A.B., Warszawa 2017

FOT. ADAM GUZ/REPORTER, DOMINIK GAJDA/REPORTER

eprasa.pl ed8943ebb3

SMARZOWSZCZYZNA RZĄD

Festiwal w Gdyni: filmowcy chcą być uchodźcami

Artur Zaborski

Z zakończonego właśnie 42. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni płynie wniosek, że rodzimi filmowcy, choć wciąż niechętni komentowaniu rzeczywistości społeczno-politycznej w kraju, chcą być uchodźcami. Chcą uciekać z głównego nurtu, na nikogo się nie oglądać, a już najlepiej wydostać się także z obowiązującego u nas systemu finansowania. Pragnienie wolności, niezależności i nieoglądania się na nikogo owocuje autorskimi głosami, które urozmaicają panoramę nadwiślańskiego kina. Choć jeszcze za wcześnie, by wieszczyć u nas narodziny talentów na miarę Michaela Hanekego, Pedra Almodóvara czy Andrieja Zwiagincewa.

Jagody Szelc twarze są wyłącznie nowe, ale aktorzy grają tak, jakby mieli za sobą dziesiątki planów. Zwłaszcza Małgorzata Szczerbowska.

Sebastian Stankiewicz, znany z „Ucha prezesa", gra całym ciałem w „Człowieku z magicznym pudełkiem". Podobno kiedy przyszedł do Bodo Koksa pokazać mu, jak wymyślił swojego bohatera, reżyser przestraszył się i kazał mu natychmiast przestać grać. Stankiewicz w tym filmie w ogóle nie mruga, spojrzenie ma puste, na niczym nieskupione. Do tego specyficzny sposób poruszania się jak maszyna jest dla bohatera zupełnie naturalny. Ujmująca naturalność cechuje też: Agnieszkę Mandat, odzyskaną dla polskiego kina przez Agnieszkę Holland, Jowitę Budnik, która kolejny raz zagrała u duetu Krauzów – i ta współpraca znów przyniosła spełnioną kreację – oraz Magdalenę Popławską, która w „Ataku paniki" Pawła Maślony objawiła się jako aktorka komediowa, zdolna unieść skecz i zmusić widza do śmiechu.

Debiutanci stanowili prawie połowę stawki. Wnieśli humor, pracowitość, bunt i świeże spojrzenie na aktorstwo.

Ale nowe talenty się rodzą, to fakt. Od kilku lat w konkursie głównym festiwalu nie dominują stare wygi. Dla uznanych twórców nie brakuje miejsca (*vide* „Pokot" Agnieszki Holland czy „Volta" Juliusza Machulskiego), coraz silniej jednak rozpychają się debiutanci, którzy w tym roku stanowili prawie połowę stawki. Co wnieśli? Humor, pracowitość, bunt i świeże spojrzenie na aktorstwo, czyli to, co u nas w deficycie. Ale też to, co niechciane: scenariuszowe niedopracowanie, wydumanie i nieobycie z klasyką.

POŻEGNANIE ZE ZGRANĄ TWARZĄ

Zacznijmy od aktorstwa, bo tu wreszcie nastąpiła zmiana. Już nie oglądamy w co drugim filmie Roberta Więckiewicza ani innych zgranych aktorów. Dominują nieopatrzone twarze, mniej znane nazwiska (z wyjątkiem Arkadiusza Jakubika, którego Wojciech Smarzowski rozsławił tak, że jest w każdym smutnym filmie) i odkrycia. W „Wieży. Jasnym dniu" debiutantki

Do śmiechu jednak w Gdyni nam nie było. Większość filmów to dramaty, których bohaterowie poddawani są próbom. To jeden z powodów zachwytu „Atakiem paniki", który okrzyknięto mianem polskich „Dzikich historii". Historie piątki bohaterów w finale się łączą, ale zanim do niego dojdziemy, mamy okazję skutecznie przećwiczyć przeponę. Film Maślony jest jednocześnie uniwersalny i bardzo polski. Twórca skupia się na codziennych sytuacjach, które wywołują w nas wewnętrzne rozbicie, ten chwilowy napad szaleństwa, kiedy małe rzeczy wyprowadzają nas z równowagi. Tak jak siedzący obok pasażer w samolocie, gdy marzymy po prostu o świętym spokoju, nieproszeni goście w domu albo wiadomość, że komuś z naszego otoczenia udało się osiągnąć to, o czym od dawna marzyliśmy. Z drugiej strony – na co uwagę zwrócił krytyk filmowy Michał Oleszczyk – czuć, że to film o nadwiślańskim tu i teraz: oddalanie się od siebie bohaterów postępuje na turbodoładowaniu, ich komunikacja nie jest porozumieniem, a histeryczne zachowania i reakcje wydają się tak znajome, że nie sposób pozostać obojętnym. W tym roku w Gdyni to najbardziej wiarygodne zwierciadło Polaków, pokazujące, gdzie jako społeczeństwo jesteśmy, napięci i sfrustrowani, i próbujące leczyć sytuację śmiechem.

eprasa.pl ed8943ebb3

ZI KINEM

Czlowiek z magicznym pudełkiem

Cicha noc

Patrzenie na kino z perspektywy narodowej jest niebezpiecznym ograniczeniem.

Absurdalny humor cechuje także „Człowieka z magicznym pudełkiem" Bodo Koksa, film rozciągnięty od roku 1952 do 2030, między którymi przeskoczył główny bohater. Historia u Koksa zatacza koło – zaszczuta w stalinizmie jednostka boryka się z absolutnym podporządkowaniem także w niedalekiej przyszłości. Różnica jedynie w tym, kto tą jednostką dyryguje. W dopracowanej plastycznie wizji Warszawa A.D. 2030 nie jest metropolią, w której samochody latają nad blokami. Nowinki technologiczne nie przyniosły rewolucji, choć coraz mocniej zaznaczają swoją obecność i jeszcze bardziej przyczyniają się do atomizacji społeczeństwa oraz napięć klasowych. Kox w przyszłość patrzy z niepokojem, ale pozostaje optymistą – miłość jest w stanie pokonać każdą przeszkodę, wymyka się z pęt pieniądza i totalitaryzmu korporacji.

SIEKIERA W LESIE

Miłość, humanizm i człowieczeństwo przetrwały również w filmie Joanny Kos-Krauze i Krzysztofa Krauzego „Ptaki śpiewają w Kigali". Po śmierci męża reżyserka ukończyła go sama. To bez wątpienia utwór nasączony bólem, cierpieniem i stratą, ale trzymający emocje na wodzy, daleki od histerii. Ta oszczędność budzi uznanie, tak samo jak sposób poprowadzenia opowieści. Krauzowie opowiadają o ludobójstwie w Rwandzie, ale na ekranie nie oglądamy rzezi, tylko kobiety, które ją przetrwały – Rwandyjkę z plemienia Tutsi oraz polską ornitolog – i z Afryki trafiają do Polski. Łączy je wspólnota doświadczeń, dzieli niewidzialna bariera. Ich rozmowom towarzyszy napięcie, którego nie potrafią się pozbyć, jakby budziły się w nich demony za każdym razem, kiedy znajdują się w swoim towarzystwie.

Krauzowie nie boją się mocnych analogii. Przyczyn rwandyjskiej tragedii nie doszukują się w skomplikowanej sytuacji regionu, w historii czy specyfice kulturowej, tylko w ludzkiej bierności, opieszałości, ślepym podporządkowaniu i cichym przyzwoleniu społecznym na przekraczanie kolejnych barier. Na festiwalu wielokrotnie w rozmowach powracała scena, kiedy grana przez Budnik Polka wykrzykuje urzędnikowi w twarz, że za ludobójstwo w Rwandzie odpowiedzialni byli tacy sami jak on, tyle że wykształceni na Sorbonie. Ta scena ma potężną moc rażenia. W wizji Krauzów współczesna Polska to tykająca bomba, do której wybuchu brakuje naprawdę niewiele.

U nich jeszcze tli się nadzieja, u Piotra Domalewskiego jej nie doświadczymy. W świecie przedstawionym w „Cichej nocy" ktoś otworzył puszkę Pandory, z której nieszczęścia kwadrans po kwadransie wyskakują i krzyżują plany, nadzieje i aspiracje głównego bohatera (Dawid Ogrodnik). Akcja dzieje się na polskiej prowincji, do której Adam powraca na Boże Narodzenie z saksów w Holandii. Na tym obrazku wieś zaprzecza idylliczności, a ostatnią rzeczą, jaką można tu znaleźć, są spokój i radość.

Wizja podcinania skrzydeł bohaterowi, któremu wydaje się, że znalazł sposób na wyrwanie się z zaklętego kręgu, mogłaby się udać, gdyby nie coraz powszechniejsza w naszym kinie „smarzowszczyzna". Filmy Wojciecha Smarzowskiego inspirują twórców, a z Arkadiusza Jakubika uczyniły naczelnego odtwórcę ról pijaków, morderców i prostaków. Nie inaczej u Domalewskiego – postać Jakubika mierzy się z problemem alkoholowym i niejedno ma na sumieniu. Pojawia się nawet element w filmach Smarzowskiego obowiązkowy, czyli wyeksponowana w kadrze siekiera. Brat bohatera biegnie z nią przez las, by w pewnym momencie ją zgubić, co przy założeniu, że to korespondencja młodszego reżysera ze starszym, mogło być puszczeniem oka do widza. Ale tak chyba nie jest. W tej wizji nie ma bowiem miejsca na wentyle – nawet na groteskę, o którą zahaczają przecież bezlitosne filmy „Smarzola". Właściwie dystans wprowadza tu jedynie Ogrodnik, który zmusza swojego bohatera do spojrzenia na otoczenie z niezbędną odrobiną uśmiechu. Nie stać na niego nikogo innego, bo filmowy świat jest bezwzględnie zły: tak samo w rodzinnym gronie, jak i w autobusie, w którym można dostać łomot za zabawę z kamerą. Przemoc jest wpisana w ludzki genotyp, uczucia niczego nie zmieniają. Do Smarzowskiego Domalewski nawiązuje nawet w formie – na ekranie oglądamy sprawnie przemieszane zdjęcia z kamer i z aparatów w telefonach komórkowych, czyli tak jak w „Drogówce".

W beznadziejnej sytuacji znalazła się także Catalina, tytułowa bohaterka debiutu reżyserskiego Denijala Hasanovicia, który – co łączy go z filmem Krauzów – powstawał latami. Mamy do czynienia z kobietą, która zjawia się w obcej przestrzeni. Brakuje jej zakorzenienia, znajomości kontekstów, nie czuje się jak w domu. Bośniak Hasanović coś o tym wie.

FOT. BARTOSZ MROZOWSKI/ALTER EGO PICTURES, MATERIAŁY PRASOWE, NEXT FILM

eprasa.pl ed8943ebb3

Tarapaty

W 1992 r. nielegalnie trafił do Polski jako uchodźca ratujący się przed piekłem bałkańskiej wojny. Jego doświadczenia na ekranie jednak nie widać, bo ten film to właściwie zbieranina przedziwnych scen, rozmów i ludzi. Kolumbijka Catalina przyjeżdża do Sarajewa, by zebrać materiały dla Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Na miejscu zaprzyjaźnia się z Nad, a my oglądamy miotające się kobiety, które scenariusz złączył w niewiadomym celu. To jeden z najbardziej konfundujących filmów, którego obecność w tegorocznym konkursie głównym budziła niedowierzanie.

KOMPLEMENT DLA FREAKA

Spektakularną konfuzję wzbudziła także Jagoda Szelc, debiutantka z łódzkiej Filmówki, której „Wieża. Jasny dzień" z hukiem rozbija nasze przyzwyczajenie do wierności logice, strukturze, gatunkowi. W Gdyni podziwiano odwagę młodej twórczyni, którą Mariusz Grzegorzek, rektor Szkoły Filmowej, będącej producentem filmu, nazwał freakiem. I to określenie jest tu największym komplementem. Jeśli chodzi o nieoglądanie się na innych, Jagoda Szelc może się czuć najbardziej spełniona. Jej film wymyka się definicjom, a gatunkowa wolta, jaka się dokonuje na koniec, zostawia widza z szeroko rozdziawionymi ustami. Mnogość interpretacji krytyków, którzy widzieli tu opowieść religijną, kino metafizyczne, wariację na temat serialu „Outcast: Opętanie" albo filmów o zombie w rodzaju „The Walking Dead", a nawet diagnozę polskiego społeczeństwa, które, by dalej funkcjonować, musi obudzić się z letargu, pokazuje, że jest na takie filmy zapotrzebowanie.

Nie ma co się łudzić, hitu kasowego nie będzie, za to mamy do czynienia z nowym talentem. Szelc niepokornością zawstydziła niejednego starego wygę, który dzięki swojej pozycji na taki film mógłby sobie pozwolić już dawno, ale bał się ryzyka. Debiutantka postawiła na jedną kartę i zgarnęła stawkę, choć pracy jeszcze przed nią sporo. Zwłaszcza jeśli chodzi o nadrabianie braków w znajomości klasyki, bo jak zdradziła na konferencji prasowej, nie widziała choćby „Teorematu" Pasoliniego. A jego znajomość, gdy wchodzi się z kamerą do kościoła nie na klęczkach, ale w pozycji wyprostowanej, jest obowiązkowa.

Z klasyką za pan brat jest za to Marta Karwowska, której „Tarapaty" nadrabiają wstydliwe zaniechanie polskiego kina, rzadko zainteresowanego filmem familijnym. Karwowskiej bliżej do kina w duchu Stanisława Jędryki niż do modnych na Zachodzie produkcji, w których technologia gra pierwsze skrzypce. Reżyserka pokazuje, że przygoda czeka za oknem, a nie w wirtualnej rzeczywistości. Sporo można „Tarapatom" zarzucić, ale niewątpliwie jest też co chwalić. Przede wszystkim wybór dziewczynki na główną bohaterkę, dzięki czemu już nie tylko chłopcy mają prawo do wyzwań. Chwali się także to, że w castingu nie zwyciężyli najbardziej fotogeniczni. Twórczyni wybrała takie dzieciaki, z którymi naprawdę łatwo się utożsamić: okulary, kilka kilogramów więcej niż w normie, warkocz – oglądamy ich na co dzień na placu zabaw.

Na co dzień nie zobaczymy natomiast takiego projektu jak „Twój Vincent" Doroty Kobieli i Hugh Welchmana. To także dzieło realizowane latami. Jego forma jest imponująca – powstało przez połączenie setek obrazów. Każda klatka była ręcznie malowana na sposób, w jaki Van Gogh tworzył swoje obrazy. W efekcie ma się wrażenie, że gdyby holenderski mistrz wciąż był z nami, właśnie coś takiego by zrobił. Twórcy opowiadają o Van Goghu z perspektywy osób, które musiały poradzić sobie z jego śmiercią. Gatunkowo „Vincentowi" najbliżej do kryminału. Główny bohater, syn listonosza, który ma dostarczyć list od zmarłego do jego bliskich, prowadzi swoiste śledztwo w sprawie śmierci artysty. O ile tytaniczna praca malarzy, którzy zadbali, by widz zachwycał się formą, przyniosła świetne rezultaty, o tyle zawodzi sam scenariusz, niespecjalnie komplikujący perypetie bohaterów ani niewnoszący świeżego spojrzenia na Van Gogha. A Kobiela i Welchman to chodzące monografie życia i twórczości tego malarza i ewidentnie mają do powiedzenia na jego temat więcej.

„Twój Vincent" to kolejny projekt, który wychodzi poza polską perspektywę, co staje się w naszym kinie coraz częstsze. Tak jak film Krauzów czy Hasanovicia dowodzi, że rozpatrywanie kina z perspektywy narodowej jest niebezpiecznym ograniczeniem, zawężeniem prowadzącym donikąd. Festiwal w Gdyni, który do niedawna nazywał się po prostu Gdynia – Festiwal Filmowy, powrócił do nazwy Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Niepotrzebnie, bo filmy, które oglądaliśmy, to projekty wielu narodów, międzykulturowe, nawet jeśli produkowane i kręcone nad Wisłą. Jest w nich miejsce dla wszystkich – dla biegających po lesie uchodźców („Wieża. Jasny dzień") i „żołnierzy wyklętych" („Wyklęty"), dla białych bohaterów, jak i tych o innym kolorze skóry.

Artur Zaborski

Filmy pokazywane w Gdyni to projekty wielu narodów, międzykulturowe, nawet jeśli produkowane i kręcone nad Wisłą.

eprasa.pl ed8943ebb3

Skopana ekshumacja

Edward Mikołajczyk

Czy można przez 40 minut zajmować antenę i nie powiedzieć ani be, ani me, ani kukuryku? Pytanie na milę pachnie niewyszukaną retoryką, dlatego uprzedzam wszystkich chętnych do odpowiedzi, że w nagrodę nie będą zwalniani z opłat abonamentowych na rzecz publicznej radiofonii. W ogóle nie będzie żadnego audiotele w tej sprawie.

W piątek, 15 września, w Programie III Polskiego Radia wysłuchałem „Winien i ma". Przeczytałem wcześniej, że stacja wraca do tego kultowego niegdyś tytułu. Audycję dobrze pamiętam, dlatego włączyłem radio.

Prowadził ją głos męski, ale nie wiem, do kogo należał, bo jego właściciel się nie przedstawił. Nie powiedział, skąd przyszedł, kim jest z zawodu ani czy ma jakiś interes do publiczności radiowej. On nawet nie powiedział dzień dobry, choć było parę minut po dziewiątej. Zaczął bez żadnego zwrotu w stronę słuchaczy, zatopiony w rozmowie typu bufetowego z dwoma innymi nonejmami męskimi. Słuchasz, człowieku, i nie możesz uwierzyć, że to nie jest ptasie radio, ale Polskie Radio Program III. Nie ma ani jednego porządnie zbudowanego zdania, żadnej tezy, polemiki, krytyki. Nie ma dyskursu, jest wesoła wrzawa, słówka, półsłówka, kaszelek, dużo wybuchów śmiechu i trzy piosenki. Bardzo śmiesznie.

Radio jest stworzone do zabawy w ciuciubabkę, bo nic nie widać. Ale nie pamiętam, by komukolwiek i kiedykolwiek udało się ukryć coś wstydliwego przed słuchaczami albo w ogóle się schować. Przypominam sobie taką próbę w telewizji. W czasach, kiedy jeszcze nie było Ligi Mistrzów ani Ligi Europy, do Kijowa na mecz pucharowy z Dynamem przyjechał Bayern. Niemcy ubrali się na czerwono, tak jak często grają dzisiaj, Ukraińcy na biało. A ponieważ Ukraina była jeszcze wtedy radziecka, w domyśle czerwona, trudno było sprawozdawcy TVP pogodzić się z prawem noszenia się na czerwono przez kogokolwiek innego. Przez 11 minut Stefan (żeby nie było, że to Janek) komentował ten mecz zgodnie ze swoją wiedzą o kolorach. W radiu uszłoby mu to na sucho. Mógłby wytrwać do końca meczu, konsekwentnie obsadzając Ukraińców w roli Niemców i *à rebours.*

Żadna okoliczność nie umniejszy wyczynu męskiego głosu, który 15 września 2017 r. anonimowo wskrzeszał na antenie PR III umarłe tradycje audycji „Winien i ma" i do końca nieudanej ekshumacji się nie ujawnił. Musi budzić niezdrową ciekawość taka ciuciubabka, zwłaszcza gdy chodzi o *remake* jednej z najświetniejszych pozycji autorskich w historii radia.

Kim był ten anonimowy głos, który nie brzmiał znajomo? W dociekaniu może nam się przydać pewna okoliczność językowa. Otóż sumując dorobek sejmowej komisji do spraw afery Amber Gold, głos zauważył, że to PÓŁTOREJ ROKU pracy tego zespołu. Tak nie mógł się zachować nikt profesjonalny, bo w radiu komisja mikrofonowa nie przepuszcza braków. Co prawda, zdarzyło się również prezydentowi Dudzie mówić o PÓŁTOREJ ROKU własnej kadencji, ale prezydent zawsze może więcej, a dziennikarz powinien patrzeć władzy na ręce, nie na usta. Należy więc wnioskować, że nie był to zawodowy radiowiec.

Po co komu tekst do rozmowy w radiu na żywo? Najogólniej po to, żeby nie mówić z głowy, czyli z niczego.

Kiepskiego archeologa zatrudniła Trójka do odgrzebania tradycji programu z drugiej połowy lat 80. Nawet Jerzy Iwaszkiewicz nie wie, kto to, ale on nie słucha dzisiejszego radia, a z czasów „Winien i ma" najlepiej zapamiętał telefon spłakanego i już wtedy zapomnianego Janusza Gniatkowskiego, kiedy Iwaszko coś osobiście podśpiewał w studiu z jego repertuaru. Śpiewanie, trzeba dodać, nie było najważniejszym zajęciem Iwaszkiewicza w radiu. Jurek był autorem niemal wszystkich tekstów do tej audycji, która pojawiała się na antenie trzy razy w tygodniu i była dwa razy dłuższa od tego, co w piątek, 15 września, skopano przy Myśliwieckiej.

A po co komu tekst do rozmowy w radiu na żywo? Najogólniej rzecz biorąc, po to, żeby nie mówić z głowy, czyli z niczego. Nie wymyślono lepszego sposobu na udaną improwizację.

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, to można to zrobić na stronie **www.tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, **tel. 22 635 84 10 wew. 111**.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

eprasa.pl ed8943ebb3

BUNT ŚPIEWAKÓW

Dymisja dyrektora odbije się na repertuarze łódzkiej opery i jej pozycji artystycznej

Jeszcze w maju dyrektor Paweł Gabara był pełen optymizmu co do planów Teatru Wielkiego.

Bronisław Tumiłowicz

Łódź nie po raz pierwszy przeżywa trzęsienie ziemi w Teatrze Wielkim. Tym razem Zarząd Województwa Łódzkiego zwolnił dyrektora Pawła Gabarę na wniosek skonfliktowanych z nim związkowców, ale sam też znalazł powody finansowe do jego odwołania w środku kadencji.

Gabara był dyrektorem naczelnym Teatru Wielkiego w Łodzi od 16 lipca 2015 r. Przyjechał z Gliwic, miał pełnić funkcję do 31 sierpnia 2019 r. Podpisywanie dyrektorskiego kontraktu na kilka lat ma sens praktyczny i artystyczny. W operze, jak w każdym innym dużym teatrze, praca nad kolejnymi spektaklami wymaga czasu, wielu prób i nakładów. Przedterminowa dymisja to zatem cios w teatr i publiczność. W Łodzi rozgorzały towarzyskie animozje rozdmuchane przez teatralne związki zawodowe poruszone m.in. odmową podwyżek.

ODWOŁANIE W KANIKULE

Zarząd województwa odwołał dyrektora pod koniec czerwca. Jako powód podano niewłaściwe gospodarowanie finansami teatru oraz konflikt ze związkami zawodowymi. W uzasadnieniu decyzji władze przekonywały, że sytuacja finansowa opery wciąż się pogarszała – pod koniec zeszłego roku teatr miał prawie 1,5 mln zł straty, a w końcu maja już ponad 2 mln.

W internetowych komentarzach od razu replikowano, że Pawłowi Gabarze nie udowodniono żadnych nieprawidłowości w gospodarowaniu majątkiem. Zadłużenie opery nie było jego winą, na ujemny wynik składały się m.in. dwie przegrane sprawy sądowe związane ze zobowiązaniami Teatru Wielkiego zaciągniętymi w latach 2007 i 2010, kiedy kierował nim kto inny. A poza tym to niemoralne, że samorząd wojewódzki stawia dyrektorowi zarzut niegospodarności, a wcześniej sam nie wypłacał przyznanych dotacji na działalność tej drugiej co do wielkości sceny w Polsce.

Machina jednak poszła w ruch. Zarząd województwa powierzył kierowanie operą dotychczasowemu zastępcy dyrektora ds. produkcji Krzysztofowi Boguszowi. I tutaj mógł nastąpić niespodziewany zwrot akcji, bo w obronie odwołanego Pawła Gabary stanął wojewoda łódzki prof. Zbigniew Rau. 10 sierpnia uchylił decyzję zarządu województwa z 22 czerwca, dowodząc, że procedury odwoławczej nie przeprowadzono zgodnie z prawem – nie zasięgnięto opinii wszystkich związków zawodowych działających w Teatrze Wielkim ani Stowarzyszenia Dyrektorów Teatrów. W efekcie uchwała odwołująca dyrektora opery została unieważniona, ale w urzędzie marszałkowskim (z przewagą PO) nikt decyzją wojewody z PiS się nie przejął.

ARGUMENTY NA PRÓŻNO

Jedynym, który zareagował na decyzję wojewody, był sam dyrektor Gabara. Na początku września wydał oświadczenie. Wynika z niego, że już trzykrotnie zwracał się pisemnie do Zarządu Województwa Łódzkiego jako organu założycielskiego Teatru Wielkiego w Łodzi, w związku z postępującą od kilku miesięcy destabilizacją pracy. Powołując się na przepisy i tłumacząc, że powierzenie obowiązków dyrektorskich innej osobie jest niezgodne z prawem, zadeklarował, że jest gotów w każdej chwili wrócić do pełnienia swoich obowiązków.

Przedstawił mocne argumenty. Pisał: „W ubiegłym sezonie przygotowany został szczegółowy plan premier i przedstawień oraz innych wydarzeń artystycznych. Przeprowadzone zostały rozmowy z realizatorami; z niektórymi – podpisane umowy. Wystawienie opery G. Rossiniego »La donna del lago« miało być zrealizowane w koprodukcji z teatrem w Lozannie. Układ premier tworzył spójny program artystyczny. Niestety, z narażeniem dobrego imienia Teatru Wielkiego w Łodzi przerwano prace nad długo oczekiwaną premierą »Śmierci w Wenecji« B. Brittena w reżyserii i choreografii Krzysztofa Pastora i pod kierownictwem muzycznym Łukasza Borowicza. Bez podania przyczyny odwołano prezentację baletu »Spartakus« na Festiwalu im. A. Didura w Sanoku. Mam nadzieję, że większą część tych planów uda się jeszcze zrealizować”.

Historia zwolnień i konfliktów z zespołem jest w łódzkim Teatrze Wielkim bardzo długa.

FOT. GRZEGORZ GALASIŃSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl ed8943ebb3

Jakże był naiwny. Marszałek województwa Witold Stępień na oświadczenie zareagował w ten sposób, że na stanowisko p.o. dyrektora powołał tenora Krzysztofa Marciniaka, solistę Teatru Wielkiego, który będzie sprawował funkcję do czasu rozstrzygnięcia zapowiadanego konkursu na nowe kierownictwo opery.

KTO NASTĘPNY?

To nie koniec zawieruchy w łódzkim Teatrze Wielkim. Do dymisji prawdopodobnie zostanie nakłoniony dyrektor artystyczny, młody i bardzo zdolny dyrygent Wojciech Rodek, który – jak się mówi w Łodzi – być może profilaktycznie poszedł na zwolnienie lekarskie. Ten fakt sprawia, że na stronie internetowej www.operalodz.com wciąż figuruje jego nazwisko, choć wróble na dachu opery już ćwierkają, że nowym dyrektorem muzycznym będzie Tadeusz Kozłowski, również znakomity dyrygent, mający przy tym dobre kontakty z zespołem śpiewaków.

Co będzie dalej? Decyzja wojewody o unieważnieniu odwołania dyrektora Gabary została przez władze województwa zaskarżona do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Być może do sądu zwróci się też dyrektor Gabara, ale na sytuację w Teatrze Wielkim nie będzie to już miało wpływu. Awantura odbije się na repertuarze opery, jej pozycji artystycznej i prestiżu, a przecież jeden z najnowszych projektów łódzkiej sceny, wystawienie opery Aleksandra Tansmana „Złote runo", opiniotwórczy „Opera Magazine" uznał za najważniejsze wydarzenie roku. Teraz ta światowa prapremiera została nominowana do nagrody Koryfeusz Muzyki Polskiej w kategorii muzyczne wydarzenie roku.

Szkoda, że Teatr Wielki w Łodzi tak często nawiedzają kryzysy personalne, zwłaszcza w sytuacji, gdy instytucje artystyczne z trudem zdobywają środki na działalność. Poprzedni dyrektor łódzkiej opery też odszedł niespodziewanie, a historia zwolnień i konfliktów z zespołem jest już bardzo długa. Na przykład śpiewak Kazimierz Kowalski, dyrektor w latach 1991-1994, zamykał się w swoim gabinecie, bo koleżanka słusznej postury odgrażała się, że da mu wycisk. A przecież była to kiedyś wiodąca scena w kraju, z Warszawy do Łodzi i z powrotem jeździł specjalny pociąg wożący stołeczną publiczność na przedstawienia. Dziś, po oddaniu do użytku supernowoczesnego dworca PKP Łódź Fabryczna i skróceniu czasu przejazdu, można by powrócić do tej tradycji. Czy jednak w Łodzi będzie co oglądać i czego słuchać?

PS Podobna sytuacja jest w Operze Bałtyckiej w Gdańsku. Tam dyrektor musi sobie radzić ze strajkiem śpiewaków.

KSIĄŻKI

Monika Piątkowska
Prus. Śledztwo biograficzne
Znak, Kraków 2017

Portret pisarza genialnego i niedocenianego przez współczesnych zbudowany na podstawie informacji archiwalnych i przemyconych w twórczości autora wielkich powieści i nowel pozytywistycznych, jego listów, notatników i kronik. Prus, którego poznajemy, nie jest spiżową figurą na postumencie, lecz prowadzącym podwójne życie, targanym namiętnościami człowiekiem z krwi i kości, prześladowanym przez manie, otoczonym kobietami i owładniętym szaleńczą zazdrością o sławę Sienkiewicza.

Stanisław Flejterski
Alfabet SF. Na pograniczu sacrum i profanum
Wydawnictwo ZAPOL Sobczyk, Szczecin 2017

W podtytule tego alfabetu nieprzypadkowo znajdują się kategorie *sacrum* i *profanum*. – Moje *sacrum* to wolność, równość, braterstwo, solidarność, dobro, mądrość, piękno… – wylicza autor. – *Profanum* zaś to zniewolenie, zło, brzydota, głupota, kłamstwo, arogancja, chamstwo, fanatyzm, ksenofobia, rasizm, nienawiść, chciwość, podłość, zawiść, zazdrość…

Henryk Olesiak
Nasza tożsamość i nasze emigracje. Tradycja i duch czasu
Kraków 2017

Jak to możliwe, że wpadliśmy w czarną dziurę – zastanawia się autor – czyli w zaprogramowane zjawisko oparte na manipulacji i nienawiści, w „zamach smoleński". Za który odpowiedzialni są bracia Kaczyńscy z ich doradcami i kancelarią prezydencką. Ów „zamach" jest doskonałym testem poziomu i kultury politycznej elektoratu, z którego żyją jego twórcy.

eprasa.pl ed8943ebb3

NA EKRANACH

AMERICAN ASSASSIN

reż. Michael Cuesta, prod. USA, już w kinach

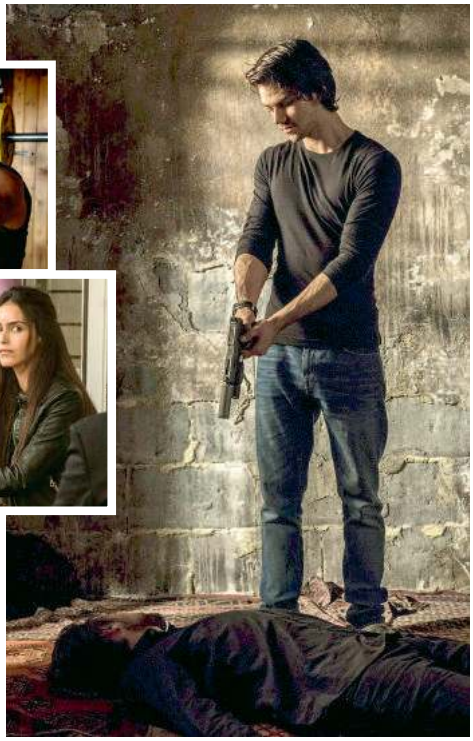

Kiedy Michael Cuesta myśli o terroryzmie, nie fantazjuje o brodatych facetach z ładunkami wybuchowymi pod kurtką, którzy w imię Boga jedynego i wszechmocnego detonują je w zatłoczonych miejscach. Tutaj terroryści to biali cynicy, napędzani forsą. To kontra do obrazów z sensacyjnych doniesień mediów, choć filmowi do kina sensacyjnego blisko, reprezentuje przecież kino szpiegowskie, w którym bohater najpierw musi zwęszyć spisek, a potem wykiwać spiskujących. I to wszystko tu się dzieje. Spiskuje międzynarodowa organizacja terrorystyczna, której członkowie – ludzie z Zachodu – próbują kiwać wszystkich dookoła: tych u władzy, służby bezpieczeństwa, a nawet siebie nawzajem. Na drodze staje im Mitch Rapp (fotogeniczny Dylan O'Brien), który z rąk terrorystów doświadczył największego życiowego okrucieństwa. Już w pierwszej scenie dowiadujemy się, że tu nie ma miejsca na rozgrzewkę. Akcja gna wartko, trup ściele się gęsto, a zaskoczeń czeka nas sporo – choćby obraz Warszawy, która jest tu światową stolicą, tyle że handlu bronią.

Artur Zaborski

ZASŁUCHAJ SIĘ

39'45 Vol. 2
SINFONIA VARSOVIA, RENATO RIVOLTA
Warner Classics

To płyta nie tylko okolicznościowa. Przypomina, że okrutne lata wojny i okupacji były także czasem pracy twórczej kompozytorów. Powstająca wtedy muzyka była osobistym protestem artystów i dowodem, że przemoc, ograniczenie praw i pogarda dla kultury polskiej nie złamały ich ducha. Pisali muzykę, która była dla nich rodzajem odtrutki, lekarstwem na ból i strach. Na płycie Sinfonii Varsovii znalazły się cztery utwory wybitnych kompozytorów, którzy odczuli okupację na własnej skórze, ale nie chcieli przenosić dramatycznych przeżyć do swojej twórczości. Dlatego kompozycje Grażyny Bacewicz, Tadeusza Kasserna, Stefana Kisielewskiego brzmią całkiem normalnie. Uwertura Bacewicz emanuje energią, koncert Kasserna ma nawet w środku menueta, koncert Kisielewskiego wyraża typowe dla tego artysty poczucie humoru i zawiera elementy lekko jazzujące. I tylko ostatni utwór „Pieta. Na zgliszczach Warszawy" Ludomira Różyckiego jest symfonicznym lamentem. Warto przy tej okazji podziwiać robotę dyrygenta Renata Rivolty, Włocha, który doskonale odczytał intencje polskich twórców i zrozumiał ich muzykę.

Bronisław Tumiłowicz

BYLIŚMY

SZCZYTY MUZYCZNE

Zakopane, w międzywojniu stolica elity kulturalnej, z uporem stara się odzyskać renomę. Mnogość imprez dodaje splendoru, a najbardziej chyba festiwal „Muzyka na Szczytach". Koncert Sinfonietty Cracovia, żywiołowe kompozycje Pawła Mykietyna czy stonowane Pawła Szymańskiego, wystawy, filmy, teatr. Właśnie monodram muzyczny „Kontrabasista" w wykonaniu Jerzego Stuhra mógłby być tegoroczną wizytówką spotkania pod Giewontem. Ten spektakl w Teatrze im. Witkiewicza spełniać może wiele funkcji: lekcji wychowania muzycznego, satyry na społeczeństwo i świat sztuki, a także koncertu multimedialnego, bo Stuhr sam demonstruje różne nagrania z czarnych płyt i dodaje osobisty komentarz. Mistrz ten jeden teatralny numer wykonuje już 700. raz! Wrzesień w Zakopanem to wielka uczta duchowa.

Bronisław Tumiłowicz

IX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Kameralnej „Muzyka na Szczytach", Zakopane, 9-16 września 2017

eprasa.pl ed8943ebb3

FESTIWAL

III MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL SZTUKI ANIMACJI AnimArt

Animacje ma Warszawa, ale ma też Łódź. W tym roku siedem festiwalowych dni wypełnią widowiska plenerowe, teatralne pokazy mistrzowskie, spektakle konkursowe, dziesiątki projekcji filmów animowanych, panele dyskusyjne, spotkania z wybitnymi gośćmi, bezpłatne warsztaty dla dzieci i dorosłych oraz ANIMARKT – wydarzenie dla profesjonalistów z branży filmowej. „Naszą ambicją jest pokazanie widzom różnych obliczy tradycyjnej sztuki lalkarskiej w teatralnym i filmowym wcieleniu, która ma wiele do zaoferowania zarówno dzieciom, jak i dorosłym", mówi współorganizatorka Paulina Zacharek. Festiwalowe wydarzenia odbywają się w Teatrze Arlekin, Łódzkim Domu Kultury, EC1, Muzeum Kinematografii i w Manufakturze. Więcej na: **www.animart.pl, www.facebook.com/FestiwalAnimart/.**

ŁÓDŹ, 29 WRZEŚNIA-5 PAŹDZIERNIKA

KURTYNA W GÓRĘ

OTELLO

reż. Grażyna Kania

Otello jest jedną z wielu pogrążonych w samotności i opętanych przez strach postaci. Pozbawieni miłości ludzie kurczowo trzymają się jej substytutów: kariery, seksu, intryg. W świecie człowieka sterowanego strachem osamotnienie i frustracja podsycają gotowość do okrucieństwa i zadawania przemocy. W spektaklu dyplomowym studentów IV roku Wydziału Aktorskiego Grażyna Kania we współpracy z Marcinem Bartnikowskim poszukiwali odpowiedniego tonu w tłumaczeniu oraz adaptacji „Otella", opierając się na wersji Feriduna Zaimoğlu i Güntera Senkela, która wyróżnia się językiem pełnym ostrego dowcipu, podkreślającym nienawiść, rasizm, szowinizm i homofobię. Szczegóły: **tcn.at.edu.pl/spektakl/otello/.**

WARSZAWA, TEATR COLLEGIUM NOBILIUM, PREMIERA 6 PAŹDZIERNIKA

XII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRU LALEK I ANIMACJI FILMOWYCH DLA DOROSŁYCH „LALKA TEŻ CZŁOWIEK"

Tegoroczny festiwal otworzy adaptacja baśni Hansa Christiana Andersena – „Krzesiwo" Jarosława Kiliana z muzyką Grzegorza Turnaua. „Lalka też Człowiek" gości w tym roku wielu polskich i międzynarodowych twórców. Wśród nich grupę Cie. Freaks und Fremde z Niemiec. Ich „Loving the alien" to wyprawa przez czas i kosmos w rytmie muzyki Davida Bowiego. Z kolei Teatr Rouge28 sięgnie do japońskich opowieści o duchach i filmów grozy. W dniach 29 września-2 października odbędą się prezentacje filmów animowanych, a 7-15 października część teatralna. Szczegółowy program: **www.lalkatezczlowiek.eu, www.facebook.com/lalkatezczlowiek/.**

WARSZAWA, 29 WRZEŚNIA-15 PAŹDZIERNIKA

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ed8943ebb3

SKĄD SIĘ BIORĄ TERRORYŚCI?

Paliwem dla terroryzmu są wojny prowadzone przez Zachód w krajach muzułmańskich i ich cywilne ofiary

Tomasz Borejza

Prof. Peter Neumann to wykładowca londyńskiego King's College i amerykańskiego Georgetown University. Zajmuje się sprawami terroryzmu. – Studenci przychodzą na moje kursy o radykalizacji, ponieważ nie mogą zrozumieć, co motywuje ludzi do stania się terrorystami. Zadaję im wtedy proste pytanie: „Czy bronilibyście swojej rodziny?" – opowiada. Wylicza także kolejne pytania, które lubi zadawać: „Czy broniłbyś swojego narodu?", „Jak daleko byś się posunął?", „Czy zabiłbyś, by bronić rodaków?", „Czy jesteś gotowy za nich umrzeć?". – Ludzie – mówi – zwykle odpowiadają: „Tak".

Powodem radykalizowania się jest zamykanie granic i wykluczanie młodych muzułmanów.

To samo, podkreśla, robią islamscy terroryści. Kilka lat temu Neumann zadał sobie pytanie, dlaczego ktoś może się zdecydować na zostanie mudżahedinem i dokonanie aktu terroru. Postanowił znaleźć na nie odpowiedź na podstawie wpisów na Facebooku zostawianych przez wielu z 5 tys. obywateli Europy Zachodniej, którzy dołączyli do tzw. Państwa Islamskiego. Pozwoliło mu to śledzić proces ich radykalizacji.

Neumann bardzo dokładnie przeanalizował to, co w mediach społecznościowych pisało 750 muzułmanów, którzy zdecydowali się dołączyć do islamistów w Syrii. Szczególną uwagę zwracał na argumenty używane przez tych ludzi, obserwował, jak zmieniały się one w czasie i które okazywały się przekonujące. Analizy zaczynał od wpisów pojawiających się długo przed decyzją o przystąpieniu do dżihadu. Bardziej interesowało go, jak zmieniają się myśli ludzi, u których można zaobserwować proces radykalizacji, niż to, co myślą na jego końcu.

Ustalono, że niemal każdego z nich da się przypisać do jednej z trzech kategorii. Pierwsza to „obrońcy", którzy chcą chronić innych oraz siebie przed zagrożeniem. Chcą bronić rodziny oraz narodu. W tym wypadku porusza ich przede wszystkim krzywda, która spotyka innych muzułmanów. Na przykład w Syrii. „Pomyśl o dziecku, które zostało zabite, i wyobraź sobie, że to twoje dziecko. Dziewczyna jest twoją dziewczyną, kobieta twoją matką, a stary szejk twoim ojcem. Poczuj ich ból, ich rany, ich strach. Koran mówi, że inni wierni są twoimi braćmi. Czy to braterstwo nie ma żadnego znaczenia?" – to argument, który do nich trafia. Tego konkretnego używa dżihadystowski celebryta Mohamad Al-Arifi, ale stosują go też inni.

Drugą grupę stanowią „poszukiwacze". Ludzie, którzy w zachodnich społeczeństwach czują się wykluczeni i szukają tożsamości oraz przynależności. Znajdują ją w meczecie. To w odniesieniu do religii definiują swoje „ja" i wartości.

Ale jest też kategoria trzecia – ludzie, którzy dołączyli do dżihadu, bo zrobili to ich koledzy. Neumann był w stanie wskazać całe grupy koleżeńskie, które uległy stopniowej radykalizacji, by wreszcie wspólnie dołączyć do świętej wojny. Dla nich decydująca jest potrzeba akceptacji w grupie rówieśniczej, czyli coś, co niemal wszędzie skłania młodych ludzi do bardzo głupich postępków. Choć trzeba powiedzieć, że na ogół nie aż tak głupich.

Z badań wyciągnięto kilka wniosków. Najważniejsze dotyczą sposobów przeciwdziałania radykalizacji i udaremniania prób rekrutacji. Najlepszą metodą, przekonuje Neumann, jest przeciwstawienie się narracjom islamistów i pokazanie, że są one nieprawdziwe. Trzeba to zrobić nie tylko słowem, ale także czynem, co w tym wypadku oznaczałoby ograniczenie działań zbrojnych w krajach muzułmańskich. Poza tym budowanie otwartych tożsamości społecznych i narodowych, w których każdy może się odnaleźć i poczuć, że do nich przynależy. Zamykanie granic i wykluczanie młodych muzułmanów ma być paliwem dla terroryzmu. Tak jak wojny, które Zachód prowadzi w krajach muzułmańskich. I ich cywilne ofiary. ■

Do Państwa Islamskiego dołączyło ok. 5 tys. obywateli Europy Zachodniej.

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl ed8943ebb3

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

WYRAŻAJ SIĘ

Nie są wcale takie brzydkie i nie rozumiem, dlaczego uparcie się je dyskryminuje. Tym bardziej że bywają pomocne i sprawują swoją funkcję doskonale. Rześkie, rozwibrowane, zabawne. Rozładowują agresję, uśmierzają ból. Są demokratyczne i znają je wszyscy – „brzydkie wyrazy" są częścią naszego języka, siedzą w tradycji głęboko jak zatrzask kleszcza na psim zadku. I nie wiem, czy należy się cieszyć, czy martwić, że wciąż wzbudzają oburzenie.

Do audycji w radiu TOK FM „Prawda nas zaboli" Piotr Najsztub zaprosił Ziemowita Szczerka, popularnego autora reportaży w stylu gonzo. Gonzo to coś w rodzaju silnie osobistego dziennikarstwa i reportażu, w którym autor nie stwarza pozorów obiektywizmu, tylko angażuje się w sprawę bezpośrednio. Gonzo – zwykle komiksowe, dosadne, awanturnicze – ma swoich fanów na całym świecie. Zbuntowane, literackie dziennikarstwo, w którym więcej wolno – zarówno w obszarze interpretowania rzeczywistości, jak i w obszarze języka. Słowem – możemy się spodziewać emanacji osobowości i wrażliwości autora.

Studenci zaczęli odmawiać czytania lektur, w których są „brzydkie wyrazy".

Nie ukrywam, że lubię gonzo, nie tylko dlatego, że i tak nigdy nie ma pewności, gdzie leży prawda: obiektywizm reportażu jest umowny, a gonzo otwarcie nań gwiżdże. Podoba mi się chłopacka radocha pisania, filmowe przerysowanie, dowcip i eksperyment. Dlatego ucieszyłam się, że Najsztub zaprosił Szczerka. Zamknęłam okno i usiadłam przy radioodbiorniku; rozmowa dotyczyła języka Polaków. Przy czym Szczerek, gardząc pogardą elit, wyznał, że przeklinać lubi i przeklinać będzie, bo to w sumie nic złego, a nawet pomaga, kiedy człowiek chce się dogadać z drugim. Tu Najsztub się zdystansował i zaznaczył, że przeklinanie kojarzy mu się z agresją i chamstwem, które wspiera państwo PiS. Cóż, można było się tego spodziewać: sprowokowany Szczerek wypuścił taką wiązankę, że Najsztubowi buty spadły. Chyba. W każdym razie ogłoszono przerwę w audycji i usłyszeliśmy wiadomości, a kiedy panowie wrócili z tematem, Szczerek musiał się gęsto tłumaczyć, dlaczego w literaturze i życiu używa przekleństw. Po audycji Najsztub gorąco i dwukrotnie przeprosił obrażonych słuchaczy.

O kurde – pomyślałam – to ktoś może się poczuć obrażony takimi słowami? Przecież nie były wyrazem agresji, ekspresją jakichś złych mocy, które będą teraz krążyć po świecie i zadawać ciosy na oślep. To już więcej szkody robi *reality show* „Top model". To już więcej szkody robią „Perfekcyjna pani domu" i Grycanki. Więcej agresji ma w sobie co drugi kierowca czy polityk. Oj, to chyba ogarek pani Dulskiej, szczypta hipokryzji, która kryje jakieś pradawne zło.

Zaintrygowana tematem dzwonię do znajomego literaturoznawcy, który wyznaje ze łzami, że studenci zaczęli odmawiać czytania lektur, w których są „brzydkie wyrazy" i tzw. kontrowersyjne tematy. Ja cię pierdzielę – myślę i idę sobie poprzeklinać. Przeklinam w salonie, żeby podbić efekt, więc wzrok mój błędny pada na półki z książkami. Szczerzą się do mnie z radości nie tylko Ziemowit Szczerek, Andrzej Stasiuk (plugawe „Mury Hebronu"!), Jakub Żulczyk, Jerzy Pilch, Marcin Świetlicki („Ja to pierdolę, dziś jestem w nastroju nieprzysiadalnym"), Hłasko, Bursa (wiadomo, ten miał w dupie całe miasteczka), Gretkowska, Bargielska, Grzegorzewska, ale i masa pisarzy zagranicznych, którzy mają nie tylko Nike i Paszport „Polityki", ale też Bookera i Nobla. Nie przeszkadza im to w używaniu pięknych brzydkich wyrazów. Pojawia się zatem pytanie o źródła tego świętego oburzenia słuchaczy i czytelników. Allan Bloom powiedziałby, że to lęk przed nihilizmem, rozpaczą egzystencjalną, którą współczesny człowiek czuje po śmierci Boga. Freud uznałby, że nacisk treści wypartych sprawia, że odrzucamy to piękne spektrum. Hobbes rzekłby, że tego typu cenzura jest elementem umowy społecznej, której nie opłaca się łamać. Kolega literaturoznawca myśli, że to wina słabej edukacji i ogólnego chaosu wartości. A ja przypominam sobie, jak pierwszy raz powiedziałam słowo dupa w salonie. Miałam dwa lata. Wszyscy wydawali się zachwyceni.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

TygPrzeglad TygodnikPrzeglad www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ed8943ebb3

AFRYKA WITA BEZROBOTNYCH

Młodzi Europejczycy coraz częściej szukają pracy w dawnych koloniach

Mateusz Mazzini

Jednym z najpopularniejszych i najczęściej udostępnianych w internecie programów hiszpańskiej telewizji publicznej jest serial dokumentalny „Hiszpanie na świecie" („Españoles en el Mundo"), który pokazuje losy emigrantów. Miał to być naładowany optymizmem cykl wizyt reporterskich u Hiszpanów, którzy osiągnęli sukces zawodowy. I rzeczywiście na początku tak było. Chociażby odcinek z lipca 2010 r. przedstawia Sergia, inżyniera mieszkającego w Seattle i pracującego jako konstruktor silników samolotowych. Z czasem zaczęło brakować pozytywnych historii i ton programu stopniowo się zmieniał. Z dość ckliwego serialu o geniuszach, którzy niczym przed wiekami Kolumb wyjeżdżali z Hiszpanii na podbój świata, przeobraził się w kronikę ucieczki młodych z kraju niedającego im już szans na sukces. Bohaterowie kolejnych odcinków byli coraz młodsi, a zajęcia, którymi się parali, coraz mniej atrakcyjne (warsztaty samochodowe czy sklepy spożywcze). Ale tendencja jest wyraźna – młodzi Hiszpanie wyjeżdżają do dawnych kolonii, bo tam, gdzie nadal się mówi w ich języku, mogą liczyć na najwięcej szczęścia.

RYNEK NIE PRZYJMUJE

Cykl wiernie oddaje jeden z najbardziej alarmujących trendów panujących w Europie w ostatnich kilkunastu latach. W wielu krajach Starego Kontynentu, głównie w nękanych kryzysem finansowym państwach Południa, takich jak Hiszpania, Włochy, Grecja i Portugalia, młodzi ludzie, często z wyższym wykształceniem, zaczęli masowo zasilać grono bezrobotnych. Choć od apogeum kryzysu z lat 2009-2011 minęło już trochę czasu i gospodarki Południa mogą się pochwalić nieco lepszymi wynikami (patrz: „Dobra passa Portugalczyków", PRZEGLĄD nr 36), bezrobocie przedstawicieli najmłodszej generacji jest wciąż ogromnym problemem.

Według serwisu danych statystycznych Statista w pierwszej połowie 2017 r. w całej Unii Europejskiej prawie 17% zdolnych do pracy w wieku 15-24 lata i ponad 25% w wieku 25-34 lata pozostawało bez pracy. Statystyki te są jednak dużo bardziej niekorzystne w krajach, które okupują mało chwalebne pierwsze miejsca w rankingach bezrobocia. W przypadku Hiszpanii i Grecji w obu tych grupach wiekowych odsetek bezrobotnych przewyższa lub niebezpiecznie zbliża się do 40%. Niewiele lepiej wygląda sytuacja we Włoszech, w Portugalii i we Francji. Co więcej, eksperci są zgodni, że szanse na odwrócenie niekorzystnego trendu w najbliższych latach są niewielkie. Rynki w tych krajach są przesycone młodymi absolwentami uczelni, którzy nie mają możliwości zdobycia doświadczenia, a ich kwalifikacje często rozmijają się z zapotrzebowaniem.

Ponad 40% zagranicznych firm działających na angolańskim rynku prowadzą Portugalczycy.

Jeszcze niedawno pierwszym kołem ratunkowym był wyjazd do Wielkiej Brytanii. W 2015 r. w samym tylko Londynie, według statystyk biura burmistrza, mieszkało ok. 124 tys. Francuzów – 64% spośród nich nie ukończyło 37. roku życia. Równie szybko na Wyspach rosła liczba Hiszpanów czy Włochów. W wielu miejscach kraju zepchnęli oni wręcz na dalsze miejsca młodzież z Europy Wschodniej, która do tej pory była symbolem rosnącej imigracji na Wyspy.

CZAR KOLONII

Opcja brytyjska też z czasem przestała być wentylem bezpieczeństwa, a Brexit znacząco wpłynął na stan tamtejszej gospodarki, zwłaszcza w sektorach dla najmniej wykwalifikowanych pracowników, głównie w usługach. Pracodawcy niechętnie zatrudniają już nowy personel z zagranicy, nie wiedząc, jakie będą z tym się wiązać obowiązki, gdy Wielka Brytania opuści Unię. Zresztą według ostatnich danych UK Border Agency, instytucji zajmującej się sprawami ruchu granicznego na Wyspach, ponad jedna trzecia obcokrajowców zatrudnionych w Wielkiej Brytanii zamierza w najbliższych pięciu latach wyjechać z kraju na stałe, właśnie z powodu Brexitu. Dodajmy do tego brak jasnych uregulowań co do przyszłego ruchu granicznego między Wyspami a kontynentem. I możliwy kryzys po ostatecznym wycofaniu się Londynu z wielostronnych porozumień handlowych zawartych w ramach członkostwa. Wyjazd do pracy za kanał La Manche nie jest więc już tak atrakcyjny. Młodzi bezrobotni Hiszpanie i ich sąsiedzi zaczęli szukać szczęścia tam, skąd jeszcze niedawno ich dziadkowie uciekali w popłochu – w dawnych koloniach.

To często wybór dość naturalny – w wielu tych krajach, głównie w Afryce i Ameryce Łacińskiej, ale i w niektórych częściach Azji, wciąż się mówi w języku dawnych imperialnych władców, przynajmniej oficjalnie. Dlatego znika bariera językowa i młodzi Hiszpanie czy Francuzi, świeżo po trudnych, ale mało dochodowych studiach, mogą właśnie w dawnych koloniach znaleźć pracę w zawodzie.

Jak Inés, jedna z bohaterek dokumentu, z wykształcenia geodetka, urodzona w Alicante. W ojczyźnie nie miała szans na znalezienie pracy, więc wyjechała za chlebem do Gwinei Równikowej, jedynego miejsca na całym kontynencie afrykańskim, oprócz hiszpańskich enklaw na południu Maroka, w którym językiem oficjalnym jest jej ojczysty hiszpański. Po wyjeździe do Afryki jej życie zmieniło się diametralnie. W dawnej kolonii założyła własną firmę, rozwinęła działalność zgodną z wykształceniem i zainteresowaniami, ale przede wszystkim założyła rodzinę i żyje bez obaw o sta-

eprasa.pl ed8943ebb3

Kadry z serii dokumentalnej o losach młodych Hiszpanów na emigracji.

bilność finansową, co w Hiszpanii wydawało się niemożliwe.

Sukces w dawnych koloniach to scenariusz nie tylko dla superwykształconych, ale i dla tych z mniejszymi kwalifikacjami. Na wyjazd do kraju, w którym mówi się w tym samym języku, zdecydowali się 27-letnia Angélika, instruktorka tańca z Toledo, która założyła szkołę w kolumbijskim Cali, czy 32-letni Hernan z Vigo, obecnie przewodnik turystyczny na Filipinach, gdzie również, choć w mniejszym stopniu, używa się języka hiszpańskiego.

Hiszpanie wolą emigrować do krajów, w których nadal mówi się w ich języku.

KIEDYŚ UCIEKALI, DZIŚ WRACAJĄ

Nie wszyscy jednak chcą się przeprowadzać w poszukiwaniu pracy na drugi koniec świata. 24-letni João Lourenço z Portugalii mówi w amerykańskim serwisie CNN Money, że mimo marnych perspektyw i konieczności dalszego mieszkania z rodzicami nie rozważa wyjazdu do Brazylii czy Angoli, dawnych portugalskich kolonii. Jego zdaniem to ostatnia deska ratunku, bo decydując się na wyjazd na inny kontynent, najpewniej skazywałby się na dożywotnią emigrację. Socjolodzy potwierdzają jego intuicję – od lat wiadomo, że im większa odległość pokonywana w ramach emigracji zarobkowej, tym mniejsze szanse na powrót.

Z drugiej strony, jak podkreśla sam Lourenço, perspektywy w kraju wydają się mało atrakcyjne. Owszem, rządy w Portugalii, Hiszpanii i we Francji wprowadziły wiele programów publicznych mających na celu poprawę sytuacji młodych na rynku pracy. Ale – jak to często bywa w przypadku takich interwencji – efekty były odwrotne do zamierzonych. Pracodawcy wspomagani strumyczkiem rządowych dotacji stopniowo obniżali im wynagrodzenia, aż do poziomu niewiele się różniącego od zasiłku dla bezrobotnych. Co ciekawe, w tym samym czasie oferta ekonomiczna dawnych kolonii zaczęła wyraźnie się rozwijać.

Doskonałym przykładem tej tendencji jest Angola, z której Portugalczycy uciekali w popłochu po zwycięstwie ruchu niepodległościowego w 1974 r. i dekolonizacji zapoczątkowanej wraz z rewolucją goździków. Dziś chcą wracać. Według danych Banku Światowego w ostatnich 15 latach liczba Portugalczyków mieszkających na stałe w Angoli wzrosła niemal pięciokrotnie i przekracza obecnie 120 tys. A to przekłada się na tamtejszą gospodarkę – ponad 40% zagranicznych firm działających na angolańskim rynku prowadzą Portugalczycy.

Mniej reprezentatywne są dane dotyczące byłych kolonii francuskich, ponieważ postkolonialny model polityki Paryża nigdy tak naprawdę nie zakładał pełnego wycofania się z dawnych terenów w Afryce. Ale i tam widać wzrost migracji zarobkowej, zwłaszcza w sektorze usługowym oraz przeżywającej rozkwit w Afryce branży informatycznej i telekomunikacyjnej.

Czyżby kolonie stały się jedynym ratunkiem dla pozbawionej perspektyw europejskiej młodzieży? ■

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl ed8943ebb3

W 51-milionowej Mjanmie (Birmie) – w przeważającej mierze buddyjskiej – mieszka ok. 1,1 mln muzułmanów, którzy w większości należą do ludu Rohindża. Wprawdzie w Birmie żyją od pokoleń, jednak nie mają obywatelstwa ani nawet statusu grupy etnicznej, podobnie jak dostępu do służby zdrowia, edukacji i legalnej pracy. Złe położenie aktywizuje radykalne grupy Rohindża, dochodzi do ataków na posterunki policji i wojska. W odwecie siły rządowe brutalnie pacyfikują wsie, co powoduje masowy *exodus* – szacuje się, że już ok. 420 tys. Rohindża opuściło kraj. Olbrzymia większość koczuje w przygranicznych obozach w Bangladeszu – głównie kobiety i dzieci. Analitycy ostrzegają, że oprócz kryzysu humanitarnego realne jest ryzyko dalszej radykalizacji i nasilenia przemocy w regionie.

RELIGIA, POLITYKA I PRZE

eprasa.pl ed8943ebb3

MOC

FOT. AFP/EAST NEWS (5), AP/EAST NEWS

eprasa.pl ed8943ebb3

Bezpieczna dla zdrowia, ale nie w nadmiarze

Informacje podane w artykule „Nie mamy już serca do margaryny" (PRZEGLĄD nr 37) wymagają doprecyzowania. Wszystkie zalecenia żywieniowe na świecie mówią o ograniczaniu spożycia tłuszczów zwierzęcych (z wyjątkiem olejów rybich), ponieważ w przeciwieństwie do tłuszczów roślinnych zawierają one dużo kwasów nasyconych i cholesterolu. Amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) rzeczywiście cofnęła status GRAS (*Generally Recognized as Safe* – ogólnie uznane za bezpieczne) częściowo uwodornionym olejom, argumentując, że są one źródłem izomerów trans nienasyconych kwasów tłuszczowych. Jednak nie należy łączyć częściowego utwardzania z procesem produkcji miękkich margaryn kubkowych, ponieważ w Polsce i właściwie na całym świecie do produkcji miękkich margaryn nie stosuje się już częściowo utwardzonych olejów roślinnych. Miękkie margaryny praktycznie nie zawierają więc także izomerów trans. W przypadku margaryn miękkich (kubkowych) stosuje się tzw. proces przeestryfikowania w połączeniu z olejami tropikalnymi. W jego wyniku uzyskuje się tłuszcz stały o bardzo mocnej strukturze krystalizacyjnej, który jest w stanie utrzymać bardzo dużo ciekłych olejów.

Podawanie na etykietach informacji, że to produkt zalecany przez lekarzy, jest jak najbardziej na miejscu. Wszystkie medyczne instytuty narodowe i międzynarodowe, ze Światową Organizacją Zdrowia na czele, zalecają zastępowanie kwasów tłuszczowych nasyconych nienasyconymi, przy czym wiele z nich rekomenduje spożywanie margaryny zamiast masła. Wiele kwasów tłuszczowych, w tym kwasy tłuszczowe z grupy omega-3, objętych jest oświadczeniami żywieniowymi lub zdrowotnymi poświadczonymi przez Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności. Możliwość korzystania z oświadczeń zdrowotnych regulowana jest przepisami prawnymi, które szczegółowo określają zasady ich stosowania. Tak więc informacje na opakowaniach nie mogą być nieprawdziwe.

Dodatki do żywności przechodzą bardzo szczegółowe badania toksykologiczne, a te, które faktycznie szkodzą zdrowiu, są zakazane.

Nie jest prawdą, że proces powstawania margaryny „polega na podgrzewaniu utwardzanych olejów roślinnych w masę nadającą się do formowania w kostki i smarowania". Proces produkcji margaryny polega na wymieszaniu oraz wychłodzeniu i przez to zestaleniu emulsji margarynowej. Miękką margarynę można praktycznie zrobić dziś w warunkach domowych.

Do margaryn właściwie nie stosuje się przeciwutleniaczy BHA i BHT. Obecnie wszystkie margaryny w Polsce są pasteryzowane, więc konserwantów nie wymagają.

Współcześnie odchodzi się od rozstrzygania sporu „masło czy margaryna", a stawia na rekomendacje dotyczące ogólnego spożycia tłuszczu w diecie. Z tego powodu margaryna zalecana jest w diecie osób dorosłych ze względu na wysoką zawartość nienasyconych kwasów tłuszczowych, co jest szczególnie ważne dla osób starszych oraz cierpiących na choroby serca i układu krążenia. Ostateczny wybór jednak zawsze należy do konsumenta.

Prof. Krzysztof Krygier, Zakład Technologii Tłuszczów i Koncentratów Żywności SGGW

eprasa.pl ed8943ebb3

Wyspa to my

Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych rozległy się lamenty, że Polska nie próbuje wpływać na Litwę. Że Litwini lituanizują mieszkających tam Polaków, a my na to nic. I rząd PiS jest tu tak samo bierny jak poprzednicy. A mógłby użyć choćby broni ekonomicznej (nie mówiono, w jaki sposób), bo Możejki to największy pracodawca na Litwie.

Wtedy odezwał się wiceminister spraw zagranicznych Jan Dziedziczak w obronie swojego rządu i swojego ministerstwa. Bronił zaś w ten sposób, że zadał posłom retoryczne pytanie: „Czy prezydent Duda lub premier Szydło składali wizytę w Wilnie?". Nie. Nie składali. „A to – tłumaczył Dziedziczak – nie jest przypadek, w języku dyplomacji jest to wyraźny sygnał dezaprobaty. I świadczy o tym, że obecna Polska nie akceptuje polityki Wilna wobec mieszkających na Litwie Polaków".

Koniec kropka.

Już zatem wiemy, dlaczego do Polski nie przyjechał prezydent Macron i w ogóle dlaczego mamy kłopoty z zapraszaniem ważnych gości.

Ale jest to sygnał jeszcze innego rodzaju – że Polska staje się, tak jak to wieszczył 10 września Jarosław Kaczyński, wyspą. Otoczoną albo przez wrogów, albo przez takich, którym ufać nie można.

Spójrzmy sami. Polska jest członkiem Unii Europejskiej, ale przecież walczy z tą Unią zaciekle, szarpie się po sądach, wymyśla jej wysokim urzędnikom.

Niemcy? To w obecnych czasach główny wróg, który używa Unii Europejskiej jako instrumentu ciemiężenia Polski i nie chce nam zapłacić reparacji wojennych. A o nich, jak mogliśmy się dowiedzieć z informacji Polskiej Agencji Prasowej, rozmawiał na Malcie prezydent Duda z prezydentem Steinmeierem. Wspominamy o tym nie najwyższej wagi wydarzeniu z jednego powodu. Otóż po rozmowach PAP zamieściła informację, że obaj prezydenci uznali, że w sprawie reparacji trzeba rozmawiać, natomiast niemiecka agencja DPA, że Steinmeier powiedział Dudzie, że to temat zamknięty. Ciekawe, prawda?

O Rosji też nie ma co wspominać. Może napomkniemy tylko, że na Białorusi zakończyły się wielkie manewry wojskowe „Zapad", które obserwował prezydent Aleksander Łukaszenka. Ten sam, do którego przymilał się nie tak dawno minister Waszczykowski i o którym z sympatią wyrażał się marszałek Senatu Stanisław Karczewski. W ramach ocieplania relacji z Łukaszenką nasza władza zabrała pieniądze telewizji Biełsat. I co? Dalej zimno.

Zimno zaczyna też być w stosunkach z Ukrainą. Jeszcze niedawno miał to być nasz najważniejszy partner. Teraz w Kijowie długo nam nie zapomną wspierania Saakaszwilego.

Więc może Grupa Wyszehradzka, którą tak bardzo chciała wzmacniać premier Szydło? Pisaliśmy już o tym parokrotnie – dziś to bardziej fantom niż realne narzędzie polityczne. Bo i Słowacja, i Czechy, i inne kraje Europy Środkowej już zadeklarowały, że bliższa jest im Unia Europejska i wolą dobre kontakty z Niemcami niż jakieś wymyślane w Warszawie konstrukcje. Węgry tak nie powiedziały. Za to premier Orbán gościł przez kilka dni prezydenta Putina. Ech…

Uwaga! Trwa poszukiwanie kraju, z którym Polska byłaby zaprzyjaźniona i łączyłyby ją dobre związki. Takie ręka w rękę. Bo na razie poza San Escobar takiego nie ma.

Attaché

FOT. AFP/EAST NEWS

Koncert na 1,4 tys. ptasich gardeł – przesłuchanie w konkursie śpiewu gołębi, w którym wzięli udział skrzydlaci artyści z Tajlandii, Malezji i Singapuru. Prowincja Narathiwat w Tajlandii.

eprasa.pl ed8943ebb3

JOLKA

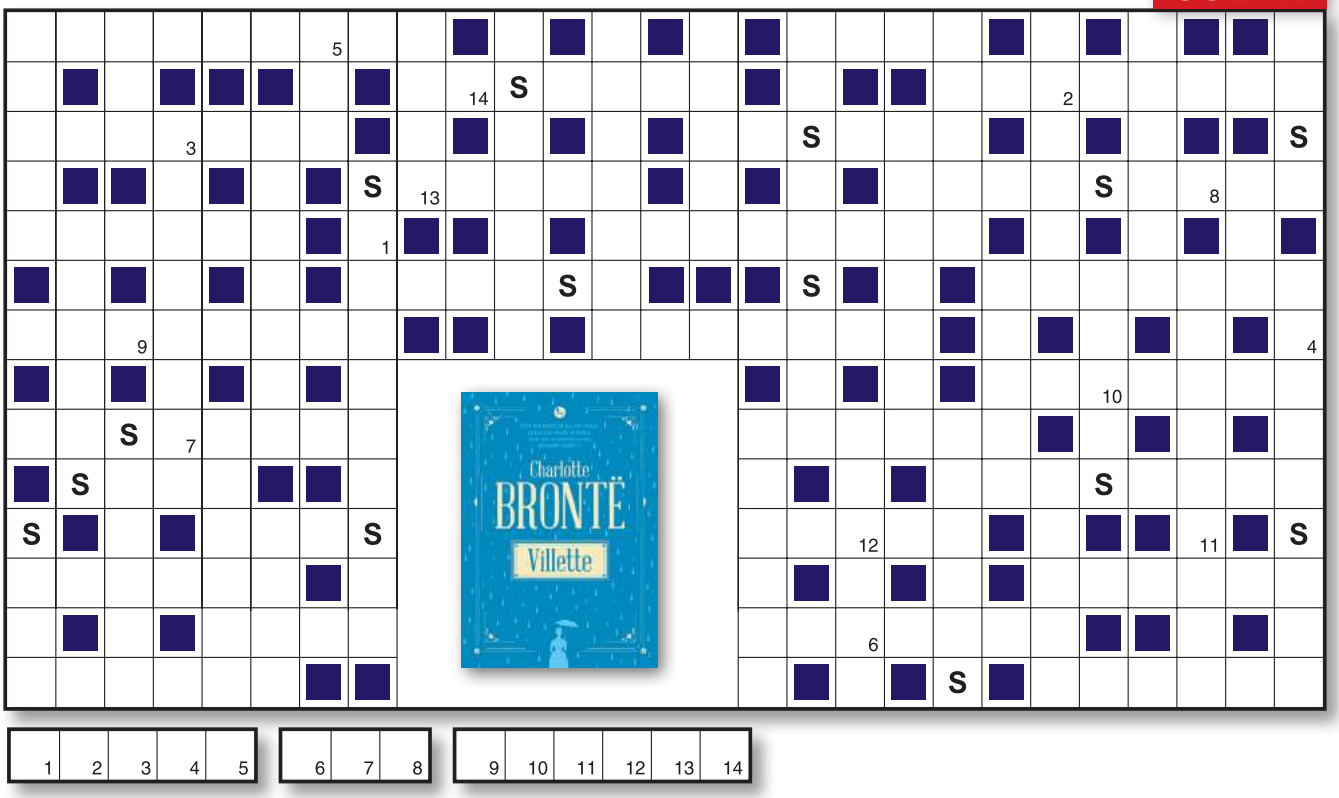

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą końcowe hasło.

- oponent, przeciwnik
- sprej
- syn Tezeusza i półwysep na Cyprze
- gdy brak władzy i porządku
- hiacyntowe, żółtoskrzydłe i amazonki
- warstwa powietrza wokół Ziemi
- rzymski kapłan odczytujący wolę bogów
- baskijskie miasto z Muzeum Guggenheima
- ozdoby choinkowe
- w Tartarze wodą w sitach napełniały dziurawą beczkę
- …Bieruta dotyczący gruntów w Warszawie
- Ewa od „Rozmów w toku”
- zwolennik ruchu Dmowskiego
- zapał, uniesienie
- …rycerski, np. „Pieśń o Rolandzie”
- jednostka bojowa lotnictwa
- zrzesza wielbicieli artysty
- karany czerwoną kartką
- orzeszki z psem Snoopym
- parkiet do obrotu akcjami
- hańba, niesława
- krzew i ziemniak
- do zjedzenia lub siedzenia na niej
- trujący chwast zbożowy
- drapieżnik z szopowatych – wikławiec
- w Wigrach lub Shaolin
- żartowniś, szyderca
- poniósł porażkę w bitwie pod Borodino
- „…w Weimarze” Manna
- „Czy… to dziewczyna?”
- ubliżanie
- kobiecy symbol Republiki Francuskiej
- jadalnia na statku
- Dziadek lub pisarz Remigiusz
- owad na lepie
- na zapiski
- wielka beczka (pruski to 206 litrów)
- z przecięciem wstęgi
- masyw górski, siedziba muz
- bić się w nie to kajać się
- święty u wrót raju
- bierwiono
- zawijają tam statki
- o zakładzie opieki dla dzieci, ubogich
- wydawany żołnierzom
- głos lwa, osła
- w szkole lub naskalne
- dolna część, dno
- łączna długość okresów pracy
- kawiarniany mebel
- sportowiec szermierz
- szczelina
- czy to kapcan, czy to pan, na Wesele przyjdzie w…
- jej zażycie kończy życie
- czekoladka jak cenny grzyb
- „pośrednik” między gniazdkiem a laptopem
- grać na nią to zwlekać

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-825”. Do rozlosowania książki „Villette” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.825.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 1 października 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-822” z 10 września: *Myśl nie płaci cła.*
Nagrody otrzymują: Juliusz Kidawa z Połańca, Barbara Labocha z Poręby, Józef Mruk z Chodzieży.

eprasa.pl ed8943ebb3

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Nie demonopolizacja będzie najgorsza, nawet nie przekazywanie gazet kolesiom, zamykanie redakcji czy nowy podatek od reklam. Najgorsza będzie bezsilność dziennikarzy, którzy jeszcze mówią prawdę, ale już nie potrafią się z nią przebić dalej niż za rogatki stolicy. Bo – jak pokazuje przykład Węgier – Orbánowi na stolicy już nie zależy, on gra o całą resztę kraju, wykorzystując prorządową telewizję, ponad 200 gazet regionalnych i lokalnych oraz *outdoor*, którego największym klientem jest rząd.

odra **PROF. BOGUSŁAWA DOBEK-OSTROWSKA,** INSTYTUT POLITOLOGII UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

Obserwujemy zjawisko spolityzowanego, a więc stronniczego nastawienia mediów. Telewizja publiczna nigdy nie była tak upubliczniona, jak jest w tej chwili. Stała się narzędziem w rękach partii rządzącej. Nie mam co do tego wątpliwości. Potwierdzają to programy informacyjne TVP poświęcone ulicznym protestom. Partia, a zwłaszcza Jarosław Kaczyński są świadomi, kto jest głównym odbiorcą telewizji publicznej – to przede wszystkim osoby głosujące na PiS. Ważną rolę w życiu publicznym zaczął znowu odgrywać Kościół. Ambony kościelne odgrywają coraz większą rolę w kształtowaniu politycznej świadomości, szczególnie starszego pokolenia.

WOLNOMULARZ POLSKI **DR WITOLD SOKAŁA,** EKSPERT DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA, UNIWERSYTET JANA KOCHANOWSKIEGO W KIELCACH, MASON

Wolnomularstwo nie jest sektą. Nie ma tutaj guru, który mówi, jak żyć, ani świętych ksiąg, które należy przyjmować bezkrytycznie. Przeciwnie, fundamentem masońskiej metody jest otwartość na odmienne poglądy, kwestionowanie autorytetów i dyskusja. Mistrz wolnomularz nie mówi uczniowi „idź za mną", lecz „pójdę obok ciebie i będę ci pomagał, ale to ty wybierasz drogę, krok i tempo". Co do rządzenia światem, pewnie gdyby faktycznie władali nim adepci *Ars Regia*, to byłby ten nasz padół choć odrobinę lepszy. Przynajmniej tak jak Stany Zjednoczone, wymyślone w XVIII w. przez masońskich Ojców Założycieli, były pod wieloma względami lepsze od ówczesnych monarchii.

PLAYBOY **KAYAH,** PIOSENKARKA

Mam bardzo zdrowy stosunek do naturalnego ciała. Nagość w moim domu nigdy nie była tabu. Tak zachowywali się moi rodzice, tak i ja wobec mojego syna. Nagość nie jest niczym wstydliwym. Ale jest znacząca różnica między tym, co nagie, a co rozebrane. Stąd moje liczne opory. Nie chciałam być przedmiotową babką cieszącą oczy facetów, których nigdy na dodatek bym nie poznała.

FOT. AFP/EAST NEWS

Czworonożny billboard objazdowy – właściciel wielbłądzicy o imieniu Junior wspiera prezydenta Kenii w ponownych wyborach. Te sierpniowe kenijski Sąd Najwyższy unieważnił pod zarzutem fałszerstw, jakich dopuściły się komisje wyborcze.

Aby język giętki…

ALEKSANDER HALL O ANDRZEJU DUDZIE

Audiencje, jakich udzielił delegacjom klubów parlamentarnych, trudno nazwać konsultacjami.

RADOSŁAW SIKORSKI O ARKADIUSZU MULARCZYKU

Zapamiętajmy tę szuję.

JAKUB BIERZYŃSKI O PO

Fakt, że Platforma sama nazwała się totalną opozycją, jest dowodem na zupełny brak kompetencji do uprawiania polityki.

KS. ADAM BONIECKI O SWOIM ZAKONIE

Mam tam opinię człowieka niepoczytalnego, nieodpowiedzialnego. Nie wiadomo z czym wyskoczy, narobi nam kłopotów, wstyd przyniesie zakonowi.

JERZY URBAN O MARIUSZU BŁASZCZAKU

Polska byłaby bezpieczna, gdyby wysiedlić z niej Polaków. Błaszczak na to jednak nie pójdzie, bo nie ma na świecie kraju, gdzie mógłby być ministrem.

JACEK PONIEDZIAŁEK O EDUKACJI

Kolejne pokolenia będą hodowane w ultrakatolickiej, nacjonalistycznej wierze i wieszczę Polsce absolutną klęskę cywilizacyjną.

MAGDALENA MIELCARZ O KALIFORNII

Tam przyroda jest surowa, wieje pustynny wiatr, a pustynia jest „bez przebaczenia". I sprawia, że i ja robię się bardziej twarda. Słowianka zakłada zbroję.

BARTŁOMIEJ TOPA O ROLI PREZESA TELEWIZJI

Zostałem ubrany przez Dorotę Williams w piękne garnitury, firmowe koszule i drogie buty. Dobrze się czuję w skórze prezesa.

RENATA PRZEMYK O ZWIĄZKACH

Natury nie da się nagiąć. Porozumienie dusz wspaniałe, ale ja chciałam mieć wszystko. Duszę i ciało.

ADAM BIELECKI O NOCY NA ANNAPURNIE

Całą noc przewisieliśmy w uprzężach. Nie mogliśmy nawet stanąć. Pod nami było 1700 metrów powietrza zakończone lodowcem.

GOSIA BACZYŃSKA O SWOIM SZEFOWANIU

Jestem szefową zbyt dobrą. Zbyt wyrozumiałą, łagodną i chyba jednak za mało wymagającą.

eprasa.pl ed8943ebb3

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Zdrowi chodzą szybko

Naukowcy z Uniwersytetu w Leicester przebadali w ciągu sześciu lat ponad 420 tys. osób w celu oceny ich śmiertelności. Okazało się, że ludzie, którzy chodzą wolno, częściej umierają z powodu chorób serca – od 1,8 do 2,4 razy. Naukowcy wzięli pod uwagę także inne czynniki ryzyka, w tym palenie tytoniu, wskaźnik masy ciała oraz dietę. Ich wnioski dotyczą zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Autorzy badania uważają, że tempo chodu może być wskaźnikiem ogólnego stanu zdrowia i sprawności fizycznej, ponieważ jest silnie związane z tolerancją organizmu na wysiłek fizyczny. Najbardziej narażone na choroby okazały się wolno chodzące dorosłe osoby z najniższymi wskaźnikami masy.

„Równouprawnienie"

Kancelaria prezydenta Tunezji powiadomiła o zniesieniu przez głowę państwa prawa nakazującego Tunezyjkom poślubianie wyłącznie muzułmanów. Prezydent Badżi Kaid as-Sabsi już w sierpniu mówił o tym, że prawo zabraniające im poślubienia mężczyzny, którego kochają, jest ograniczeniem ich wolności. Ale mężczyzn taki zakaz nie dotyczył – mogli zawierać związki małżeńskie z kobietami innych religii.

Koncert bez muzyków

Szwedzka grupa Abba nie daje swoim fanom nadziei na reaktywację. Chociaż zespół myśli o „wirtualnych" koncertach. Piosenki mają być śpiewane na żywo, jednak na scenie będą się pojawiać nie członkowie zespołu, ale ich awatary zrobione komputerowo.

Majątek w sedesie

Szwajcarska policja zajęła się sprawą pieniędzy wypływających z genewskich toalet. Pierwsze banknoty zostały odkryte w łazience w pobliżu skarbca banku UBS w Genewie już kilka miesięcy temu. Jednak po pewnym czasie pieniądze wypłynęły również w toaletach trzech pobliskich restauracji. Policja wydobyła banknoty (w części pocięte) o łącznej wartości dziesiątek tysięcy euro. Wielkie pieniądze spowodowały zatkanie kanalizacji, której naprawa kosztowała tysiące franków. Rzecznik genewskiej prokuratury jest pewien, że za niszczeniem pieniędzy musi się kryć większa sprawa.

Jak kamień w wodę

Jeden z mieszkańców Kansas City, chcąc oświadczyć się swojej dziewczynie, wybrał pełne uroku miejsce – drewniany mostek w parku. Chłopak nie spodziewał się jednak, że kiedy

ŻEGNAJCIE „PRZYDASIE"

Jak zrobić porządek z „przydasiami"? Oto pięć kroków, które pomogą zdecydować, z którymi rzeczami możemy się spokojnie rozstać.

1. **Rozpoznanie.** Zacznij od identyfikacji „przydasiów". Wygrzeb je z szaf, zlokalizuj na strychu i w piwnicy.
2. **Spożytkowanie.** Sprawdź, które z „przydasiów" można natychmiast do czegoś wykorzystać. Może rzeczywiście do czegoś się przydadzą.
3. **Weryfikacja.** Pomyśl, kiedy ostatnio używałeś reszty rzeczy. Jeśli w ciągu minionego roku do niczego ich nie użyłeś, mała szansa, że zdarzy się to w najbliższym czasie.
4. **Ważność.** Zostaw te „przydasie", które mają wartość sentymentalną czy symboliczną – przypominają o ważnym momencie życia lub są rodzinną pamiątką. Jeśli zastanawiasz się nad „przydasiem" dłużej niż minutę, odetnij sentymentalną pępowinę i zwróć mu wolność.
5. **Nowe życie „przydasiów".** Możesz je wystawić na aukcję, oddać osobom potrzebującym (zacznij od rodziny i sąsiadów) albo wystawić przed dom na śmietnik. Są osoby, które potrafią zrobić coś z niczego i tylko czekają na takie okazje.

A ty ciesz się nową przestrzenią.

charaktery magazyn psychologiczny

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

eprasa.pl ed8943ebb3

Kobiety z różnych stron świata, łączy was piłka! Mecz drużyny brazylijskiej i australijskiej w Newcastle w Anglii oraz francuskiej i hiszpańskiej w Calais we Francji.

otworzy przed wybranką serca pudełeczko z pierścionkiem, ten wpadnie do wody. Mimo pomocy przyjaciół pary pierścionek za równowartość 10 tys. zł nie został odnaleziony.

John w butelce

John Lemon, popularna polska firma produkująca napoje, musi zmienić nazwę. Do właścicieli odezwał się prawnik Yoko Ono, wdowy po Johnie Lennonie, muzyku The Beatles, twierdząc, że to nadużycie imienia jej zmarłego męża. Doszło do ugody, właściciele zmienili nazwę na On Lemon. Twierdzili jednak, że nigdy nie chcieli wykorzystać wizerunku muzyka.

Fatalne zaskoczenie

Firma Apple 10 lat po wprowadzeniu na rynek pierwszego iPhone'a chciała zaskoczyć świat telefonem, jakiego jeszcze nie było na rynku. W smartfonie zrezygnowano z przycisku Touch ID, rozpoznającego użytkownika przez odcisk palca. Zamiast tego wprowadzono odblokowanie telefonu za pomocą rozpoznawania twarzy. Podczas konferencji prezentującej urządzenie technologia jednak nie zadziałała i trzeba było wpisać tradycyjny kod PIN. Nie była to jednak wada urządzenia – prawdopodobnie zresetowano telefon przed konferencją, a pierwsze logowanie wymagało dodatkowego kroku.

FOT. AFP/EAST NEWS (2), MEMNEWS.PL, TWITTER, fb.com/NowoczesnyMaoizm

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl ed8943ebb3

PATRONAT **PRZEGLĄDU**

TYMEM DO PRZODU

Retrospektywa Stanisława Tyma

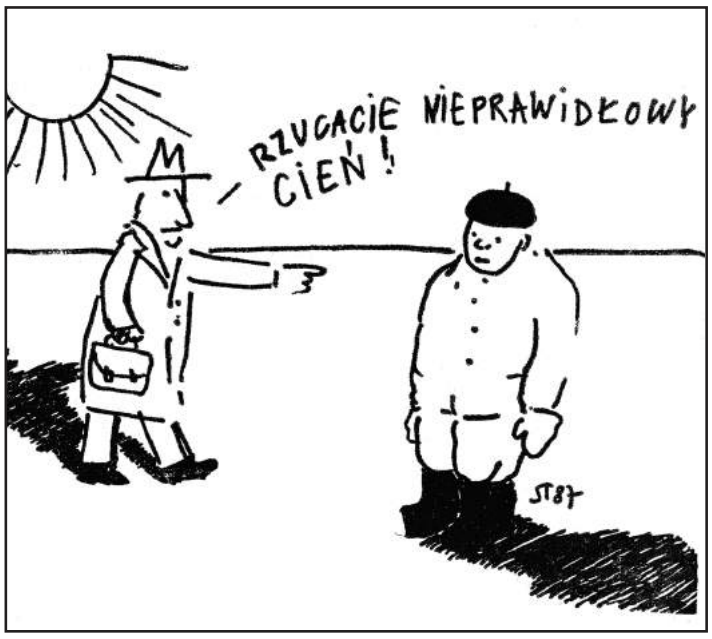

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Od 29 września do 26 listopada będzie można oglądać prace Stanisława Tyma – aktora, reżysera, scenarzysty, autora skeczy kabaretowych i rysownika prasowego. Po raz pierwszy zobaczymy więc jego twórczość rysunkową, mniej znaną szerokiej publiczności. Będą to głównie żarty drukowane w „Tygodniku Kulturalnym", gdzie jako rysownik zadebiutował w 1986 r., oraz w „Rzeczpospolitej" (2001-2005). Prace reprezentują satyrę zaangażowaną, odnoszą się do tematów społecznych i politycznych. Każda jest błyskotliwym komentarzem do jakiejś cząstki rzeczywistości.

Uroczysty wernisaż z udziałem Autora odbędzie się 28 września o godz. 18.00 w siedzibie Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego przy ul. Koziej 11 w Warszawie.

eprasa.pl ed8943ebb3

Różewicz

Najlepiej widzę,
kiedy zamknę oczy.
Z zamkniętymi oczyma
widzę miłość, wiarę, prawdę...

4-9 10 2017

RÓŻEWICZ
OPEN **FESTIWAL**
RADOMSKO 2017

MIEJSKI DOM **KULTURY** W **RADOMSKU**

www.rozewiczopen.pl

Wstęp na wszystkie wydarzenia wolny. Wejściówki w kasie MDK

organizatorzy:

partnerzy:

patronaty medialne:

dofinansowane ze środków:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

sprasa.pl ed8943ebb3

teatr gwiazd

teatr komedia

instytucja kultury m.st. Warszawy

FOLKER BOHNET & ALEXANDER ALEXY

SKAZANI NA MIŁOŚĆ

„Liebeslänglich"

REŻYSERIA TOMASZ DUTKIEWICZ

PREMIERA 1 PAŹDZIERNIKA 2017 R.

OLGA KALICKA, MARIA PAKULNIS, MAGDALENA WÓJCIK, MATEUSZ BANASIUK, JAN JANKOWSKI, WOJCIECH WACHUDA

TŁUMACZENIE JACEK KADUCZAK, SCENOGRAFIA WOJCIECH STEFANIAK, KOSTIUMY ZOFIA DE INES

WWW.TEATRKOMEDIA.PL

eBilet.pl empik RADIO 103FM kolor! PODRÓŻ
© prasa.pl ed8948ebb3